



*Samotne*  
**S** **VICTOR**  
**LAVALLE**  
Samotne kobiety  
*Kobiety*

**SAMOTNE KOBIETY**

**Victor LaValle**

**Przełożyła  
Justyna Gardzińska**

**Wydawnictwo MAG  
Warszawa 2024**



# Spis treści

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Podziękowania

O autorze

Przypisy

Tytuł oryginału: *Lone Women*

Copyright © 2023 by Victor LaValle

Copyright for the Polish translation © 2024 by Wydawnictwo MAG

Redakcja: Alicja Laskowska

Korekta: Marta Akuszevska, Magdalena Górnicka

Ilustracja na okładce: Dark Crayon

Opracowanie graficzne okładki: Piotr Chyliński

Wydawca:

Wydawnictwo MAG

Pl. Konstytucji 5/10, 00-657 Warszawa

[www.mag.com.pl](http://www.mag.com.pl)

Wydanie II

ISBN 978-83-68069-61-7

Wyłączny dystrybutor:

Dressler Dublin sp. z o. o.

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

tel. 227 335 010

[www.dressler.com.pl](http://www.dressler.com.pl)

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie Zecer

*Paulowi, mojemu bratu*

„Jeśli chcesz latać, musisz się pozbyć całego tego gówna, które cię obciąża”.

Toni Morrison, *Pieśń Salomonowa*



# Rozdział pierwszy

## 1

Istnieją na tym świecie dwa rodzaje ludzi: ci, którzy żyją okryci wstydem, i ci, którzy ze wstydu umierają. We wtorek Adelaide Henry zaliczyłaby siebie do tych pierwszych, ale w środę nie była już tego taka pewna. Jeśli usiłowała żyć, to dlaczego na swojej rodzinnej farmie chodziła po domu z wielkim słojem benzyny i rozlewała ją na podłogę w kuchni, na stół w jadalni, oblewała nią kanapę w pokoju? A gdy opróżniła cały pierwszy słoć, dlaczego wróciła do kuchni po kolejny, a potem weszła po schodach na piętro, wsłuchując się w chlustanie benzyny rozlewanej na każdy stopień schodów? Zamierzała wtedy żyć czy próbowała umrzeć?

W 1915 roku w kalifornijskiej dolinie Lucerne z uprawy ziemi żyło dwadzieścia siedem czarnych rodzin. Adelaide i jej rodzice byli jedną z nich. Następnego dnia tych rodzin miało być tylko dwadzieścia sześć.

Adelaide dotarła do piętra. Już prawie nie czuła odoru benzyny. Jej dłonie pokryte były świeżymi ranami, ale nie odczuwała bólu. Na piętrze znajdowały się dwie sypialnie: jej i rodziców.

Ojca i matkę Adelaide zwabiła na zachód obietnica ziemi w tej dolinie. Rząd federalny zachęcał Amerykanów do przejmowania ziem uprawnych w Kalifornii. Populacja rdzennych mieszkańców była już zdziesiątkowana, wyrugowana z tych terenów. Nadszedł czas, by zacząć je rozdawać. Zaproszenie od rządu było jednym z niewielu, jakie Stany Zjednoczone wystosowały również do swoich murzyńskich obywateli, a po 1866 roku Towarzystwo Afrykańskie nawoływało do „kolonizowania” południowej Kalifornii. Rodzina Henrych była jedną z kilkuset, które się tu przeniosły. W Arkansas nie dano by im żadnej szansy, to na pewno. Rząd federalny nazywał to „zasiedlaniem”.

Glenville i Eleanor Henry uciekli do Kalifornii i uprawiali lucernę oraz trawę, które sprzedawali właścicielom bydła. Glenville uważnie czytał dzieła Luthera Burbanka i w 1908 roku zaczął hodować śliwki japońskie.



Dla Adelaide miały smak cukru i samozaparcia. Adelaide pracowała u boku ojca w sadach i na polach, odkąd skończyła dwanaście lat, a w kuchni i w oborze harowała razem z matką nawet dłużej. Trzydzieści jeden lat życia na tej farmie. Trzydzieści jeden.

A teraz miała to wszystko spalić.

– Proszę pani?

Adelaide zaskoczył głos woźnicy.

– Na miłość boską, co tak cuchnie?

Woźnica stał w drzwiach wejściowych, od wnętrza oddzielały go drzwiczki z siatką i nic więcej. Adelaide stała na piętrze, na progu sypialni rodziców. W połowie pełny słów zachybotał w jej dłoniach. Odwróciła się i zawołała ku schodom.

– Panie Cole, będę na dole za pięć minut!

Nie widziała go, ale słyszała. Sarkanie starego czarnego człowieka, ledwo słyszalne, ale mimo to głośne jak grzmot burzy. Przypominało jej ojca.

– Tak pani mówiła pięć minut temu!

Adelaide usłyszała skrzypienie zawiasów drzwiczek z siatką. W wyobraźni mignął jej taki obraz: pan Cole podchodzi do stóp schodów, a ona wylewa resztkę benzyny prosto na jego głowę. Potem sięga do kieszeni po zapalniczki. Zapala jedną i upuszcza na pana Cole'a. A potem – zapłon.

Ale nie chciała go zabić, starszego człowieka, zawołała więc:

– Załadował już pan mój kufer na wóz?

Cisza. Cisza.

Potem słaby odgłos puszcanych wolno drzwiczek z siatką. Woźnica nie wszedł za próg. Zawołał do niej ponownie z werandy.

– Próbowałem! – odkrzyknął. – Ale ten kloc waży, cholera, więcej niż mój koń. Co pani napchała do środka?

Moje całe życie, pomyślała. Wszystko, co jeszcze coś znaczy.

Spojrzała na drzwi sypialni rodziców, a potem odkrzyknęła jeszcze raz:

– Pięć minut, proszę pana. Załadujemy kufer wspólnymi siłami!

Kolejne sarknięcie, ale nie przeklął jej, nie usłyszała też turkotu kół odjeżdżającej furmanki. Dla człowieka w rodzaju pana Cole'a była to odpowiedź najbliższa stwierdzeniu „w porządku”, nie mogła liczyć na więcej.

Naprawdę zdobyłaby się na to, żeby go podpalić? Nie знаła odpowiedzi. Ale ludzie w akcie desperacji potrafią robić zdumiewające rzeczy.

Adelaide Henry przekręciła gałkę drzwi do sypialni rodziców, weszła do środka, zamknęła drzwi za sobą i w milczeniu stanęła w ciemnym pokoju. Ciężkie kotary były szczelnie zaciągnięte. Sama je zaciągnęła o świcie. Po tym, jak przytaszczyła do sypialni ciała Glenville'a i Eleanor i złożyła je na łóżku.

Leżeli teraz razem w swoim małżeńskim łóżu. W tym samym, w którym poczęli Adelaide. Byli już tylko kształtami, bo przykryła ciała prześcieradłem. Nasiąkło ich krwią. Widać było czerwone zarysy ich sylwetek.

Podeszła do łóżka od strony ojca. Płótno przylgnęło do jego skóry, do zakrzepłej krwi. Wcześniej zakryła prześcieradłem również jego głowę. Nie chciała patrzeć na to, co z niego zostało. Polała trupa benzyną, od czoła po stopy.

Teraz obeszła łóżko i stanęła po stronie matki.

Wcześniej naciągnęła prześcieradło na Eleanor tylko do wysokości podbródka, ukrywając pod płótnem rany zadane na szyi. Nie potrafiła się zmusić do przykrycia prześcieradłem całej matki. Dziwna sentymentalność, bo przecież na ciele Eleanor było wiele innych ran. Adelaide przechyliła słój nad głową matki, ale odkryła, że nie potrafi wylać na nią resztek benzyny. Trzymała naczynie nad Eleanor i wpatrywała się w jej otwarte, puste oczy.

Nie umiała się do tego zmusić. Postawiła słój i kucnęła przy łóżku. Wyszepiała martwej Eleanor na ucho:

– Trzymałaś zbyt wiele w sekrecie. Popatrz tylko, jaką cenę zapłaciłaś.

Potem wstała i sięgnęła do kieszeni. Na pudełku zapalek widniał symbol Towarzystwa Afrykańskiego, sylwetka czarnego człowieka prowadzącego pług. Potarła zapalną i patrzyła, jak płonie. Rzuciła ją na łóżko, płonące drewno upadło na jej ojca.

Adelaide szybko się odwróciła, żeby nie patrzeć, jak ciała stają w płomieniach, ale wszystko słyszała – jakby cały pokój wziął głęboki oddech. Chwilę później poczuła falę gorąca na głowie i szyi, ale kiedy wyszła z pokoju, płomienie ciągle lizały jej skórę. Wtedy zdała sobie sprawę, że to nie ogień ją trawi, a poczucie winy.

Na podeście schodów prawe kolano ugięło się pod nią i niemal się przewróciła. Klęczała z dłonią na poręczy. Zrobiła, co zamierzała. Za tymi drzwiami płonęli jej rodzice. Może powinna z nimi zostać? Rozważała to. Dość benzyny rozlało się na jej dłonie, na sukienkę, wystarczyłby ułamek chwili, by zajęła się ogniem. Powinna wrócić do sypialni, klęknąć w nogach łóżka i dać się ogarnąć płomieniom. Przerwać linię rodu. Na to

zasługiwała. Jaką trzeba być córką, żeby dopuścić się tego wszystkiego, co robiła przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny? Podłą i straszną.

Po chwili Adelaide podniosła się z kolan, ale z trudem zdawała sobie z tego sprawę. Zupełnie jakby jej ciało życzyło sobie, by przeżyła, choć jej dusza pragnęła czegoś innego. Wstała i zrobiła krok naprzód. Potem następny. Wyglądało na to, że miała jednak stąd wyjechać. Kto tak postanowił? – zastanawiała się, nawet kiedy już trzymała się poręczy i schodziła po schodach.

– No, jest pani wreszcie – przywitał ją pan Cole, kiedy wyszła przez drzwiczki z siatką. Spojrzał na dom. Widział już dym? Słyszał, jak w sypialni na piętrze pękają z trzaskiem ściany?

Jego odkryty wóz stał przy werandzie. Zaprzęgnięty do niego koń był prawie tak samo niedożywiony jak woźnica. Adelaide była od pana Cole'a o sześć cali wyższa i o czterdzieści funtów cięższa. Nic dziwnego, że nie dał rady załadować kufra.

Skrzynia podróżna Sewarda miała z obu stron uchwyty. Adelaide ujęła ją z jednego boku, a pan Cole z drugiego. Ugięła kolana i poderwała ciężar. Pan Cole ciężko stęknął z wysiłku.

– Szybko – powiedział. Chociaż to ona dźwigała więcej, z lubością wydawał polecenia.

Adelaide szarpnęła kufer w stronę wozu, a z kufrem pociągnęła pana Cole'a.

Dotarli do celu i ostatnim wysiłkiem załadowali skrzynię na niewielką pakę. Wóz osiadł kilka cali i każde z czterech drewnianych kół stęknęło. Koń pana Cole'a przeszedł krok do przodu, jakby próbował uciec przed ciężarem. Kiedy pan Cole i Adelaide się wyprostowali, obojgu brakowało tchu.

Adelaide wspięła się na wóz. Jedynym, co zabierała – oprócz kufra – była jej torba podróżna. Stała już zapakowana tuż przy drzwiach przed progiem. Pan Cole usiadł obok Adelaide na sprężynowym siedzisku.

Spojrzał w stronę domu.

– A gdzie pani krewni? – zapytał.

– Moi rodzice – powiedziała cicho.

– Nie wyszli pani pożegnać?

Adelaide również spojrzała na dom. Sypialnie znajdowały się z tyłu. Nawet jeśli wydobywał się z nich dym, prawdopodobnie jeszcze przez jakiś

czas nie będzie go widać od frontu. Może miała jeszcze parę minut, zanim pożar stanie się widoczny.

– Odpoczywają – odparła.

Pan Cole nie zadawał już więcej pytań. Ujął lejce i cmoknął dwa razy, a jego biedny koń naprężył się i naprężył, aż w końcu wóz ruszył.

Opuszczając Kalifornię, Adelaide miała sto pięćdziesiąt cztery dolary, dużą sumę pieniędzy, a jednak niewystarczającą, aby zacząć życie zupełnie od nowa. Ale to było wszystko, co miała. Te pieniądze, torbę podrózną i kufer.

Farma się spali. Sąsiedzi – najbliższe gospodarstwo leżało blisko milę dalej – w końcu zauważą. Przeszukają zgliszczą i znajdą w środku tylko dwa ciała. Będą zachodzić w głowę, gdzie się podziała córka Glenville'a i Eleanor.

We wtorek Adelaide Henry była farmerką.

W środę była zbiegiem.

## 2

– Znam was.

Adelaide i pan Cole jechali wozem już godzinę, zanim się w końcu odezwał. Były to pierwsze słowa, jakie padły między nimi, odkąd dom i farma Adelaide zniknęły za zakrętem drogi. Nie przeszkadzało jej to milczenie.

– Dziwacy – ciągnął pan Cole. – Tak ludzie mówią o Henrych.

Koń pana Cole'a przywykł już do ciągniętego ciężaru. Nie polubił go, ale przywykł. Paka wozu nie była duża, co oznaczało, że kufer nie mógł się po niej zbyt mocno przesuwac, nawet kiedy droga wiodła pod górę albo w dół. Drobną ulgą dla konia. Adelaide zastanawiało jej własne współczucie dla tego zwierzęcia, podczas gdy dla siebie samej miała go tak niewiele.

– O, tak – ciągnął pan Cole, czując się nieco pewniej. Zerknął na Adelaide. – I to nie tylko w okolicy. Znają was w Victorville i w Allensworth.

Wynajęła tego człowieka, żeby zawiózł ją do portu Los Angeles. Dwadzieścia cztery mile na południe. A tam miała zamiar wsiąść na statek. Zgadzała, że czekało ich jeszcze pięć godzin podróży. Pięć godzin takiego czegoś. Odezwała się ze znużenia, bo na pewno nie z ciekawości.

– A co oni tam wiedzą? – zapytała obojętnie.

Pan Cole uśmiechnął się szeroko i zaczął wymieniać:

– Trzymacie się swojej farmy. Nie odwiedzacie innych. W kościele nie odzywacie się ani słowem.

– Co niedzielę przywozimy śliwki – zauważyła Adelaide.

Pan Cole wydał usta, ale ostatecznie kiwnął głową.

– Tak, to wam przyznam.

Adelaide pomyślała, że ojcu byłoby miło. Widać było, że pan Cole nie należy do ludzi, którzy bezinteresownie wyrażają uznanie dla innych.

Spojrzała na swoje ręce. Skaleczenia biegły przez wnętrza dłoni i większość palców. Niektóre rozcięcia były całkiem głębokie. Przestały już krwawić, ale ich nie obandażowała. Jej dłonie musiały wyglądać upiornie. Odwróciła je wnętrzem do dołu, kiedy zorientowała się, że pan Cole na nią zerka. Miną całe dni, nim rany się zagoją. Oczywiście doskonale wiedziała, skąd się wzięły, ale każde nacięcie albo zadrapanie od razu wymazywała z pamięci. Wiedziała, że jadła wczoraj kolację i że o świcie wstało słońce. Czas pomiędzy jednym a drugim gdzieś zniknął. Jakby zmaterializowała się w kuchni z poranionymi dłońmi, a na kuchennym blacie stały już dwa słoje z benzyną. Nawet nie pamiętała, kiedy je napełniała.

Spaliłam dowody.

Adelaide dosłownie zakryła usta dłonią. Przez chwilę myślała, że powiedziała te słowa na głos. Ale nie, nie powiedziała, bo pan Cole nadal siedział obok i rozprawiał o jej rodzinie i o reputacji Henrych w dolinie Lucerne. Jego wargi się poruszały – bez wątpienia właśnie śmiało obrażał jej rodziców – ale ona go nie słyszała. Słyszała tylko siebie. *Aby wszelki język wyznał*<sup>1</sup>.

Nie oderwała dłoni od ust, bo nie była pewna, co może się z nich wydość. Słowa czy ostatni posiłek, który zalegał w żołądku?

– Niedobrze pani? – zapytał pan Cole.

Kiwnęła głową i spojrzała na niego, słabo uśmiechając się przez zaciśnięte wargi.

– Cóż, jeśli coś podejdzie do gardła – powiedział, wbijając wzrok w dal – proszę wymiotować na zewnątrz, nad drzwiczkami. Dbam o czystość wozu.

\*\*\*

Przebycie dwudziestu czterech mil zajęło pół dnia. Pół dnia z panem Cole'em. Wyobraźcie sobie tę monotonię. A potem pomnóżcie przez dwa. Zabawne, co się zaczyna dziać, kiedy mężczyzna myśli, że ma towarzystwo kobiety tylko dla siebie. Może odsłonić przed nią swoją twarz, którą by ukrywał, gdyby miał za świadka choć jedną inną osobę. Przez mężczyznę przemawia wtedy jego sekretne Ja.

Mimo że Adelaide należała do rodziny żyjącej we względnej samotności, jeździła przecież często do Victorville i Allensworth, ze śliwkami na sprzedaż. Na targach i w drodze spotykała wielu mężczyzn. Jakimi oni słowami się do niej zwracali! Odkąd zaczęła jeździć sama, nie powtarzała tych słów rodzicom. Słowa mężczyzn stały się wtedy jakby woreczkiem z kamieniami, który musiała nosić w dłoni. Kłopotem. Zawracaniem głowy. Utrudniały niezbędne zajęcia, te małe i te duże. Obierała dłuższe trasy tylko po to, żeby unikać pewnych dróg. A teraz pan Cole przez większość podróży wieszał psy na jej rodzinie, i to w dodatku zupełnie bezkarnie, bo kto miałby go zawstydzić?

Z upływem czasu Adelaide zaczęła się zastanawiać, jakie to byłoby uczucie, gdyby starucha walnąć w głowę woreczkiem z kamieniami. W czwartej godzinie jazdy zaczęła dla zabicia czasu wyobrazać sobie, na jakie sposoby mogłaby gbura zamordować. Na przykład teraz, jedno mocne pchnięcie, a spadłby z wozu i skrzył kark. Przyglądała mu się i uśmiechała do swoich myśli.

Ale wtedy pan Cole spojrzał jej prosto w oczy i zapytał:

– Co się pani tak uśmiecha?

I wizja prysła.

Adelaide już drugi raz rozmyślała, jak by go tu zabić. Niektórzy surowo osądziłiby ją za takie myśli. Ale dla niej mogli spieprzać.

Wóz jechał dalej.

Tuż pod samym Los Angeles wynikło pewne nieporozumienie. Okazało się, że port Los Angeles znajduje się w mieście zwanym San Pedro. Pan Cole dowiedział się tego, gdy po drodze kupował obrok dla konia. Odparkł: „No, na niezłego durnia wyszedłem”.

Gdyby drzwi do składu z paszą nie były otwarte, Adelaide nie podsłuchałaby, że doszło do pomyłki. Pan Cole wsiadł do wozu i udawał, że nie popełnił żadnego błędu. Jak widać, nie każdy język wyzna.

Pan Cole pół godziny wracał tą samą drogą, a niedługo potem odnalazł właściwą trasę. Adelaide nic nie powiedziała. Dla niej najważniejsze było,

żeby dotrzeć do portu. Musiała wsiąść na statek i teraz obawiała się, że nie zdąży.

Kiedy w końcu dojechali do San Pedro, w mieście nagle jakby się skurczyli. Oboje czuli się malutcy. Na Beacon Street minęli gmach Banku San Pedro, którego wieża zegarowa miała wysokość trzech pięter. Rzucała cień w poprzek ulicy. Może się to wydać niemądre, ale kiedy przejeżdżali przez ten cień, Adelaide zadrżała. Nawet pan Cole przestał perorować. Adelaide widziała już wcześniej wiele ogromnych silosów na zboże, ale nigdy zegara tej wielkości.

Przez całe miasto biegły kable, które doprowadzały prąd. Z turkotem kół przez skrzyżowanie przejeżdżał tramwaj, wioząc dwadzieścia pięć osób, a może nawet więcej. Adelaide i pan Cole przyglądali się z wozu, jak tramwaj głośno ich mija. Kilkoro pasażerów patrzyło na Adelaide tak, jakby była przezroczysta. Nie znali jej. Nie znali jej rodziny. Była obca. Niektórym taka myśl może wydać się straszna, ale w tamtej chwili Adelaide Henry po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że ucieczka jest możliwa. A gdyby darowała sobie resztę podróży i osiedliła się tutaj?

Ale sześć godzin od doliny Lucerne to zbyt mały dystans. Poza tym pan Cole, gadatliwy staruch, wiedziałby, gdzie zamieszkała. Taki człowiek jak on delektował się plotkami, podobnie jak inni delektowali się smakiem śliwek jej ojca. Gdy tramwaj już przejechał, pan Cole spojrzał na nią.

– Jedziemy dalej? – zapytał.

Dla niego dolina Lucerne była przyjazna i gościnna. Czy ona sama kiedykolwiek tak myślała?

– Już niedaleko. – Adelaide wskazała ręką naprzód. – Jedźmy.

Pan Cole uważnie wpatrywał się w jej twarz, jakby chciał coś zapamiętać.

Cmoknął na konia, który parsknął i przeszedł dwa kroki do przodu.

Koła wozu zaskrzypiały. Kufer przesunął się tyle, ile mógł na niewielkiej pacy za siedziskiem. Adelaide sięgnęła do tyłu i położyła dłoń na skrzyni, jakby obawiała się, że bagaż zeskoczy i ucieknie. Jakby jej dotyk mógł go uspokoić.

### 3

Port Los Angeles był jednym wielkim hałaśliwym bezładem, choć inni nazywali to postępem.



W porcie przemysł rósł w oczach. Parowce i frachtowce stały zacumowane tak blisko siebie, że można by przeskoczyć z pokładu na pokład bez obawy, że się wpadnie do wody. Parowce wypuszczały kłęby dymu, podobnie jak lokomotywy pociągów. Tory kolejowe okręzały doki, tworząc wokół nich jakby żelazne obręcze kajdan.

Gdy tylko przybyli, Adelaide poczuła na skórze cienką warstwę sadzy. Miała wrażenie, jakby całe życie nie oddychała wyłącznie czystym powietrzem odludnej doliny Lucerne – dokąd już miała nigdy nie wrócić.

Wóz pana Cole'a nie był jedynym konnym pojazdem w porcie, ale z pewnością pan Cole prowadził swój najostrożniej. Wokół nich kręciły się inne wozy i śpieszyli przechodnie. Ciężarówki parowe groziły, że ich z impetem przejadą.

Aby dostać się do kas, musieli przejechać przez dwie linie torów kolejowych, a pan Cole głośno się modlił, kiedy koła podskakiwały na szynach. Adelaide poprosiła go, żeby zaczekał, gdy ona pójdzie do kasy biletowej. Jak powiedziała, będzie potem potrzebowała jego pomocy, żeby zawiózł ją na nabrzeże pod statek, skąd miała dostać się na pokład. Pan Cole zażądał, żeby zapłaciła mu, zanim zsiądzie z wozu. Uraziło ją to – naprawdę myślał, że zostawi swój kufer i ucieknie? – ale nie powiedziała ani słowa, tylko wręczyła mu zapłatę. Pięć dolarów.

Kupiła bilet do Seattle na pokładzie parowca „Queen”. Osiem dolarów i trzydzieści pięć centów w jedną stronę, co pokrywało opłatę za kuszetkę i posiłek. Statek odpływał z nabrzeża dziewiątego o godzinie czwartej. Ponieważ pan Cole wcześniej pomylił drogę, przyjechali do portu zaledwie dwadzieścia minut przed czasem.

Kiedy wyszła z kasy, zobaczyła, że pan Cole zrzuca jej kufer z wozu. Ponieważ nie miał siły go wyciągnąć, chwycił jeden uchwyt i sturlał skrzynię z paki na ziemię. Skrzynia upadła dnem do góry z takim hukiem, że rumor słychać było nawet przez gwizdy przejeżdżających w pobliżu pociągów.

– Panie Cole! – krzyknęła, biegnąc ku niemu.

Teraz już mogłaby go zabić. Bez żadnej benzyny, bez metaforycznego worka kamieni, po prostu gołymi rękami. Udusiłaby stetryczalego skurwiela na oczach wszystkich. A niechby nawet poszła za kraty, byleby mogła z zadowoleniem patrzeć, jak ten Judasz wydaje ostatnie tchnienie. Już ona by...

Ale zanim dobiegła do kufra, woźnica odjechał. Z wozem lżejszym o Adelaide i jej bagaż chabeta wyrwała do przodu jak strzała. Pan Cole nie obejrzał się ani razu, nawet po to, by triumfować. Po prostu zostawił ją z ciężkim w cholerę kufrem.

Fala wściekłości i szoku napłynęła i opadła. Dopiero potem Adelaide przyszło na myśl, żeby sprawdzić, czy kufer nie pękł przy upadku. Sama skrzynia była nienaruszona. Obejrzała też mosiężną klamrę zamka. Trzymała się. Adelaide zaparła się o najwyżej położoną krawędź kufra i najostrożniej, jak tylko się dało, obróciła go właściwą stroną do góry, tak że znowu stanął płasko na swojej podstawie.

Poszukała nabrzeża dziewiątego, znajdującego się – na szczęście – zaledwie dwadzieścia jardów dalej. Dostrzegła kontrolera portowego, który sprawdzał nazwiska dwójki pasażerów z listy, a potem zaprosił ich gestem, by weszli po rampie na pokład. Kontroler zauważył ją i zanim odwrócił wzrok, Adelaide do niego pomachała.

Zmarszczył brwi. Co mu chciała powiedzieć?

Trzymając wysoko bilet, wskazała statek. On polecił jej gestem, by podeszła. Przecież nie doprowadzi statku do niej. Adelaide pokazała ręką kufer i teraz chyba zrozumiał, ale tylko wzruszył ramionami, wskazał miejsce obok siebie, odwrócił wzrok. I tyle.

Ty i twój kufer musicie zjawić się *tutaj*.

A teraz miała już tylko kwadrans.

Najwyraźniej szarmanckości nie można zwyczajnie oczekiwać. Szarmanckość jest darem, którego ani jeden mężczyzna nie miał jej do zaofiarowania, była więc zmuszona sama mozolnie przeciągnąć kufer te dwadzieścia jardów, aż do stóp kontrolera. A kiedy już stanęła przed nim zasapana, z czołem swędzącym od potu, kontroler rzucił tylko:

– Prawie się pani spóźniła.

I nie powiedział nic więcej.

Potem, gdy sprawdził jej bilet, przywołał gestem stewarda, który polecił swoim ludziom wnieść bagaż Adelaide na pokład. Zeszło dwóch tragarzy, ale nawet wspólnymi siłami nie dali rady kufra podźwignąć. Musieli zawołać trzeciego. Adelaide słuchała, jak stękają, patrzyła, jak z drzeniem mięśni powoli dźwigają skrzynię po rampie, i sprawiało jej to pewną przyjemność. W połowie drogi zatrzymali się i spojrzeli na nią, jakby zachodzili w głowę, jakim cudem ona sama zdołała ruszyć ten kufer z miejsca o więcej niż cal.

Z desperacji, to proste. I dzięki temu, że całe życie harowała na farmie.

Weszła na pokład parowca „Queen”, pragnąc tylko schować się na swojej kuszetce i nie wystawiać głowy aż do Seattle. Ale już na statku steward oznajmił jej, że sprzedano za dużo biletów. Dlatego będzie miała co prawda zapewnione posiłki, ale nie ma już wolnych kabin ani miejsc do spania. Całą podróż będzie musiała spędzić na głównym pokładzie.

Steward powiedział to tak swobodnie, że pewnie właśnie jego ton rozłościł ją najbardziej. Chociaż nie, zdecydowanie najbardziej rozgniewało ją, że zapłaciła za kajutę, której ostatecznie nie dostała. Ale trudno jej było przełknąć również ten obojętny sposób, w jaki steward jej to zakomunikował, tonem nawet nie przeproszającym. Ale co mogła zrobić? Już podnoszono kotwicę, morska woda pieniała się przy tym jak szampan z otwartej butelki.

Pasażerowie zebrali się przy burtach, by patrzeć, jak parowiec odbija od nabrzeża. Adelaide podeszła wraz z innymi, nie znając nikogo i nie patrząc nikomu w oczy. Była chyba jedyną Murzynką na tym statku. A z pewnością jedyną wśród pasażerów. Dostrzegła dwóch mężczyzn stojących obok siebie przy relingu, zajętych rozmową. Nie byli biali. Nigdy wcześniej nie widziała Japończyków. Niemniej poczuła zazdrość, że mieli siebie nawzajem.

Znalazła leżak i z torby podróżnej wyjęła książkę. *Lokatorkę Wildfell Hall* Anne Brontë. Czytała ją już tyle razy, że okładka niemal się rozpadła. Ta książka i kilka innych, które spakowała, miały być jej jedynymi towarzyszkami.

Gdy statek wypłynął na otwarte wody, nie poczuła się spokojniej ani bezpieczniej. Czekala ją znacznie dłuższa podróż, zanim będzie mogła naprawdę zniknąć.

## 4

„Kobieta to wół roboczy”. Tak powtarzała jej matka. Właściwie to mogły być pierwsze słowa, jakie Eleanor Henry kiedykolwiek skierowała do córki. A jeśli nie, to na pewno były jednymi z najczęściej przez matkę wypowiedzianych.

„Kobieta to wół roboczy”.

Tak właśnie Eleanor wyjaśniała powszedni znój życia – wstawanie z Glenville’em przed świtem, harówkę w domu, kiedy on obsiewał albo orał ziemię. Prace w polu, gdy zachodziła potrzeba, robotę do późna

w nocy, żeby przygotować wszystko na kolejny dzień mozolnej pracy, nawet kiedy Glenville już padł do łóżka. Eleanor chciała przygotować córkę, wypracować w niej wytrzymałość i pokorę.

„Moje ciężary staną się twoimi. Jestem wołem roboczym i ty też będziesz wołem”.

Adelaide była sumienną córką – jaki miała wybór? – ale to wszystko wyczerpywało człowieka. Nagrodą za poświęcenia były po prostu kolejne poświęcenia.

Nie powinno więc aż tak dziwić, że odkąd tylko Adelaide była dość duża, aby rozumieć, że istnieje wielki świat, do którego można uciec, bardzo chciała się wyrwać. Zawsze miała szczególny sentyment do Montany. Na przykład obie obchodziły urodziny tego samego dnia, ósmego listopada. Chociaż Adelaide urodziła się w 1883 roku, więc tak naprawdę była sześć lat starsza niż Montana. Matkę bardzo ten fakt rozbawił.

Na dźwięk głosu matki Adelaide podniosła się wyprostowana na leżaku. Płynęli przez otwarty ocean, ale miała wrażenie, że Eleanor siedzi tuż obok i szepcze jej do ucha.

Ile czasu minęło? Słońce już niemal zachodziło.

Teraz Adelaide znowu to słyszała: chlustanie benzyny wylewanej na drewnianą podłogę farmy; szept płynu wsiąkającego w prześcieradło, którym przykryty był ojciec. Widziała oczy matki wbite w sufit, gardło matki rozerwane, by nie mogła już więcej powiedzieć ani słowa.

„Kobieta to wół roboczy”.

Adelaide wyszeptała pod nosem te cztery słowa, jakby matczyna mantra mogła jej teraz pomóc rozwiązać wspomnienie krwawej jatki w Kalifornii.

Wół umie kopać w tył i w bok.

Adelaide podniosła się z leżaka, spakowała torbę podróżną i zeszła schodami pod pokład, do wewnętrznej części statku. Zbliżała się pora kolacji, ale na razie nie była głodna. Jakim słowem określić, jak się czuła? Porzuciona? Nie, to nie miałyby sensu, bo przecież to ona sama uciekła.

Pozostawiona sama sobie. Zapomniana.

Osamotniona.

Tak.

Adelaide ruszyła labiryntem korytarzy pod pokładem aż do miejsca, gdzie stał jej kufer. Panował tu mrok. Szła wzdłuż rzędów bagaży i towarów, szukając jedynej rzeczy, która należała do niej: skrzyni Sewarda. Stało tu dużo innych kufrów, ale swój rozpoznała po wielkiej mosiężnej klamrze

zamka, i może po zapachu. Pachniał doliną Lucerne. Przynajmniej tak jej się wydawało. Klamrę zamka otwierał tylko jeden kluczyk, nosiła go na sznurku zawieszonym na szyi.

Adelaide zamierzała płynąć statkiem aż do Seattle. Tam chciała wsiąść w pociąg na wschód, do Montany. Miała przed sobą jeszcze długą drogę. Usiadła w ciemności przy swoim kufrze. Opierała się o niego plecami i to poczucie dotyku było najbliższą namiastką czułych objęć, jaka miała być jej dana.

Gdyby jakiś członek załogi zszedł teraz na dół, zobaczyłby dziwny obraz: Murzynkę siedzącą w ciemności. Już samo to było, owszem, niezwykcyjne, ale gdyby stał bez ruchu i uspokoił oddech, mógłby zauważyć coś jeszcze bardziej niezwykłego: siedząca w mroku Murzynka, z policzkiem przyciśniętym do kufra, chyba się modliła. Albo coś szeptała.

## 5

Zaledwie dwa lata wcześniej, w 1913 roku, kobieta nazwiskiem Mattie T. Cramer zyskała rozgłos, kiedy jej list wydrukowano w „Biuletynie” Wielkiej Kolei Północnej. Wyznania mieszkanki Montany opublikowano pod tytułem: „Sukces «samotnej» kobiety”. Adelaide miała egzemplarz tego pisma. Gdy wróciła do domu, jak małe dziecko skrzętnie schowała go pod materacem.

W swoim liście Cramer opisywała, jak ze swoim małym synkiem wyjechała z Iowa City w stanie Iowa i przeprowadziła się do Montany, w okolicę miasta Malta, dokąd przybyła czwartego maja 1908 roku. Mattie zdecydowała się na ten krok, ponieważ rząd federalny rozdawał pod zasiedlenie działki o powierzchni trzystu dwudziestu akrów i wymagał tylko, by „osoba” – słowo bardzo ogólne, co było tutaj kluczowe – mieszkała na obranej działce przez okres trzech lat, uprawiała ziemię i zbierała plony. Jeśli przez trzy lata „osoba” spełniała te warunki, po upływie tego czasu ziemia przechodziła na jej własność. Pomyślne zakończenie tego procesu nazywano „wykazaniem się”.

Mattie T. Cramer przybyła do Malty właśnie z takim zamiarem.

Gdy wyjeżdżała, miała przy duszy niecałe sto dolarów. Ale do czasu publikacji jej listu w roku 1913 Mattie zdążyła już zbudować na swojej posesji piętrowy drewniany dom. A także – jak pisała – „postawiłam oborę, kurnik, wykopałam studnię, ogrodziłam całą ziemię i obsiałam 21 akrów.

Oprócz tego nabyłam w mieście dwie działki budowlane i postawiłam mniejszy pięciopokojowy domek, który wynajmuję. Według mnie w Ameryce istnieją nieograniczone możliwości”.

Statek wpływał do Seattle, a Adelaide, skulona pod pokładem, powtarzała w ciemności dwa ostatnie słowa.

– Nieograniczone możliwości. Nieograniczone możliwości.

Spędziła w Seattle trzy dni i trzy noce, tyle czasu zajęło jej wyszukanie agenta nieruchomości, który zaproponowałby korzystną cenę za jakąś opuszczoną ziemię.

Do ściany w jego kancelarii była przypięta mapa Montany. A obok niej – mapy Wyoming i Dakoty Północnej. Każde roszczenie do tytułu własności, które reprezentował, zaznaczał na mapie gwoździem. Było ich czterdzieści dziewięć, rozrzuconych po trzech stanach.

Mattie Cramer wybrała Montanę, zatem Adelaide również.

– Ten – powiedziała, wskazując rejon blisko granicy z Kanadą. Tylko jeden gwóźdź, daleko od reszty.

– Dosyć pusto, nic tam nie ma – zauważył agent.

– Nie przeszkadza mi to – odparła Adelaide.

– Jest tam chyba w okolicy jakieś miasto. Big Sandy. Ale to mała miejscina, nawet jak na Montanę.

Myślał, że takie słowa ją przerażą, ale Adelaide nie dała się wystraszyć.

– Nikt pani nie przyjdzie na ratunek, jeśli wpadnie pani w kłopoty. – Powiedział to z takim naciskiem, że pomyślała, że może się o nią obawia.

– I jeśli tam pani umrze, zanim się zdąży wykazać – dodał – działka wraca do mnie.

Adelaide kiwnęła głową i uśmiechnęła się na te słowa. Dla niego to był tylko interes, nie miała z tym problemu. Dotknęła jeszcze raz samotnego gwoździa.

– Ten.

Agent teatralnym gestem wyjął z szuflady biurka młotek z niklowanym obuchem i rączką pociągniętą czarną bejcą. Pozwolił, żeby sama wyciągnęła gwóźdź z mapy. Użyła do tego takiej siły, że wyciągnięty gwóźdź przypominał haczyk na ryby. Agent upuścił go na jej dłoń.

– Poprzedni osadnik postawił na posesji skromną chatę i wykopał działającą studnię – poinformował ją. – To będzie panią kosztowało sto dolarów, płatne teraz. Kwota wydaje się duża, ale zapewniam, że to spore ułatwienie. Nie będzie się pani musiała martwić o postawienie domu ani o wodę pitną.

Mówił prawdę? A jeśli na miejscu okaże się, że chatę już rozebrano? Albo że jakieś dzikie stworzenie urządziło sobie w niej legowisko? Przez chwilę czuła silną potrzebę zasięgnięcia w tej sprawie rady u matki.

Co by jej poradziła Eleonor?

Już teraz nic.

Adelaide zapłaciła agentowi nieruchomości sto dolarów. W zamian podał jej numer roszczenia i współrzędne działki. Wpisał jej imię i nazwisko na kontrakcie i dopiero kiedy zobaczyła je napisane czarnym atramentem, uświadomiła sobie, że popełniła pierwszy błąd. Mogła podać mu dowolne nazwisko. Czemu postanowiła być uczciwa? Tak już została wychowana. Zamiast jednak rozwodzić się nad swoim potknięciem, opuściła biuro agenta i zajęła się najbardziej palącą potrzebą: kupnem biletu na pociąg do Montany.

Gdy już umieściła skrzynię Sewarda w wagonie bagażowym, wsiadła do pociągu jadącego na wschód w kierunku Big Sandy. Kiedy pociąg w kłębach pary wytoczył się ze stacji King Street, owszem, poczuła smutek, niepokój i przeraźliwą niepewność, ale czy to grzech, że jednocześnie niecierpliwie wyczekiwała życia w tym nowym miejscu? Że czuła ekscytację?

Jak będzie odbierać to miasto? I jak ją tam przyjmą?

„Nieograniczone możliwości”, powtórzyła w duchu.

## 6

Fred Harnden zjawiał się wcześniej, żeby przywitać nadjeżdżający pociąg. Pracował dla „Bear Paw Mountaineer”, miejscowej gazety czytanej w Big Sandy i okolicach. Wychodzenie na pociąg należało do jego obowiązków, ale on sam odczuwał to jako coś głębszego, jako powołanie. Uważał się za ambasadora. To jego twarz, twarz człowieka stąd, wielu nowych przybyszy miało zobaczyć jako pierwszą. Nie miał zniewalającego uśmiechu i dobrze o tym wiedział, ale przy spotkaniach z ludźmi zdobywał ich sympatię zapałem i werwą.

Nie był jedynym, który czekał na pociąg przyjeżdżający o trzeciej z Seattle. Razem z nim na skład Wielkiej Kolei Północnej oczekiwało kilkanaście innych osób. Ale większość z nich wyszła odebrać ze stacji krewnych albo przywitać nowego pracownika w imieniu firmy. Fred czuł, że ma szczytniejszy cel. I wychodził na stację codziennie, z notesem i ołówkiem



w prawej kieszeni płaszcza. Tylko jedna inna osoba przychodziła na przyjazd pociągu równie często.

Dzisiaj pociąg miał około dwóch godzin opóźnienia, ale nikogo to nie zaskakiwało. Po pociągach można się było spodziewać tylko dwóch rzeczy: że będą głośne i że się spóźnią. Ludzie lubili zgadywać ewentualne przyczyny opóźnienia. Była to gra, którą miejscowi zabijali czas oczekiwania.

Raz pewien pociąg był opóźniony o pięć godzin, bo stado upartych owiec nie chciało zejść z torów. Problem mogły stanowić również antylopy<sup>2</sup>, chociaż one były bardziej płochliwe.

– A pan co obstawia?

Freda Harndena zaskoczył ten głos. Myślał, że nikt go nie widzi, i z lubością obserwował pozostałych. Kiedy zatapiał się w myślach, łatwo zapominał, że on również ma ciało i zajmuje przestrzeń. Odwrócił się i zobaczył, że stoi koło niego jedna z jego ulubionych mieszkanek miasta.

– Pani Reed – przywitał ją ciepło, jakby witał się z ukochaną ciotką.

Pani Jerrine Reed, żona Jacka Reeda, chociaż sama nigdy by się tak nie przedstawiła. Przewodnicząca miejscowej kapituły Pracowitych Pszczółek oraz Stowarzyszenia Sufrażystek Big Sandy – takie obecnie sprawowała funkcje.

Czubek jej głowy sięgał Fredowi do ramienia, a Fred nie był człowiekiem górującym wzrostem nad innymi. Pani Reed w klapie płaszcza nosiła wpiętą niebieską przypinkę z drozdem, na szczęście i dobry humor, a czarne nakrycie głowy miała takie samo, jakie nosiła Mary Pickford. Była drugą najlepiej ubraną kobietą w mieście.

– Owce – odparł Fred. – Stawiam na owce.

Pani Reed szturchnęła go karcąco w ramię.

– Żadnych wiarygodnych przypuszczeń, proszę. To zbyt nudne. Przyjmuję tylko te najmniej prawdopodobne.

– W takim razie – odparł Fred, przechylając głowę, jakby z nieba spadały pomysły, a on chciał sprawnie schwytać lepszy – Idaho wypowiedziało Montanie wojnę. A pociąg zatrzymano jako łup wojenny.

Uśmiech zniknął z twarzy pani Reed i Fred zorientował się, że popełnił błąd.

– Idaho przyznało kobietom prawo głosu już w 1896 roku, szanowny panie. Osiemnaście lat wcześniej, niż uznali to za stosowne obywatele Montany. Nie pozwolę na żarty z tego wspaniałego stanu.

Fred wbił wzrok w buty. O pani Reed warto było wiedzieć jeszcze jedno: ona i jej mąż byli najbogatszymi mieszkańcami Big Sandy. Co roku przekazywali dotacje na „Bear Paw Mountaineer” i wyprawiali przyjęcia dla wydawcy pisma. Kiedy Fred przyjął pracę w gazecie, kupili mu maszynę do pisania marki Oliver Batwing, której używał do dzisiaj.

– Nie miałem na myśli... – zaczął, podnosząc wzrok na przypinkę z drozdem.

– Och, proszę spojrzeć – powiedziała, zanim zdołał wybąkać dalszy ciąg przeprosin. – Jedzie pociąg.

Fred spojrzał na nią, a ona wyduła usta. „Patrz tam, nie na mnie”, zabawna mina. Wtedy przeniósł wzrok na pociąg i natychmiast poczuł się lepiej. Pociąg wjechał na stację o piątej.

Stojąca tuż obok pani Reed również cieszyła się z przyjazdu. To ona była tą drugą osobą, która wychodziła na stację kolejową każdego dnia, gdy przyjeżdżał pociąg. O ile Fred Harnden czuł się jak ambasador Big Sandy, panią Reed można było bez przesady nazwać miejscową królową.

Gdy wagony zwalniały, a w końcu całkiem się zatrzymały, Fred układał w myślach treść artykułu, który napisze do jutrzejszego wydania gazety:

„J. P. Smith z Flaxton w Dakocie Północnej aktualnie odwiedza Freda Curtisa spod Virgelle, a przy okazji pomaga mu w naprawie jego silnika benzynowego.

L. R. McKenzie, dawniej chłopak z Big Sandy, a obecnie mieszkaniec Havre, przyjechał w sobotę z krótką wizytą – w przerwie między kolejnymi podróżami – w sprawie związanej z budową nowego elewatora Clack”.

Fred Harnden co tydzień zapisywał dwadzieścia czy trzydzieści takich nowin do gazety – witał przyjezdnych, tych nowo przybyłych i tych, którzy powracali do miasta, i notował uzyskane od nich informacje. Dla czytelników „Mountaineera” było to równie wiarygodne źródło wiadomości jak osobiste odwiedziny u sąsiadów.

Kiedy tragarze pomagali pasażerom wysiąść z pociągu, Fred wyjął swój notes i ołówek.

– Zabieram się do pracy – oznajmił pani Reed i podszedł dwa kroki ku wysiadającym pasażerom, ale potem z powrotem odwrócił się do niej.

Z namaszczeniem przerzucał karty notesu i teatralnie ujął ołówek palcami.

– Zdaję sobie sprawę, szanowna pani, że zawsze wita pani nowo przybyłych, lecz mimo to zapytam: czy dzisiaj ma pani nadzieję powitać kogoś

szczególnego?

– Nie kogoś, Fred. Coś – odparła pani Reed. – Przyjechały organy.

– Do opery?

– Do opery – potwierdziła pani Reed.

Fred zanotował to, czując zupełnie nowy rodzaj ekscytacji. Organy do opery.

Pani Reed dała mu znak, aby szedł już do pasażerów wysiadających na peron. Chciała go odprawić czy był przewrażliwiony? Pewnie jedno i drugie. Tak czy owak nic nie mógł na to poradzić. Ruszył do pociągu.

Natychmiast poznał dwoje mieszkańców Big Sandy, powracających do miasta: Bernharta Sonksa i jego matkę. Chłopiec złamał rękę przy upadku z dachu i teraz z dumą prezentował ramię usztywnione gipsem modelarskim. Po co wchodził na dach? – zapytał Harnden, a chłopiec popatrzył na niego z zaskoczeniem, wręcz z odrazą. Jakby Harnden był mało rozgarnięty, skoro nie wie, że zadaniem każdego chłopca jest zdobycie dostępu do dachów.

Harnden przeprowadzał wywiady z przybyłymi do miasta przez kolejną godzinę. W pewnym momencie napotkał wysoką Murzynkę, która zapytała go, gdzie może nająć wóz. Harnden śpieszył się, by zdążyć porozmawiać jeszcze z trzema mieszkańcami Big Sandy, którzy także przyjechali tym pociągiem. Zwrócił się do tej wysokiej murzyńskiej kobiety i szybko wskazał w stronę miasta. Nie przyszło mu do głowy zapytać, jak się nazywa. Uznał, że to pewnie służąca, która przyjechała do pracy u jednej z miejscowych rodzin.

Witaj w Montanie, Adelaide.

## 7

Big Sandy.

Okolo pięciuset mieszkańców. Połowa z nich mieszkała w samym mieście, a druga połowa za miastem, na równinach, na połaciach ziemi, którą mieli nadzieję ostatecznie zasiedlić. Ale nawet tych pięciuset dalece przewyższało liczbę mieszkańców, do której Adelaide przywykła w dolinie Lucerne. We względnym sąsiedztwie jej rodzinnej farmy mieszkało pięć rodzin. Po zliczeniu wszystkich dzieci i ich rodziców wychodziło około czterdziestu osób. Już więcej było bydła i trzody niż ludzi, i to dziesięciokrotnie. Stąd nawet przy liczbie mieszkańców Big Sandy Adelaide czuła się

mała, podobnie jak w San Pedro, nie mówiąc już o krótkim pobycie w Seattle.

Kiedy jednak szła ze stacji kolejowej w stronę Main Street, która była tak naprawdę jedyną ulicą w mieście, wydawało się, że prawie nie ma tam żadnego miasta. I to nie była wina tego miejsca. To przez niebo. Największy hotel, jedyny hotel, Gregson Springs – który w oczach Adelaide był wręcz pałacem – niemal nic nie znaczył na linii horyzontu. Pięćdziesiąt mil na wschód wznosiły się góry Bear Paw, ale stąd sprawiały wrażenie zaledwie małych pagórków. Płaski bezkres Montany zdumiał Adelaide i zachwycał ją już w pociągu, kiedy przyglądała się przez szybę okolicom. Ale teraz, kiedy miała przed sobą całe miasto, poczuła majestat tej płaskiej ziemi. Może właśnie tak czuł się Mojżesz, kiedy rozstąpiło się przed nim Morze Czerwone, a on kroczył środkiem między dwiema ścianami wody. *Ujrzał Boga.*

Właśnie dlatego szybko zapomniała urazę, jaką zostawiła w niej krótka rozmowa z tym niewysokim białym człowiekiem, którego minęła na peronie. Widziała, jak traktował każdego zagadniętego pasażera. Wymieniali kilka słów, potem wyjmował zeszytik i zapisywał słowa rozmówcy, a następnie podchodził do kolejnej osoby. Ale każdy, z kim rozmawiał, odchodził od niego z miłym poczuciem, szedł wyraźnie innym krokiem. Dlatego kiedy podeszła do tego człowieka i zapytała, gdzie może znaleźć wozaka, spodziewała się, że zapyta: „A pani skąd do nas przyjechała?”. Ale nie zapytał. Wskazał tylko ręką i pośpiesznie odszedł, żeby przypochlebiać się swoją atencją komuś innemu.

Najdziwniejsze, że Adelaide Henry przyjechała w te strony w nadziei, że zniknie. Nie chciała być odnaleziona, chciała się ukryć, gdyby więc ten człowiek zapytał, jak się nazywa, co wtedy? Może by skłamała, choć nigdy nie była w tym dobra. A może popełniłaby błąd, podała prawdziwe nazwisko i powiedziała, skąd pochodzi? A wtedy musiałaby znowu uciekać, na północ do Kanady albo gdzieś indziej. Tylko że Kanada nie pozwalała samotnym kobietom na posiadanie ziemi, a już na pewno nie Murzynkom, więc co by jej z tego przyszło? Chodzi jednak po prostu o to, że ten biały niewysoki mężczyzna ją zlekceważył. Co prawda to było najlepsze, co się mogło stać, ale jednocześnie raniło jej uczucia.

Szła więc teraz ku miastu, zastanawiając się, czy wszyscy woźnice byli tacy sami. Gdyby miała spotkać kolejną wersję pana Cole'a – wścibskiego

i wstrętnego – musiałyby się uzbroić w cierpliwość na cały następny odcinek drogi. Przygotować na te wszystkie pytania i na raniące słowa.

Ale stało się inaczej. Jeszcze zanim porządnie zabrała się do szukania wozaka, poczuła, że ktoś ciągnie ją za płaszcz. Uśmiechała się do niej drobna kobieta. Miała przypinkę z drozdem i kapelusz, który chyba miał być stylowy, chociaż Adelaide nigdy nie miała oka do takich spraw.

– Tak, proszę pani? – zapytała Adelaide.

Kobieta nie puściła jej płaszcz. Zupełnie jakby chciała powstrzymać ją od wejścia do miasta. Zabronić jej wstępu. Jeszcze jedna przeszkoda w podróży, która i tak była już ich pełna. Ale wtedy kobieta się do niej odezwała.

– Szuka pani woźnicy? – zapytała.

Adelaide przyglądała się jej z rezerwą.

– Proszę mi wybaczyć – dodała kobieta. – Nazywam się Jerrine Reed. Witamy w Big Sandy.

Trudno przecenić wagę tych słów dla Adelaide Henry. Nieznajoma urosła w jej oczach proporcjonalnie do szczodrości jej serca, Adelaide miała wręcz wrażenie, że kobieta dorównuje jej wzrostem.

– Niech pani zapyta o pana Olsena – poradziła nieznajoma. – To jedyny uczciwy przewoźnik w naszym mieście. – Rozejrzała się w prawo i w lewo z konspiracyjnym uśmiechem. – Tylko proszę nie mówić innym woźnicom, że tak powiedziałam.

I oddaliła się w stronę pociągu. Potem stanęła na peronie, jakby na coś czekając, a Adelaide nie odrywała od niej wzroku. Pani Reed uniosła ręce i – jakby na ten znak – sześciu mężczyzn z wielkim wysiłkiem wyniosło na peron ogromny przedmiot ukryty w skrzyni. Pani Reed wskazała skrzynię i zaczęła, aż jeden z ludzi pobiegł po łom, a kiedy wrócił, poleciła mu podważyć wieko. Każdy pasażer, każdy mieszkaniec, nawet zwierzęta – wszyscy zamarli w bezruchu i przyglądali się w skupieniu pani Reed.

Boki skrzyni oderwano, a wtedy tylna ścianka sama odpadła i oto na peronie stanął model 190 Wurlitzera. Organy teatralne zbudowane przez Rudolph Wurlitzer Company z North Tonawanda w stanie Nowy Jork, a następnie przewiezione pociągiem aż do Montany. Szerokie na piętnaście stóp, głębokie na czternaście. Pięćset osiemdziesiąt cztery piszczałki uporządkowane w ośmiu rzędach. Niemal czterysta funtów wagi. Dwie kolejne większe skrzynie nadal stały w wagonie towarowym, znajdowały się w nich piszczałki i traktura organów. Pani Reed miała na peronie dokonać prze-

glądu każdego elementu, co miało zająć wiele godzin, ale lepiej zrobić to tutaj, niż kazać to wszystko wieźć do opery i dopiero potem odkryć jakieś uszkodzenia. Pani Reed podeszła do organów i położyła dłoń na jednej z klawiatur instrumentu. Pod tym bezkresnym niebem sprawiało to wrażenie, jakby zamierzała zagrać melodie dla Boga. Potem klasnęła i dała znak robotnikom, by brali się do pracy.

Adelaide w końcu odwróciła wzrok od tego widowiska z panią Reed w roli głównej i zagłębiła się w miasto, które leżało zaledwie dziesięć jardów od peronu kolejowego. Kręciło się tam kilku przewoźników przed swoimi wozami, każdy zarabiał na życie, wożąc nowych, pełnych nadziei osadników do ich siedlisk. Ale Adelaide już powiedziano, kogo konkretnie ma odszukać – pana Olsena. Chodziła od woźnicy do woźnicy, aż w końcu go znalazła.

To był dopiero wielki jegomość. A jeśli Adelaide Henry tak pomyślała, to już coś znaczyło, bo przy jej potężnej posturze karłała większość kobiet i mężczyzn. Gdy miała go teraz przed sobą, wydawał się wielki jak te góry Bear Paw w oddali. Tylko że on miał ciepły uśmiech. A wiecie, kto jeszcze miał ładny uśmiech? Jej ojciec, Glenville. Chociaż kilka zębów miał ułamanych, pokazywał je każdej napotkanej osobie. Bez skrępowania. Być może właśnie uśmiech był najlepszym, co miał do zaoferowania, oprócz tych śliwek japońskich.

– Mogłoby się znaleźć miejsce – powiedział pan Olsen głosem dudniącym jak tłoki lokomotywy. – Ale to zależy, co chce pani przewieźć.

– Tylko siebie – odparła cicho. – I mój kufer podróżny.

Pan Olsen spojrzął na swój wóz, do połowy załadowany.

– Zgodziła mnie już jedna rodzina. Ale jeśli ma pani tylko kufer, pewnie by się zmieścił – powiedział, po czym popatrzył na nią podejrzliwie. – I to naprawdę cały pani bagaż?

– Uważa pan, że to nierozsądnie? – zapytała. Patrząc mu w oczy, dostrzegła coś, czego nie widziała od dłuższego czasu: troskę.

– Nie mnie oceniać – odparł pan Olsen. – Przynajmniej póki mi pani nie zapłaci. – Uśmiechnął się znowu, a wtedy stało się coś niespodziewanego.

Po raz pierwszy od bardzo dawna ona też się uśmiechnęła.

## 8

– Wątpię, czy w jakimś innym stanie panuje lepszy klimat.

Adelaide powiedziała te słowa do siebie, siedząc z tyłu wozu, który jechał przez Badlands, dzikie pustkowia Montany, a wichur dął z taką siłą, że niemal zginał Adelaide w pół.

– Zimy są tu łagodniejsze niż na terenach bardziej na wschód, a pora chłodna trwa krócej – ciągnęła.

Wiatr.

Jak go pojąć? Żadne zdarzenie w życiu na ten wichur jej nie przygotowało. Wiatr tworzył wiry jak ocean, miał podobną potęgę, ale sprawiał wrażenie groźniejszego, bo pozostawał niewidoczny. Wsiadła na ten otwarty wóz godzinę temu i przez sześćdziesiąt minut bez przerwy wiatr ją smagał, ciosał i wygładzał. Montana już zaczęła rzeźbić ją po swojemu.

Adelaide spojrzała na siedzącą po przeciwnej stronie wozu rodzinę, która najęła pana Olsena. Na kobietę i jej czterech synów. Chłopcy mieli od około dwunastu do siedemnastu lat. Wszyscy – matka i synowie – byli chudzi jak szczapy, ale wyglądali na krzepkich, niema słabych. Siła Adelaide brała się z blisko dwudziestu lat orki na polu, młócenia gleby. Ta rodzina parała się innym rodzajem pracy, ale Adelaide nie potrafiła zgadnąć jakim. Nie odezwali się do niej ani słowem. Ani do pana Olsena, nie w jej obecności. Pan Olsen ich sobie przedstawił.

„Rodzina Mudge’ów”.

Kiedy Adelaide wsiadała na wóz, spojrzała na matkę tych chłopców i pozdrowiła ją skinieniem głowy, ale kobieta tylko patrzyła na nią z kamienną twarzą. Potem Adelaide przez jakiś czas nie zwracała na nikogo uwagi, nie spoglądała na chłopców, aż wóz wyjechał z miasta. Oczywiście w Big Sandy widziała, że są, ale nie dostrzegła wtedy jednego ważnego szczegółu: wszyscy czterej mieli oczy przewiązane chustką. Teraz, po godzinie drogi, nadal nie zdjęli chustek ani nie zerkali spod nich. Dopiero po pewnym czasie Adelaide zrozumiała: wszyscy czterej chłopcy byli niewidomi.

„Rodzina Mudge’ów”.

Matka czterech niewidomych synów wyrusza do Montany, żeby się osiedlić na ziemi.

Gdy Adelaide w pełni pojęła tę sytuację, tak nią to wstrząsnęło, że niemal spadła z wozu. I w jednej chwili wybaczyła kobiecie, że nie odpowiedziała na jej pozdrowienie. Jakież wielkie nerwy i niepokój musi pani Mudge przeżywać. Matka czterech niewidomych chłopców. Na tym pustkowiu.



Jezu Chryste, myślała Adelaide. O mój Boże.

Aby się uspokoić, zamknęła oczy i powtórzyła w myślach wersy z listu Mattie T. Cramer. Dopiero teraz, na wozie, kiedy recytowała list, zdała sobie sprawę, że zna na pamięć całą jego treść.

Jeśli Mattie T. Cramer dała sobie radę, to Adelaide też może.

Jeśli Mattie T. Cramer dała sobie radę, to pani Mudge i jej chłopcy też mogą.

– Latem prawie nieznanne są tu gorące wiatry, od których schnie roślinność – ciągnęła Adelaide. Skuliła się i pochyliła na tylnym siedzeniu, próbując się schować przed smagającym wiatrem, ale niewiele to pomogło.

– Brednie!

Adelaide otworzyła oczy. Szukała osoby, która to powiedziała. Nie pani Mudge. Nie chłopcy. Pan Olsen. Oglądał się przez ramię ze swojego kozła.

– To, co pani opowiada, to wierutne bzdury – powiedział do Adelaide.

Nie miała pojęcia, jakim cudem usłyszał ją przez to wycie wichru. Może nawykł do wyciszania ciągłego świstu w głowie? A może ona te słowa wykrzyczała?

– Nie powinna pani dawać wiary kolejowemu szmatławcowi – grzmiał.

Kolejowemu szmatławcowi? Artykułowi Mattie T. Cramer? Wprawdzie ukazał się drukiem na łamach „Biuletynu” Wielkiej Kolei Północnej, ale to przecież nie odbierało wagi świadectwu tej kobiety, prawda?

Pan Olsen zaśmiał się na kozle. Choć jego też musiał mocno smagać wiatr, siedział prawie nieruchomo. Sztywny i zadowolony z siebie. W mieście pan Olsen wzbudził w niej sympatię, ale teraz jej uczucia do niego znacznie ochłodziły. Zanim jednak zdążyła cokolwiek powiedzieć, pani Mudge powstała ze swojego siedzenia. Oparła dłoń na ramieniu najmłodszego syna, aby zachować równowagę.

– Moi synowie nie potrzebują wysłuchiwać cyników! – krzyknęła do woźnicy. – I ja też nie!

Brawo, droga pani! – pomyślała Adelaide. Nawet się do niej uśmiechnęła, ale pani Mudge tego nie zauważyła.

– Zbyt długą drogę przebyliśmy – ciągnęła.

Te słowa powiedziała już ciszej. Adelaide lewie je dosłyszała. Pani Mudge musiała je zatem powiedzieć do siebie, nie do pana Olsena. „Zbyt długą drogę przebyliśmy”.

Ja też, pomyślała Adelaide.

Koło wozu akurat wpadło w dziurę na drodze pełnej wykrotów. Cały wóz się przechylił, a pani Mudge straciła równowagę. Zupełnie jakby pan Olsen zrobił to celowo, ale pewnie tak się tylko wydawało przez te wszystkie emocje. Przecież całą drogę wóz co chwila się kołysał, chwiał, podskakiwał i opadał, odkąd tylko wyjechali z miasta.

Tylko że kiedy pani Mudge straciła równowagę, mocno uderzyła dłonią, tą swobodną, o kufer Adelaide. Tak mocno, jakby łomotała do drzwi.

Wzrok Adelaide natychmiast pobiegł do mosiężnej klamry. Czy to na wykrotach tak zagrzechotała, czy z innego powodu?

Adelaide zerwała się z siedzenia, rzucając cień na postać pani Mudge.

– Proszę się odsunąć! – krzyknęła. – Już!

Delikatnie pchnęła dłonią tę szczupłą kobietę – w każdym razie zamierzała to zrobić delikatnie.

Ale pani Mudge, drobna kobieta, opadła na siedzenie z taką siłą, że może Adelaide wcale jednak delikatna nie była. A wtedy stała się rzecz niezwykła: chłopcy się poruszyli.

Gdy tylko pani Mudge upadła na ławkę wozu, wszyscy czterej synowie powstali. Przechylili głowy, jakby nasłuchiwali, gdzie jest Adelaide. Stanęli w pozach napastników gotowych do ataku, każdy zwrócony dokładnie w jej stronę, przygotowany do skoku. Ich koordynacja, sprawność ich bezszelestnych ruchów zachwyciły i przeraziły Adelaide. Wcześniej uznała, że skoro są niewidomi, są też bezradni, i z tego powodu czuła się teraz niezręcznie.

Tych czterech chłopaków było gotowych zabijać.

– Spokój – nakazała im pani Mudge. Powiedziała to cicho, a mimo to zareagowali natychmiast.

Niemal jednocześnie usiedli z powrotem. Jakby nigdy w ogóle nie ruszali się z miejsc.

Pan Olsen, przyczyna tego całego zamieszania, nie odzywał się ani słowem. Prowadził wóz ze wzrokiem wbitym w drogę i nie oglądał się w tył. Może też się wystraszył tej czwórki chłopców?

Pani Mudge również patrzyła w dal, ignorując Adelaide z milczącą furią.

Tylko Adelaide nadal stała. Nagle znowu poczuła chłód, zachwiał nią wiatr. Spojrzała na kufer, potem podniosła wzrok na panią Mudge.

Ogarnęło ją dobrze znane uczucie. O tak, Adelaide znała je znakomicie. Widowisko – przesadna reakcja – wstyd.

„Dziwacy. Tak ludzie mówią o Henrych”.

Powinna przeprosić? Pewnie tak.

Przeprosiła? Nie.

Zamiast tego skurczyła się. To umiała. Ćwiczyła to całe życie. Była wielka, a kurczyła się do rozmiaru, który można wsunąć do kieszeni płaszcza.

„Dziwacy. Tak ludzie mówią o Henrych”.

Adelaide szarpnęła za mosiężną klamrę. Zamek pozostawał zamknięty. Bezpieczny.

Jechali w milczeniu, wokół wył wicher.

## 9

– Wszyscy musicie zsiąść z wozu – zarządził stanowczo pan Olsen.

Najmłodszy chłopiec Mudge'ów poderwał głowę.

– Jeszcze czego? – wykrzyknął.

Adelaide raptownie na niego spojrzała. Pierwszy raz słyszała, by któryś z synów pani Mudge się odezwał.

Pan Olsen zatrzymał wóz, złożył lejce na kolanach i wzniosł bat. Dotąd ani razu nie użył go do popędzania koni. Czy teraz zamierzał pobić nim dziecko? Bat zgiął się jak różdżka, która odkryła wodę. Wiatr w Montanie nie pozwalał, by cokolwiek trzymało się prosto.

– Przed nami głęboki wąwóz – wyjaśnił spokojnie pan Olsen. – Koniom będzie łatwiej, jeśli im nieco ulżymy.

Adelaide zsiadła z wozu. Pani Mudge zeszła po stopniu na ziemię i pomogła zsiąść najstarszemu synowi, trzymając go za dłoń. Potem pomogła kolejnemu pod względem starszeństwa i następnemu, aż wszyscy zsiadli. Działali z wielką precyzją, dobrze wyćwiczeni.

Droga przed nimi opadała w głęboką nieckę. Najwyraźniej był to właśnie wąwóz. Stromy spadek, a potem na drugim zboczu stroma wspinaczka na drugi brzeg. Rozpadlina większa niż parów, mniejsza niż dolina. Pasażerowie mieli przejść o własnych siłach, pan Olsen zaś miał przeprowadzić konie i wóz.

Ziemia w wąwozie była błotnista, trzewiki się w nią zapadały. Adelaide i pani Mudge miały na sobie suknie, synowie pani Mudge – garniturki. Zanim przeszli dwadzieścia kroków, wszystkie rąbki sukien i mankiety nogawek były już uwalane.

Pan Olsen strzelił z bata i czwórka koni ruszyła w dół po stoku, a za nimi nierówno toczył się wyładowany wóz. Gdy konie dotarły na sam dół, grzą-

skie dno wąwozu odebrało im połowę sił. Bat pana Olsena w końcu poszedł w ruch i poganiał je naprzód, ale niedługo potem pan Olsen stanął za wozem i sam zaczął pchać.

Całkiem szybko stało się jednak jasne, że wóz z wąwozu nie wyjedzie.

– Cholera jasna! – przeklął pan Olsen słabo, niemal równie zasapany jak konie. Adelaide usłyszała go tylko dlatego, że stała tuż obok. Już chciała zaproponować, że pomoże pchać.

Pan Olsen poszedł do koni, żeby je uspokoić i dać im na chwilę wytchnienia. Tymczasem Mudge'owie dotarli już na drugi brzeg wąwozu.

– Radziłbym, żeby pani też się do nich wspięła – powiedział pan Olsen do Adelaide.

Adelaide tylko raz rzuciła okiem na swój kufer, weszła po skarpie i stanęła obok rodziny Mudge'ów na krawędzi wąwozu. Wicher, który za dnia wiał z wielką mocą, teraz, pod wieczór, stał się jeszcze bardziej porywisty. I było im jeszcze zimniej. Mudge'owie zbili się w ciasną gromadkę.

Ponieważ Adelaide nie miała nikogo, skuliła się i objęła ramionami. Przytuliła samą siebie.

Niedługo potem pan Olsen wspiął się na brzeg wąwozu i przywołał do siebie pasażerów. Z ugrzęźniętego w błocie wozu przyniósł lampę naftową Dietza. Ani jedno z nich, nawet Adelaide, nie sięgało panu Olsenowi do ramion. Obie kobiety i czterej chłopcy stali pod osłoną wielkiego woźnicy.

– Rozładuję wóz i wtaszczę tutaj po kolei wasze rzeczy. Chcę ulżyć koniom na tyle, by zaprzęg ruszył. Potem załaduję wszystko z powrotem.

– Ale jest prawie noc – zauważyła zaniepokojona Adelaide.

Pan Olsen kiwnął głową, ale na nią nie spojrzał. Pomyślała, że gdyby popatrzył jej w oczy, mógłby przerazić się ogromem roboty, jaka go czekała.

– Nieważne – odparł, przełykając głośno ślinę.

– A co z nami? – zapytała pani Mudge. – Moi chłopcy panu nie pomogą. To zadanie nie dla nich.

Pan Olsen wskazał na północny wschód.

– Zaprowadzę was wszystkich do bezpiecznego schronienia. Potem tu wrócę.

Pan Olsen ruszył w kierunku wschodnim. Niemal w tej samej chwili Adelaide znowu poczuła porywy zimnego wichru. Dla tego ziąbu zostawiła za sobą ciepłe kalifornijskie noce? Poszła więc w ślad za tym olbrzymim człowiekiem, choćby tylko po to, by poczuć, że nie jest sama.

Rodzina Mudge'ów ruszyła za nimi, pani Mudge na przedzie, najstarszy syn tuż za nią, z dłonią na jej prawym ramieniu. Drugi według starszeństwa brat położył dłoń na prawym ramieniu starszego. Potem podobnie zrobił trzeci, a na końcu najmłodszy. Choć Adelaide oczywiście rozumiała, w jak trudnym są położeniu, nie mogła oderwać wzroku od ich dłoni, od tej nierozwalnej więzi łączącej rodzinę.

– Jestem zakłopotany – wyznał pan Olsen Adelaide. – I nic nie rozumiem. Mój zaprzęg ciągnął już cięższe ładunki. Nie pojmuję, co tym koniom aż tak teraz ciąży.

Adelaide szła obok, kiwając głową, jakby ona też nie pojmowała. Ale oczywiście dobrze wiedziała. Przecież sama spakowała ten kufer. Przywiozła ze sobą całe swoje brzemie. Wiedziała dokładnie, jakie było ciężkie. Konie nie miały żadnych szans.

## 10

Kiedy zaszło słońce, temperatura spadła o ponad dwadzieścia stopni<sup>3</sup>. Był początek września i Adelaide, która wyrosła w ciepłym zaciszu doliny Lucerne, przemarzła do szpiku kości. Dygocząc, z trudem szła u boku pana Olsena. Kilka razy zapytał, czy wszystko w porządku, ale skłamała, że tak.

Mudge'owie pochodzili z wiejskich okolic w stanie Washington i chyba przywykli już do przenikliwego zimna. Chłopcy, mimo ślepoty, szli teraz znacznie bardziej dziarskim krokiem niż ona. Po zachodzie słońca noc okryła ich jak całunem, a pan Olsen zapalił lampę. Wszystko, co było dalej niż na dziesięć stóp, przestało istnieć. Gdyby nie latarnia niesiona przez pana Olsena, ciemność pochłonięłaby ich wszystkich.

– Musimy spędzić noc w starym hotelu – oznajmił pan Olsen poważnym, niemal przeproszającym tonem.

– Daleko jeszcze? – zapytała pani Mudge.

– Już go widać – odparł.

I nagle, jakby wyśniony przez te równiny, wyrósł przed nimi stary hotel.

Piętrowy, zapuszczony, w żadnym oknie nie paliło się światło. Brzydki jak spróchniały ząb. Cały chylił się w jedną stronę, jakby za chwilę miał upaść. Naprawdę pod tym dachem mieli być bezpieczniejsi?

– Kiedyś było tu miasto – wyjaśnił pan Olsen, gdy podeszli do schodów.

– Nie pamiętam, jak się nazywało. Ziemia zabrała wszystko z powrotem. Oprócz tego hotelu.

– Są w nim łóżka? – spytała pani Mudge, spoglądając na synów.

– Nie ma nic oprócz ścian i podłóg – odparł. – W niektórych pokojach nadal jest jeszcze sufit. Proszę się tu rozgościć. Zająć dowolne pokoje. Ja dziś nie położę się spać.

Pani Mudge weszła po schodkach i pchnęła drzwi wejściowe. Kiedy się otworzyły, niemal spadły z jedyne go dobrego zawiasu, na którym jeszcze wisiały. Pani Mudge odwróciła się i wprowadziła po schodkach synów, jednego po drugim. Weszli do holu i pochłonał ich mrok. Gdyby nie szuranie ich butów po podłodze, Adelaide nie potrafiłaby nawet stwierdzić, czy są wewnątrz.

Odwróciła się do pana Olsena, żeby mu podziękować, ale kto tam miałby czas na takie uprzejmości? Pan Olsen już ruszył z powrotem. Patrzyła, jak odchodzi. Światło jego lampy dość długo pozostawało widoczne na tym płaskim terenie. Ponieważ Adelaide nie potrafiła dojrzeć sylwetki pana Olsena, wydawało się, że lampa sama wędruje przez równinę niczym duch szukający spoczynku. Adelaide zastanawiała się, czy pan Olsen wróci.

W końcu ziaęb zmusił ją, by weszła do środka. Z wysiłkiem obsadziła z powrotem drzwi na zawiasach, a gdy je zamknęła, znikł nawet skąpy blask księżycy na równinach. Stała w ciszy przed drzwiami Bóg wie jak długo, aż w końcu mogła już coś słabo dojrzeć, bo blask księżycy wpadał przez szczeliny w popękanych ścianach.

Pusty hol wejściowy, pusty salon, dziesięć pustych pokoiów sypialnych. Adelaide spodziewała się, że znajdzie jakieś podarte koce, jedno czy dwa połamane krzesła, ale wszystko sprzedano, rozkradziono albo po prostu pozwolono, by niszczało. Adelaide miała w torbie pudełko zapalek. Jedna zapalka z tego pudełka podpaliła jej dom w Kalifornii. Obróciła w popiół jej matkę i ojca. Ale Adelaide nie miała ze sobą lampy, nie w torbie podróźnej. Potarła więc zapalkę, trzymała w dwóch palcach i posuwała się naprzód przez niezgłębiony mrok.

Na podeście schodów gdzieś w górze usłyszała panią Mudge, która po dotarciu na piętro rzuciła przekleństwo. Chłopcy szli prowadzeni tą jej bezsilną złością. Adelaide również podążyła za tym sygnałem. Inaczej pewnie nigdy nie znalazłaby schodów.

Gdy wchodziła na górę, poczuła łaskotanie na karku, u podstawy czaszki. Powiedziała sobie, że to tylko wiatr. W ścianach było wiele szczelin, którymi mógł się wślizgnąć do środka. Nie mogła jednak pozbyć się

wrażenia, że ktoś stoi za nią na schodach i dmucha jej w kark. Gdy zapalka się dopaliła, Adelaide pośpiesznie potarła kolejną, upuszczając przy tym ze strachu jedną czy dwie.

Mudge'owie weszli do pierwszego pokoju przy schodach na piętrze. Adelaide to widziała, blask księżycy wpadał przez okna i rozjaśniał wnętrze. Po omacku podeszła do otwartych drzwi tego pokoju, ale pani Mudge ją powstrzymała. Przymknęła drzwi tak, że Adelaide już niewiele dostrzeżała.

– To nie uchodzi, żeby moi synowie spali w jednym pokoju z niezamężną kobietą – oznajmiła – Co by ludzie powiedzieli?

– Ale tu nie ma nikogo oprócz nas – zauważyła Adelaide.

Słyszała, jak chłopcy układają się do snu. Chciała poprosić panią Mudge o zrozumienie – jak kobieta kobietę – chciała obiecać, że będzie zupełnie cicho, że odwróci się twarzą do ściany. Żeby tylko mogła spać w pokoju z innymi, a nie sama.

– Dzięki temu trudna noc nie byłaby aż tak trudna – powiedziała cicho Adelaide. – Gdyby mnie pani wpuściła.

Pani Mudge odchrząknęła.

– Trudna? – zapytała.

Otworzyła drzwi nieco szerzej i zawołała:

– Joab! Podejź.

Podłoga zaskrzypiała cicho i chwilę potem u boku matki stanął najmłodszy syn.

– Ta kobieta uważa, że spanie w samotności w hotelowym pokoju jest dla niej zbyt trudne.

Adelaide cofnęła się. Choć słowa wypowiedziane głośno przez panią Mudge brzmiały nierozsądnie, tak to właśnie odczuwała. Dlaczego ta kobieta rozdmuchiwała sprawę przy dziecku?

– Nie wiedziałem, że jestem niewidomy, póki nie skończyłem sześciu lat – odezwał się chłopiec. Głos mu się łamał, jak to bywa w okresie między dzieciństwem a dojrzałością. Mógł mieć dwanaście, może trzynaście lat.

Joab.

– To znaczy – ciągnął chłopak – nie znałem nikogo, kto uważałby moją ślepotę za trudność. Matka nigdy nie pozwalała uznawać jej za ciężar. Pracowaliśmy w polu, sami, bez mamy, chodziliśmy piechotą do szkoły i z powrotem, odkąd tylko poznaliśmy drogę. Mama nauczyła nas, jak przetrwać.



Pani Mudge spojrzała na chłopca, który niemal dorównywał jej wzrostem, i położyła dłoń na jego ramieniu, a Adelaide poczuła ukłucie bólu. Sama miała już nigdy nie poczuć takiego prostego matczynego dotyku.

– Jeden chłopak w końcu postanowił uświadomić mi moje położenie – ciągnął Joab. – Moją *trudność*. Zaczął wszędzie za mną chodzić i śpiewać „Trzy ślepe myszki”. Na pewno bardzo go to bawiło. Pewnego dnia, w drodze do szkoły, poprowadziłem go do starej studni. A potem go do niej wepchnąłem.

Adelaide aż podskoczyła. Upuściła zapalną, która zgasła na podłodze. Co takiego powiedział?

Pani Mudge zmarszczyła brwi i fuknęła.

– Ale chłopak przeżył – zaznaczyła. – Prawda, Joab?

– Tak jest – potwierdził chłopiec. – Ale już nigdy nie zaśpiewał przy mnie tej piosenki.

Pani Mudge pokiwała głową i popatrzyła na Adelaide.

– Trudności trzeba pokonywać, a nie się nad sobą roztkliwiać.

No i cóż Adelaide miała na to odpowiedzieć? Podniosła z podłogi torbę podróżną i z dłonią na ścianie, by badać nią drogę, ruszyła na poszukiwanie następnego pomieszczenia. Wydawało jej się, że za plecami słyszy zamknięte drzwi do pokoju Mudge'ów. Ale kiedy obejrzała się przez ramię – nie miała pewności, bo panował zupełny mrok – mogła przysiąc, że widziała ciemne sylwetki pani Mudge i Joaba, nadal stojące w progu. Przyglądali się, jak po omacku, samotnie, znajduje drogę w ciemnościach.

## 11

Weszła do pokoju przez następne drzwi, które miłosiernie się za nią zamknęły, a zamek nadal w nich działał. Rozwinęła flanelowy kocyk, który wyjęła z podróźnej torby, spodziewała się bowiem, że na łózkach nie będzie podobnych luksusów. Okazało się jednak, że w pokoju nie było nawet luksusu w postaci łóżka. Złożyła kocyk na pół, żeby mieć choć trochę bardziej miękkie posłanie.

Położyła się, ale nie mogła zasnąć.

Gdyby miała lampkę, mogłaby czytać całą noc, ale nie potrafiła nawet rozpoznać kształtu swojej torby leżącej tuż obok głowy. Musiała sobie powtarzać, że to tylko torba podróżna, inaczej jej wyobraźnia zmieniałaby ją w żyjące stworzenie, w dzikie zwierzę, które zakradło się do jej pokoju na

zer. Nie pomagały w tym odgłosy kojotów na równinach. Kojoty chichotały i nawoływały się niemal ludzkimi głosami.

Glenville Henry miał okropny głos, ale Adelaide uwielbiała jego brzmienie, gdy ojciec czytał jej lektury. Gdy zamknęła oczy, słyszała ten głos nawet teraz, ojciec dotrzymywał jej więc towarzystwa całą noc.

Przez chwilę poczuła, że siedzi między kolanami matki, która czesze jej włosy, układa je delikatnymi, ale wprawnymi ruchami, palcem wskazującym wciera olej w jej głowę. Myśli Adelaide powędrowały z powrotem do doliny Lucerne. Czuła palce matki we włosach, słuchała ojca, który czyta jej *Lokatorkę Wildfell Hall* Anne Brontë.

– „Trzeba nam się cofnąć do jesieni roku 1827” – czytał Glenville pierwsze zdanie powieści.

Ileż razy czytał tę powieść córce i żonie? Żadnej innej książki rodzina Henrych nie studiowała częściej, nawet Biblii.

– „Mój ojciec, jak wiecie, był szlachcicem na zagrodzie, a ja, na jego wyraźne życzenie, odziedziczyłem po nim to samo zajęcie, bez wielkiej chęci, ambicja pchała mnie bowiem ku wyższym celom, próżność zaś przekonywała, że jeśli jej nie posłucham, zakopię swój talent w polu i przysypię zdolności korcami zboża”.

„Dziwacy. Tak ludzie mówią o Henrych”.

Może właśnie stąd wzięły się plotki. Ponieważ do kościoła chodzili bez zapału, a w końcu całkiem przestali. Ponieważ nie modlili się żarliwie. Jakby żadne z nich nie było przekonane, że ktokolwiek lub cokolwiek ich słucha.

Kiedy rodzina Henrych miała wolny wieczór, po kolacji czytała też inne powieści. *Psa Baskerville’ów* i *Up from Slavery*<sup>4</sup>; autobiografię Helen Keller<sup>5</sup> i *Iolę Leroy*<sup>6</sup>. Eleanor nalegała, by Glenville czytał właśnie takie książki, opowieści, inaczej równie chętnie czytałby żonie i córce katalogi nasion, które kolekcjonował.

I od pierwszego dnia, kiedy ojciec przeczytał jej fragment *Lokatorki Wildfell Hall*, Adelaide wiedziała, że to właśnie to. Czy rodzice potrafiliby zrozumieć, dlaczego ta książka była jej ulubioną ze wszystkich? Że pierwsze zdania tej historii nie były wcale o jakimś angielskim dżentelmenie, a o niej?

*Mój ojciec, jak wiecie, był szlachcicem na zagrodzie, a ja, na jego wyraźne życzenie, odziedziczyłam po nim to samo zajęcie, bez wielkiej chęci, ambicja pchała mnie bowiem ku wyższym celom, próżność zaś prze-*

konywała, że jeśli jej nie posłucham, zakopię swój talent w polu i przysypię zdolności korcami zboża.

Ostatniego dnia, tego zupełnie ostatniego, jaki mieli razem spędzić, Glenville sam z chęcią zaczął im czytać. Tym razem Adelaide siedziała w fotelu, a Eleanor na podłodze. Matce włosy już się przerzedzały. Od lat siwiały, ale tym razem, kiedy Adelaide je czesała, odkryła, że włosy Eleanor wypadają.

Widząc upływ czasu wypisany na głowie matki, poczuła, że jej własny czas także upływa. Ojciec czytał powieść, a ona wcierała olej w skórę matczynej głowy najdelikatniej, jak umiała, i uświadomiła sobie, że ona, Adelaide Henry, ma trzydzieści jeden lat. Oczywiście wiedziała to już wcześniej, ale tym razem tę myśl odczuła inaczej, jakby nabrała w płuca za dużo powietrza naraz.

Włosy jej matki były siwe, a głos jej ojca czytającego książkę brzmiał słabiej niż kiedykolwiek wcześniej. Po śmierci rodziców odziedziczyłaby tę farmę i rodzinne obowiązki i już nigdy by stąd nie wyjechała. Byłaby przykuta kajdanami do tego gospodarstwa aż do swojej śmierci.

Ogarnęło ją przedziwne poczucie – niemożliwe, ale tak właśnie czuła – że jej matka *rozumiała*, co Adelaide w tamtej chwili myśli, zupełnie jakby komunikat przenikał przez czubki jej palców do umysłu Eleanor. Matka podniosła wtedy dłoń i poklepała nadgarstek córki, jakby mówiła: „Kobieta to wół roboczy. Pamiętaj. Mówiłam ci. Kobieta to...”.

Następnego dnia rano Eleanor i Glenville już nie żyli.

A kolejnego dnia Adelaide podpaliła ich ciała i uciekła.

## 12

Raptem wstał świt, szybko jak z bicza trzasnął. Czy w ogóle spała? Nie umiała powiedzieć. Zeszłej nocy słyszała ojca, czuła włosy matki, a teraz był już dzień. Słońce świeciło jasno, wpadało przez szczeliny w ścianach i Adelaide znowu stała się siebie świadoma. *Jestem*. Musiała w nocy spać, ale nie czuła tego.

Na dworze parskwały konie pana Olsena, podniosła się więc, podeszła do okien i wyjrzała na zewnątrz. Pan Olsen dotrzymał słowa. Przed wejściem stał wóz; widziała swój kufer Sewarda.

Wszystko było.

Cztery konie, wóz, kufer Adelaide, wszystkie bagaże Mudge'ów, wszystko jak należy. A gdzie sam woźnica? Nigdzie nie było go widać. Przywiązał lewego konia z przedniej pary do barierek przy hotelu. Gdyby konie rzuciły mocniej głową, wyrwałyby przegniłą żerdź z ziemi. Ale były dobrze wytresowane i stały spokojnie. Teraz Adelaide przyjrzała się uważnie swojemu kufrowi. Nawet z tej odległości coś wydawało się nie w porządku, ale nie miała pewności, stojąc w oknie. Plecy jej zeszywniały, a gardło ścisnęło lęk.

Adelaide wypadła przez drzwi, popędziła korytarzem i w dół po schodach, niemal na złamanie karku. Skraj jej sukni owinał się wokół kostek i uderzyła ciałem o ścianę u stóp schodów. Nie czuła bólu, nawet nie była tego świadoma, choć później miała siniec na lewym ramieniu.

Wybiegła przez drzwi i pognęła prosto do wozu. Nie wsiadła na niego, a wskoczyła. Wóz ugiął się pod jej ciężarem. Adelaide Henry była krzepką kobietą. Jej matka czuła się dumna z siły wszystkich kobiet w rodzinie Henrych. „Kobieta to wół roboczy”. To powiedzenie miało również pozytywny wydźwięk. W te dni, kiedy Glenville wyjeżdżał i nocował poza domem, Eleanor i Adelaide pilnowały, by farma działała sprawnie. Już w wieku dziesięciu lat ta druga umiała prowadzić pług. Gdy dorosła, odkryła zalety bycia kobietą potężnej budowy, a bez wątpienia było ich wiele.

Teraz, gdy była już na wozie, w końcu pojęła, co było nie tak. Mosiężna klamra. Nadal trzymała się kufra, ale była otwarta.

Otwarta.

Adelaide chwyciła za sznurek, który miała na szyi, za jedyny klucz. Nadal wisiał na jej piersi.

– Wie pani, co się stało w tym hotelu? Zanim zamknęli miasto na dobre?  
– usłyszała głos pana Olsena, który stanął koło wozu. – Człowieka nazwiskiem Vardner powieszono tutaj, na werandzie – poinformował.

Zaskoczona Adelaide aż przewróciła się w tył, przez co cały wóz się zatrząsnął. Spojrzała na pana Olsena, usiłując zrozumieć te słowa, ale mosiężna klamra wisiała luźno i przykuwała jej uwagę, odbierała dech.

– Vardner kradł bydło i dał się złapać miejscowemu Komitetowi Strażników Obywatelskich – ciągnął pan Olsen. – Kradzieże to tutaj poważny kłopot.

Pan Olsen poklepał bok wozu, żeby na niego spojrzeć, a jego dłoń była tak wielka, że odgłos uderzenia w deski niósł się potężnie jak grzmot. Teraz Adelaide spojrzała, gdzie wskazywał – na schody prowadzące do starego

hotelu. Na werandę, gdzie tego człowieka powieszono za kradzież. Zmieszana i zakłopotana, Adelaide przeniosła wzrok z werandy na pana Olsena. Potem z powrotem na kufer.

– Ale ja nie...

Pan Olsen kiwnął głową, choć jego wzrok mówił, że nie słucha.

– Proszę już zejść.

– Mówi mi pan o kradzieży – powiedziała. – Ale klamra zamka na moim kufrze jest otwarta.

Pan Olsen nachylił się nad wozem, żeby się przyjrzeć.

– No proszę – powiedział cicho.

– Owszem – przytaknęła Adelaide. – No proszę.

Pan Olsen westchnął, patrząc na kufer.

– To najcięższy bagaż, jaki kiedykolwiek miałem pecha przewozić. Musiałem użyć siły dwóch koni, żeby go wyciągnąć z wąwozu. Zamek pewnie się otworzył przy jakimś uderzeniu.

Adelaide wydeła usta i zmarszczyła czoło. Tylko takie znajdował wyjaśnienie?

– Cóż, nie jestem złodziejem – powiedział pan Olsen podniesionym tonem.

Wbijał w nią wzrok, twarz mu poczerwieniała, jakby dostał w policzek.

Adelaide uniosła brwi.

– Ach tak? Czyżbym pana obraziła? Proszę sobie wyobrazić, jak ja się czułam, kiedy pan sugerował to samo.

Pan Olsen odsunął się od wozu, kiwając głową.

– Możemy zawrzeć pokój? – zapytał. – Jest pani głodna?

Adelaide spojrzała na kufer i spróbowała pchnąć go obiema dłońmi. Sprawdzała jego wagę. Prawie nie drgnął, co znaczyło, że nadal jest pełny. Nie mogła go otworzyć, żeby sprawdzić zawartość, nie przy panu Olsenie, zamknęła więc zamek kluczykiem i pociągnęła klamrę dwa razy. Klamra bezpiecznie się trzymała.

– Zrobiłem śniadanie – powiedział pan Olsen. – Zapraszam na posiłek, pani Henry.

Pan Olsen rozpałił małe ognisko przy zachodniej ścianie starego hotelu. Z tyłu, za ścianą budynku, który osłaniał ich przed wiatrem, łatwiej było podtrzymywać ogień. Pan Olsen gotował fasolę. Adelaide zjadła szybko, choć gorąca fasola parzyła jej język. On kiwał głową, patrząc, jak je.

– W tych stronach każdego dnia zapracuje pani na głód.

– Przespał się pan choć trochę? – zapytała.

– Ja? – zapytał z udawanym lekceważeniem. – Nie narzekam.

Jego twarz dawała inne świadectwo. Oczy miał czerwone jak śliwki japońskie. Adelaide skończyła jeść fasolę i miała ochotę na dokładkę. Chciała jeszcze raz zapytać o swój kufer, o ten zamek, który wyglądał, jakby ktoś go otwierał. Ale co będzie, jeśli pan Olsen obrazi się tak bardzo, że zrzuci kufer z wozu i ją tu zostawi? Zabierze Mudge'ów, a Adelaide porzuci? Woźnica Cole, kontroler biletów na parowcu „Queen” – oni byli wobec niej grubiańscy, wydawało się wręcz, że okrutne traktowanie Adelaide sprawia im przyjemność, dlaczego więc pan Olsen miałby zachować się inaczej?

Lepiej porozmawiać o czymś innym. Przyszło jej na myśl pewne niezwykle ważne pytanie.

– Proszę pana – odezwała się Adelaide. – Pozwoli pan, że zapytam bez ogródek.

– Śmiało – odparł. Wpatrywał się w fasolę bulgoczącą na ogniu. Zjadł chociaż trochę?

– Czy znajdę tutaj innych Murzynów? – zapytała.

Pan Olsen zakasłał zdumiony. Nie takiego pytania się spodziewał.

– Tam, skąd pochodzę – ciągnęła Adelaide – wszyscy farmerzy byli Murzynami. Całe dwadzieścia siedem rodzin. W dolinie Lucerne, w Kalifornii. Słyszał pan o nas?

Pan Olsen zamyślił się, patrząc w dal.

– Chyba nie słyszałem – przyznał w końcu. – Ale nigdy nie byłem w Kalifornii.

Adelaide poczuła rozczarowanie. Lekkie. Byli przekonani, że jest o nich na swój sposób głośno. Ale co ona takiego wiedziała o Montanie przed Mattie. T. Cramer? Czyjaś opowieść życia na pierwszej stronie gazety mogła nawet nie zasłużyć na jeden wers w innym piśmie.

– Jeśli chodzi o Murzynów – ciągnął pan Olsen. – Ponieważ będzie pani w okolicach Big Sandy, w końcu pozna pani Bertie.

– Bertie – powtórzyła Adelaide.

– Bertie Brown – dodał pan Olsen. – Annie Morgan też tutaj mieszkała, na tej ziemi, ale umarła, chyba zeszłego roku. Miała siedlisko dalej na południe, w Philipsburgu.

Adelaide poklepała się po udach.

– Dwie Murzynki. A jedna z nich nie żyje.

Pan Olsen nie krył rozbawienia.

– Na to wychodzi. – Przyglądał jej się przez chwilę. – To panią martwi?

Siedziała w milczeniu, wpatrując się w twarz pana Olsena. Wiedziała, że gdy człowiek ujawni własne obawy, naraża się na ciosy. Ponieważ milczała, sam w końcu się odezwał.

– Tak naprawdę to Chińczycy pokazują tutaj rogi, szanowna pani. Mnóstwo ludzi ich nie lubi. I również czerwonoskórzy mają niewielu przyjaciół.

– Rozumiem – powiedziała cicho.

– Nie uspokajam pani, prawda?

– Nie bardzo.

Nałożył jej drugą porcję fasoli z puszki. Zjadła ją ze swojej miski. Stary hotel na razie osłaniał ich przed wiatrem, ale w końcu będą musieli opuścić to schronienie. Adelaide trzymała długo fasolę na języku, nie przełykała jej od razu. Kiedy znowu będzie jadła fasolę? Nie mogła mieć pewności. Chciała się rozkoszować na zapas.

– Kiedy ludzie potrzebują siebie nawzajem, znajdują sposób, żeby się porozumieć – odparł pan Olsen. – Żałuję, że nie mogę powiedzieć nic lepszego o gatunku ludzkim, ale nie poradzę na to.

Sięgnął w bok i wyjął skądś puszkę suszonych brzoskwiń.

– Ta ziemia usiłuje zabić każdego z nas po kolei, proszę mi wierzyć. A my utrzymujemy się wzajemnie przy życiu. Nie wszyscy pani sąsiedzi serdecznie panią przyjmą, ale dają słowo, że pomogą pani w potrzebie. Bo będzie i tak, że to oni będą potrzebowali pani pomocy. Tak czy owak, nie mogę dać pani żadnej lepszej rady ani nadziei.

Pan Olsen podał jej puszkę suszonych brzoskwiń. Adelaide wzięła tylko dwie.

– Proszę wziąć więcej.

– Chłopcy pani Mudge też będą chcieli się poczęstować – zaznaczyła Adelaide.

Pan Olsen podniósł wzrok na hotel.

– Mudge'owie pojechali.

Adelaide zamarła w pół kęsa. Nie patrzyła na hotel, ale z powrotem na wóz, na jej kufer. Klamra była otwarta, ale skrzynia ważyła tyle samo.

– Dokąd? – zapytała drżącym głosem.

– Nie wiem. Pewnie naprzód. Wozy przejeżdżają tędy o przeróżnych porach, z różnych stron. Jeśli jest miejsce, woźnica zawsze przyjmie.

– Pięć osób? I zostawili tutaj cały dobytek?

– Rzeczywiście wydaje się dużo. Ale każdy okazałby współczucie matce z czterema niewidomymi synami. Ponieważ zostawili bagaże na wozie, jestem zobowiązany dowieźć je na miejsce. Ale najpierw pojedę z panią do pani siedliska.

Potrząsnął puszką. Suszone brzoskwinie, pomarszczone i gumowate, wyglądały teraz upiornie, jak peklowane mięso. Podziękowała, ale odmówiła.

Spała w nocy, prawda? Dlaczego nie pamięta? Dlaczego nie czuła się ani trochę wypoczęta?

„Mudge’owie pojechali”.

Olsen ugasił ogień, butem zagarnął ziemię na tłące się szczapy. Silny wiatr mógł z łatwością roznieść drobinki żaru na ściany starego hotelu i cały budynek zająłby się ogniem, w którym spłonąłby ostatni dowód istnienia tego dawnego miasta.

Adelaide przyglądała się, jak pan Olsen gasi ognisko, nie potrafiła jednak stwierdzić, czy sama stoi, czy siedzi. Klamrę zamka ktoś otworzył, a teraz. A teraz.

„Mudge’owie pojechali”.

Poszła do hotelu zebrać swoje rzeczy. W świetle dnia sprawdziła pokój, w którym nocowali Mudge’owie, ale był pusty. Zajrzała do każdego pomieszczenia na piętrze w nadziei, że zastanie w nim matkę z synami, że będą spali w jakimś ukrytym zakątku.

Ale nie.

„Mudge’owie pojechali”.

## 13

Nie było żadnych sąsiadów. Nie w takim znaczeniu, do jakiego Adelaide przywykła. W dolinie Lucerne najbliżsi sąsiedzi, rodzina Gainesów, mieszkali dwie mile dalej. Wtedy myślała, że żyje w odosobnieniu, ale tutaj – należy powtórzyć – nie było żadnych sąsiadów. Była tylko ziemia.

Kiedy pan Olsen zajechał wozem pod samą jej chatę, Adelaide wybuchła śmiechem.

To nie mogło być tutaj.

Jak okiem sięgnąć, jej najbliższym towarzystwem były góry Bear Paw. Nawet Adelaide, choć wzrok miała ostry, musiała zmrużyć oczy, żeby je dojrzeć.



Pan Olsen pomógł jej staszczyć kufer z wozu. Musieli się natrudzić, żeby go wepchnąć do chaty. Zanim pan Olsen z powrotem wsiadł na wóz, Adelaide dotknęła jego dłoni, a on się do niej odwrócił. Albo jej ręka pozostała dłużej na jego dłoni, albo to on ją przytrzymał.

– Naprawdę uważa pan, że Mudge'owie będą czekać na pana na swojej działce?

Popatrzył na ich dłonie, które nadal się dotykały.

– Myślałem, że nie to pani powie.

Adelaide wiedziała, co miał na myśli, ale udała, że nie wie. Tak było lepiej. Bezpieczniej. Założyła ręce na piersi i powiedziała szybko:

– A jeśli przejedzie pan taki kawał drogi... – zaczęła i urwała. Nabrała powietrza. Naprawdę zamierzała to powiedzieć? – A jeśli ich tam nie będzie? Co się stanie z ich bagażem?

Pan Olsen spojrzał na wagon, a potem z powrotem na nią.

– Według prawa będę mógł go sprzedać. Ale wątpię, żebym wiele na tym zarobił.

Adelaide nie patrzyła na pana Olsena, kiedy powiedziała:

– Jeśli ich pan tam nie zastanie, proszę wrócić. Kupię wszystko, co zostawili.

Gdy tylko wypowiedziała te słowa, poczuła, jakby zerowała na padlinie.

Nawet gorzej, bo to być może przez nią Mudge'owie zniknęli.

– Rozumiem – odparł pan Olsen.

Wsiadł na wóz. Tuż zanim popuścił lejce, sięgnął pod kozła i podał jej coś, wyciągając rękę.

– Niech pani weźmie – powiedział.

Puszka suszonych brzoskwiń. Zaraz potem odjechał.

Adelaide stała w progu i patrzyła za panem Olsenem. Chciała, żeby zawrócił i coś jej powiedział, żeby darował jej grzechy. Uwolnił od wstydu. Ale jak miał to zrobić, skoro ona sama nie była w stanie?

W końcu musiała się odwrócić plecami do pana Olsena i jego wozu. Ziemia była tutaj taka płaska – taka pusta – że najpewniej mogłaby za nim patrzeć jeszcze przez wiele mil. Mógłby jechać godzinę, a wydawałoby się, że niemal się nie porusza. Poczowała się przez to zagubiona, w pułapce, pozostawiona sama sobie. Skupiła uwagę na swoim nowym domu, tylko po to, żeby nie krzyczeć.

Chata miała wymiary dwanaście na dwanaście. Jedno pomieszczenie, a z tyłu wychodek. Postawiono ją bez fundamentów, ściany zbito z prostych

desek i pokryto czarną papą. Wszystko było zbite listwami. Chata miała dach, ale nie miała powały. Adelaide oczami wyobraźni widziała już te noce, kiedy wiatr zakrada się pod dach i zawiewa prosto na nią. Zimą temperatura bez wątpienia spadała poniżej zera. Będzie potrzebowała pieca i drewna na opał albo węgla. Ale w tej chwili jedynym sprzętem w chacie był jej kufer.

Stojący za chatą wychodek chylił się jak tamten stary hotel. W pierwszej kolejności będzie musiała go wzmocnić. Studnię rzeczywiście wykopano w pobliżu, ale kiedy Adelaide z niej zaczerpnęła, woda okazała się alkaliczna. Zwierzęta mogły z niej pić, ale nie ludzie. Zastanawiała się, czy agent wiedział, że woda jest niezdatna do picia, gdy sprzedawał jej tę działkę pod zasiedlenie. Rzekome istnienie studni podwyższyło cenę o dwadzieścia pięć dolarów.

Pusta chata, bez pożywienia, niezdatna do niczego studnia, zupełne pustkowie dookoła i ten wiatr, który nigdy nie cichł. Adelaide wróciła do chaty, usiadła na kufrze i nie mogła uwierzyć, że kiedyś myślała, że da tu sobie radę.

A potem, przez całkiem długą chwilę, zastanawiała się, czy w ogóle przeżyje.

Nie miała już nikogo, cóż więc dokładnie trzymało ją przy życiu?

Jedyną myślą, która sprowadziła ją z powrotem na ziemię, była wizja pana Olsena, który zajeżdża wozem pod jej chatę, żeby sprzedać dobytek Mudge'ów, i znajduje Adelaide po tym, jak sama odebrała sobie życie. Wtedy nie mógłby już powstrzymać ciekawości i zajrzałby do kufra. Otworzyłby go. I to byłby jego koniec.

A potem ile jeszcze osób by zginęło?

Na Adelaide Henry ciążyła odpowiedzialność. Odziedziczona po rodzicach. Kim była? Opiekunką? Dozorczynią? A co za różnica? Przez całe życie – przez trzydzieści jeden lat – przygotowywała się do tej roli. W głębi duszy modliła się, by ta chwila nigdy nie nadeszła. Ale właśnie tak się stało.

„Dziwacy. Tak ludzie mówią o Henrych”.

Może to i prawda, ale jednej rzeczy Henrym nie można było zarzucić – że unikali odpowiedzialności. Rodzina Henrych nie należała do ludzi, którzy proszą innych, by dźwigali ich ciężary.

Nadal siedząc na kufrze, Adelaide Henry wzięła głęboki oddech.

A potem powstała.

Choć Adelaide czuła się oszukana w sprawie studni, spotkały ją też miłe niespodzianki. Na przykład piwniczka wykopana w ziemi obok chaty. Poprzedni właściciel trzymał w niej niemal sto szklanych słoików z przetworami, choć większość z nich popękała. Adelaide zdjął wstręt, kiedy z szarpnięciem otworzyła drzwi do piwniczki i poczuła słodki zapach zgnilizny. Fetor był straszny, ale jeszcze bardziej okropne było marnowanie takiej ilości pożywienia. Spędziła cały dzień na uprzątnięciu pomieszczenia. Gdyby pan Olsen nie zostawił jej tych suszonych brzoskwiń, pewnie zaryzykowałyby i zjadła te zepsute przetwory.

Pan Olsen wrócił, jak zapowiadał. Zajęło mu to trzy dni. Kiedy przyjechał, paka wozu nadal była załadowana i Adelaide niemal krzyknęła z radości. Żywiła się tylko tymi brzoskwiniami i spała na flanelowym kocyku, przez co już cholernie bolały ją plecy.

Adelaide kupiła wszystko. Nie pytała o Mudge'ów, a pan Olsen także nic o nich nie wspominał. Gdyby nie sprzedał komuś ich dobytku, sam poniósłby koszty. Policzył jej za wszystko pięć dolarów, co było z jego strony niezwykle szczodrym gestem. Choć oznaczało również, że jego skonanym koniom miały w drodze powrotnej dużo mniejszy ciężar do ciągnięcia, więc nie był stratny. Po wydatkach w Seattle, kupnie biletu do Big Sandy i zapłaceniu panu Olsenowi za podwózkę zostało jej dwadzieścia siedem dolarów i sześćdziesiąt pięć centów. Zima nawet się jeszcze nie zaczęła.

Mimo że wymiana była korzystna dla obojga, mieli poczucie, jakby okradali groby. Robili to, bo musieli, ale obojgu było wstyd. Kiedy wyładowali bagaże Mudge'ów z wozu, a Olsen dostał zapłatę, odjechał bez słowa pożegnania.

Ale...

Teraz Adelaide miała wiklinowe krzesło bujane i wspaniały fotel. Położyła na ściany tapetę w kwiaty, a stare koronkowe firanki zastąpiła takimi, które wyglądały jak nowe.

Adelaide była teraz właścicielką pojedynczego łóżka na ramie.

Zakładała, że chłopcy Mudge'ów pewnie sypiali na podłodze swojej chaty, przynajmniej do czasu, aż stać ich będzie na wybudowanie większego domu. Adelaide często przychodziły do głowy pytania, na które lepiej nie szukać odpowiedzi.

W torbie podróżnej przywiozła ze sobą sześć książek i jeden z rogów tej niewielkiej chaty zmieniła w salonik, ustawiając tam tomy jeden na drugim, między krzesłem bujanym a fotelem. Adelaide przywiozła ze sobą Biblię, ale także *Tajemniczy ogród* i *Małą księżniczkę* Frances Hodgson Burnett. *Podróż do wnętrza ziemi* Julesa Verne'a. *Świadectwo ślepego proroka* Judah Washburna i oczywiście *Lokatorkę Wildfell Hall*.

Była tam też żelazna kuchenka z fajerkami na dwa garnki. Ustawiła ją w rogu i nazwała ten róg kuchnią. Na ścianie nad kuchenką zawiesiła patelnie i rondle. Nie pasowały do siebie, podobnie jak zasłonki i talerze, i dużo więcej rzeczy z dobytku Mudge'ów. Wyobrażała sobie, że zbierali te przedmioty jeden po drugim, kupując, co mogli, i jakoś się tym zadowalali. Mudge'owie byli jak sroki.

Wbiła gwoździć w ścianę nad kuchenką i po raz pierwszy, odkąd opuściła Kalifornię, zdjęła z szyi i zawiesiła na gwoździu sznurek z kluczykiem. Poczuli się o tysiąc funtów lżejsza.

W jednym rogu Adelaide miała więc sypialnię, w drugim salonik, a trzeci służył za kuchnię. Pośrodku chaty stał kufer Sewarda. Ustawiła go tak, że stał w nogach jej łóżka. Każdej nocy przed zaśnięciem sprawdzała mosiężny zamek, by upewnić się, że jest bezpiecznie zamknięty.

I teraz Adelaide Henry miała dom. Kiedy wszystko było już urządzone, miała czas na rozmyślenia, dlaczego sama nie przywiozła ze sobą tych sprzętów. Jak sobie wyobrażała, że przetrwa? Czy po prostu uciekła z farmy w panice, czy też miała jakiś głębszy, ponury plan na to, jak sobie tutaj poradzić? Odkupione rzeczy Mudge'ów dały jej drugą szansę.

Była już zbyt późna pora roku, by kopać w ziemi, ale Mudge'owie razem z meblami spakowali też przetwory, puszki dyni, kabaczków, nawet soloną wieprzowinę; suszone jabłka i fasolę tak suchą, że po ugotowaniu miała skórzany posmak, ale dała się zjeść. To było najważniejsze. Zapasów było dość, by Adelaide przetrwała kilka tygodni, jeśli gospodarowała ostrożnie. Musiała jednak znaleźć sposób na dotarcie do Big Sandy, które leżało szesnaście mil na południowy wschód. Nie mogła po prostu wybrać się do miasta piechotą.

Wśród dobytku Mudge'ów znalazła pozłacane puzderko na biżuterię. W środku odkryła kilka fotografii. Kiedy tylko je tam zobaczyła, zatrzasnęła wieczko, poszła ze szkatułką do ziemnej piwniczki za chatą i tam ją głęboko schowała. Nie mogła się zdobyć na zniszczenie zdjęć, ale patrzeć

na nie też nie była w stanie. „Jeśli Mudge’owie wrócą, zwrócę im fotografie”. Nawet mówiąc do siebie te słowa, czuła się idiotycznie.

Na przechadzce, na którą się wybrała, by zbadać okolicę, odkryła potok Eagle. Mogła teraz czerpać z niego wodę do picia, choć za każdym razem miała to być w sumie czteromilowa wyprawa tam i z powrotem. Nieopodal potoku znalazła lignit – węgiel brunatny – miękką, palną skałę osadową. Ponieważ nie miała drewna, mogła na razie używać tego węgla do rozpala-  
nia w kuchence.

Wieczorami czytała. Często na głos, bo do tego przywykła, a stare nawyki dawały jej poczucie bezpieczeństwa. Słuchała własnego głosu, zagłuszanego przez wycie kojotów. Najczęściej czytała powieść Anne Brontë. I kiedy minął pierwszy tydzień od przyjazdu do Montany, Adelaide pomyślała, że może jednak udało się jej spełnić zamierzenia: zaczęła od nowa.

## 15

Z końcem września minęły cztery tygodnie, odkąd zaczęła nowe życie. I nadal wiały zimne wiatry. Dobry Boże, co też będzie, kiedy nadejdzie zima? Może i lepiej, że nie miała pojęcia. Gdyby wiedziała, co znaczy zima w Montanie, mogłaby umrzeć ze strachu.

„Ta ziemia usiłuje zabić każdego z nas po kolei, proszę mi wierzyć”. Tak powiedział pan Olsen. Co noc, drżąc z zimna w łóżku przed zaśnięciem, przyznawała mu rację.

Z początkiem października przyszły pierwsze opady śniegu. Nie bardzo obfite. Mierzone zaledwie w calach, nie w stopach. Mimo to oddech Adelaide przyśpieszał, gdy stojąc w drzwiach chaty, patrzyła na padające z nieba płatki. Czytała o śniegu, ale jeszcze nigdy nie widziała go na własne oczy.

Jedną z korzyści śniegu było to, że nie musiała już maszerować wiele mil do potoku Eagle po wodę do picia. Teraz wystarczyło, że szła do najbliższego wąwozu, gdzie nawet „słaby” śnieżek zalegał sześciocalową pokrywą. Nabierała pełne wiadra i wracała do domu. Wrzucała śnieg do beczek na wodę ustawionych z boku chaty, gdzie niedługo potem topniał. Aby do beczek nie dostawały się owady, zakrywała każdą jutowym workiem. Chata od tej strony wyglądała, jakby pod zewnętrzną ścianą stały rzędy bębnow kongi.

Jakiś czas potem, pewnego dnia po południu, usłyszała przed domem parskanie konia i dwa głosy, dość niewyraźne.

Siedziała w chacie i obmyślała, jakie rośliny zasieje, kiedy ziemia odtaje. Podliczała też koszt pługa, brony, konia. Zastanawiała się, czy stać ją będzie, by wynająć człowieka, który orałby ziemię, a ona wtedy szłaby za nim i siała. Właśnie wtedy usłyszała parskanie konia i słabe głosy, ale z początku nie zwracała na nie uwagi. Tutaj często wiatr wył ludzkim głosem, czasami szeptał, innym razem krzyczał, jakby przyroda zawsze prowadziła rozmowę, którą Adelaide mogła podsłuchać, ale w której nie dane jej było uczestniczyć. Nierzadko, gdy usiłowała zasnąć, mogła przysiąc, że słyszy, jak woła do niej matka.

Ale nagle ktoś zapukał do drzwi.

Wiatr nigdy tak nie robił.

I w oknie pojawiła się twarz. Małego białego chłopca. Jego drobna buzia z zaciekawieniem wpatrywała się prosto w Adelaide, która siedziała w fotelu.

– Nie zaglądamy do okien.

To nie był już głos chłopca, ale dorosłej kobiety.

Adelaide tak to zaskoczyło – twarz chłopca? głos kobiety? – że siedziała w fotelu zupełnie roztrzęsiona. Czyżby już zaczęła mieć omamy? Po zaledwie pięciu tygodniach?

– Ale ja ją widzę. Siedzi w fotelu. Po prostu siedzi i wytrzeszcza oczy.

– Samie Price! Nie można się w kogoś wpatrywać, jeśli nie jesteś o to proszony.

Adelaide wstała.

Książka, którą miała na kolanach – katalog nasion – upadła na podłogę.

Chłopiec, który przyciskał twarz do szyby, z piskiem odskoczył od okna.

– Wstała, mamusiu!

– Może ta pani chce zasłonić okno, bo widzi podglądacza?

Adelaide podeszła do drzwi, ale zatrzymała się z dłonią na klamce.

– Chwileczkę! – krzyknęła.

– Oczywiście – odpowiedziała kobieta za progiem.

Adelaide podeszła do kufra. Schyliła się nad nim nisko.

– Bądź cicho – wyszeptała.

Potem wyprostowała się i otworzyła drzwi.

\*\*\*

Grace i Sam Price'owie.

Sąsiedzi.

Ojej.

Adelaide przeprosiła, że kazała im tak długo czekać, potem zaproponowała Grace, że zaparzy herbaty. Grace stała w drzwiach i przyglądała się wnętrzu chaty.

– Przydałby się pani dywanik – stwierdziła w końcu.

Adelaide szła akurat do kuchenki, ale potknęła się nieznacznie. Ta kobieta nawet nie weszła jeszcze do środka, a już wydawała sądy na temat jej domu? Co, u licha? Może była zła, że tak długo musiała czekać przed drzwiami? Adelaide dorzuciła trochę węgla do kuchenki i postawiła czajnik na ogniu.

– Możemy już wejść, mamusiu?

– A co jeszcze się mówi?

– Proszę, możemy już wejść, mamusiu?

Grace i Sam Price weszli do środka. Grace zamknęła za nimi drzwi.

Sąsiedzi.

W jej domu.

Ojej.

– Możemy dać pani trochę drewna – powiedziała Grace, widząc resztki węgla w kubie przy kuchence. – Przed zimą najmujemy zaprzęg konny i jedziemy na pustkowie Badlands, po korzenie sosny smołowej i po pniaki. Nie najlepsza rozpałka do pieca, ale lepsza niż to, co ma pani w kubie.

Kolejna krytyka?

Adelaide niezobowiązująco kiwnęła głową.

Sam, chudy, rumiany dziewięciolatek, stał u boku matki, ale bacznie lustrował wnętrze chaty. Kiedy jego mama coś mówiła, on patrzył na nią jak piesek, który błaga swoją panią, żeby go spuściła ze smyczy.

– Bardzo miło z pani strony, że proponuje mi pani drewno – powiedziała Adelaide, wyjmując z puszek herbatę w torebkach. – Miałam nadzieję, że mimo wszystko przetrwam tu zimę.

Grace zaśmiała się na te słowa, a Adelaide odwróciła się teraz w jej stronę. Obie stały nieruchomo. Sam patrzył to na jedną, to na drugą. Był zbyt mały, żeby zrozumieć, że Grace i Adelaide nawzajem się oceniają. Adelaide, co znaczące, jeszcze nie zaproponowała Grace, by usiadła.

– Przyjechała tu pani z kimś? – zapytała Grace. – To zbyt odludne miejsce, by żyć tu samotnie.

Sam wodził wzrokiem po chacie, co chwila zatrzymując spojrzenie na jakimś przedmiocie, potem na kolejnym.

– A pani mąż? – zapytała Adelaide. – Został w domu?

Czajnik zaczął gwizdać, ale Adelaide nie ruszyła się, by zdjąć go z ognia.

– Ja i Sam mieszkamy na wschód stąd – odparła Grace. – We dwójkę doskonale dajemy sobie radę.

Sam, wpatrując się w krzesło na biegunach, powiedział rozkojarzonym głosem:

– Mama nie ma żadnych przyjaciół.

– Samie Price! – skarciła go Grace.

Adelaide przyglądała się uważnie tej kobiecie. Grace trzymała dłonie splecione przed sobą, co Adelaide początkowo wydało się pozą oceniającą, ale teraz odczytała ją inaczej. Jako niepokój. Wręcz desperację.

Adelaide spojrzała na Sama i przechyliła głowę.

– Chcesz się pobujać na krześle? Zapraszam, jeśli twoja mama się zgodzi.

Grace zerknęła na syna, a potem dłuższą chwilę patrzyła Adelaide w oczy. Grace Price była o stopę niższa od Adelaide, miała zaledwie pięć stóp wzrostu i była szczupłej budowy, podobnie jak jej syn. Rozplotła i opuściła dłonie. Wskazała wiklinowe krzesło na biegunach.

– Skoro pani Henry ci pozwala, to rozumiem, że chcesz coś powiedzieć?

Sam kiwnął głową i rzucił się do bujanego krzesła, krzycząc:

– Dziękuję!

Usadził się w krześle i od razu zaczął machać nogami, żeby się rozbujać. Czajnik zawodził teraz głośniejszym wiatrem za oknem i to przypomniało Adelaide, że powinna go zdjąć z fajerek. Gdy go podniosła, gwizdanie zmieniło się w ciche skomlenie.

– Skoro zajął krzesło, pani może usiąść w fotelu – zaproponowała Adelaide.

– A pani gdzie usiądzie? – zapytała Grace, rozglądając się dookoła.

Adelaide wskazała róg chaty.

– Tam jest moje łóżko. Najwyżej będę mówić bardzo głośno.

\*\*\*



– Skąd pani wiedziała, że tu mieszkam, szanowna pani? – zapytała Adelaide.

– Sam i ja zobaczyliśmy światło w oknach pani chaty.

– Ale mówi pani, że mieszkanie dziewięć mil stąd.

– W nocy nawet świeczkę widać jak jasną gwiazdę.

– A dlaczego ja nie widziałam światła w waszych oknach? – zapytała Adelaide.

– Zamykamy na noc okiennice. Tak jest rozsądnie. Silny wiatr może łatwo wybić szybę. Powinna pani pomyśleć o zamontowaniu okiennic.

Adelaide surowo zmarszczyła brwi, ale tym razem Grace Price sama usłyszała, jak zabrzmiały jej słowa. Urwała, po czym dodała:

– Mogę pani w tym pomóc.

To ciekawy moment w każdej znajomości. Chwila, kiedy jedna osoba ujawnia o sobie coś ważnego, a druga musi zdecydować, czy to akceptuje. Gdyby obie kobiety się do siebie zbliżyły, czy Grace nagle przestałaby podważać i krytykować wybory Adelaide? Nie. Trzeba powiedzieć wyraźnie, nie przestałaby.

Ale gdyby Adelaide odprawiła Grace, wtedy nie tylko Grace pozostałaby bez przyjaciół. Adelaide postanowiła zaakceptować tę cechę sąsiadki. Grace-doradczynię. Z mnóstwem porad, o które nikt nie prosi. U potencjalnej przyjaciółki można sobie wyobrazić gorsze wady.

U przyjaciółki.

Adelaide uświadomiła sobie, jak bardzo pragnęła mieć przyjaciółkę.

Poza tym Grace była jedyną kandydatką w promieniu piętnastu mil. I tak to się stało.

Podczas gdy Grace i Adelaide rozmawiały, Sam interesował się wszystkim wokół. Najpierw bujał krzesło coraz mocniej, aż w końcu prawie przewrócił się na nim w tył. Kiedy Grace syknęła na niego, Sam zeskoczył z krzesła, jakby siedział na sprężynach.

Potem przejrzał biblioteczkę Adelaide, podnosząc każdą z książek i przerzucając strony w takim tempie, że w końcu rozerwał jedną z kartek w *Tajemniczym ogrodzie*. Grace surowo go skarciła i wyrwała mu książkę z rąk, a potem przeproszała Adelaide w nieskończoność.

Adelaide powiedziała, że nic się nie stało.

Chociaż się stało.

Sam poprosił potem o łyżkę, a kiedy Adelaide mu ją podała, podszedł do patelni i rondli w rogu i walił po kolei we wszystkie, których tylko zdołał

dosięgnąć. Grace musiała na niego krzyknąć pięć razy, zanim w końcu ją usłyszał. Zapytała, co też najlepszego wyprawia, a on tylko na nią popatrzył.

– Walę – odpowiedział w końcu.

Czy to nie było oczywiste?

Price'owie gościli w chacie Adelaide od niecałej godziny, a ona już czuła się wyczerpana.

Grace wyciągnęła dłoń.

– Oddaj mi łyżkę.

Sam upuścił łyżkę na dłoń mamy, okręcił się na pięcie i pobiegł w inny róg chaty. Klepnął kufer Sewarda.

– Ale wielki – ocenił.

Pamiętacie, jak Adelaide mocno odepchnęła panią Mudge? Teraz też ledwo się powstrzymała przed odepchnięciem chłopaka. Położyła dłoń na kufrze, by go odgradzić od chłopca. Być może na jej twarzy malowała się większa surowość, bo Grace sięgnęła ręką i przyciągnęła syna ku sobie. Patrzyła przez chwilę na kufer, a potem odwróciła wzrok.

– Widzę, że ma pani katalog nasion – powiedziała. – Mogę coś zasugerować? Niech pani w pierwszym roku wysieje buraki cukrowe. Są wytrzymałe. Wyrosną, nawet kiedy wszystko inne zawiedzie.

Adelaide kiwnęła głową, ale prawie jej nie słyszała. Nie odrywała wzroku od kufra. Od tej zakazanej rzeczy.

Postukała w wieko.

– Przywiozłam go ze sobą z Kalifornii.

Sam pokazał kufer palcem.

– Słysząc jakiś dźwięk – powiedział.

– To wiatr – wyjaśniła Grace.

– Tak – zgodziła się Adelaide. – Nigdy nie cichnie.

Obie kobiety mogły sobie mówić, co chciały, ale Sama Price'a to nie przekonywało. Przytulił się całym ciałem do matki. Przycisnął policzek do jej szyi, czując się rażniej, gdy skóra dotykała skóry. Adelaide tymczasem trzymała dłoń na kufrze i czuła dotyk zimnego drewna. Poczowała ukłucie zazdrości. Potem Sam szepnął coś matce do ucha.

Spomiędzy fałd sukni – musiała tam być jakaś kieszonka – Grace wydobyla plik złożonych kartek. Sam wyjął je z jej palców i uklęknął na podłodze.

Zerknął na Adelaide, żeby się upewnić, czy patrzy, a następnie rozłożył każdą kartkę po kolei – wycinki z miejscowej gazety, z „Bear Paw Mountaineer”.

Zamieszczano w niej czasem na pierwszej stronie dużych rozmiarów fotografie i Sam Price uwielbiał je kolekcjonować: zdjęcie z Międzynarodowej Wystawy Panamsko-Pacyficznej, o której cały kraj mówił w lutym; wycinek z mapą Europy i podpisem: „Zwycięstwo Rosji nad Austrią w Karpatach”.

Sam przeglądał kartki, aż natrafił na tę, której szukał.

„Walki w Europie” – przeczytał na głos. – „Żadna inna kawaleria nie przypuszcza tak szarży jak Lekka Brygada”.

– Już dobrze, Sam – upomniała go Grace.

W drugim końcu świata trwała wojna, ale tutaj interesował się nią tylko ten dziewięcioletni chłopiec. Teraz zaczął czytać już po cichu, skupiony. Zupełnie jakby chciał udowodnić, że ma coś znacznie bardziej interesującego niż stary głupi kufer Adelaide.

Grace spojrzała na gospodynię.

– Jestem nauczycielką, ale tylko jego uczyć na co dzień.

– W Big Sandy nie ma innych dzieci? – zdziwiła się Adelaide.

– Owszem, są.

Kłęcząc na podłodze, Sam podniósł głowę i spojrział na Adelaide.

– Rodzice nie chcą posyłać dzieci ze mną do szkoły. Według nich jestem dowodem, że mama jest złą nauczycielką.

Adelaide pokręciła głową, jakby chciała powiedzieć Samowi, że na pewno się myli, chociaż sama była już doszczętnie wyczerpana po godzinie spędzonej z tym chłopcem. Niemniej kiedy dziecko mówi takie rzeczy, trzeba je pocieszyć, zaprzeczyć. Przynajmniej tak zrobiłaby Adelaide, ale spojrzała na Grace.

– Mówi prawdę – przyznała Grace. – Za to mój Sam potrafi już przeczytać całą gazetę od deski do deski, podczas gdy ich dzieci, rówieśnicy Sama, przeważnie umieją dopiero liczyć na palcach obu rąk i nóg.

– Rozumiem – powiedziała Adelaide. – Dziwacy. Tak ludzie o was mówią.

Grace przez chwilę rozważała te słowa, a potem się roześmiała.

– Pewnie tak!

W końcu Adelaide odprowadziła Grace i Sama do drzwi i przyjęła złożoną przez sąsiadkę propozycję, by niedługo spotkali się ponownie. Zanim

odjechali, Grace wyjęła z juków swojego konia kukurydzę w konserwie i mały worek ziemniaków.

– Czekałam, aż się przekonam, czy panią polubię – powiedziała.

Oba dary zachwyciły Adelaide bardziej niż złoto. Mając przed oczami wizję kolacji z pieczonych ziemniaków, poczuła, że niczego jej nie brakuje.

Grace wsiadła na konia. Podciągnęła w górę Sama.

– Do widzenia, pani Price. Do widzenia, Sam – pożegnała ich Adelaide.

Stała w progu i machała, gdy odjeżdżali, ale Sam wpatrywał się gdzieś za jej ramię, szukając wzrokiem tylko jednego – kufra Sewarda.

## 16

Cztery dni później, w niedzielę, Adelaide usłyszała parskanie konia. Siedziała na bujanym krześle i cerowała dziury w rękawiczkach. Od pierwszej wizyty Grace i Sama zdążyła już zjeść połowę ziemniaków i całą kukurydzę z puszki. Może tym razem przywieźli więcej? A może coś bardziej smacznego? Jakiegoś królika albo wołowinę? Grace obiecała jej też, że przywiezie drewno. Od palenia w chacie węglem brunatnym Adelaide już zaczęła pokasływać.

Te wszystkie myśli przemknęły przez jej głowę w ciągu kilku sekund i Adelaide poczuła, że serce bije jej szybciej, a na policzki występują rumieńce, aż musiała się uszczypnąć w udo, żeby się uspokoić.

Czyżby przyjechała tutaj, żeby żyć na utrzymaniu samotnej kobiety z dzieckiem?

Jej matka byłaby oburzona, gdyby wiedziała, że córka jest zależna od czyjegoś wsparcia. W dodatku od wsparcia białej kobiety. Może jeszcze poprosi o pomoc jakiegoś mężczyznę? Córka Eleanor Henry odgrywająca rolę bezradnej?

Nie, dziękuję.

Od razu, gdy Adelaide Henry usłyszała parskanie konia, podniosła się z bujanego krzesła, podeszła do kuchenki, wrzuciła kilka węgielków i rozpałała ogień. Dlatego gdy usłyszała pukanie do drzwi, była już gotowa powitać gościa, jej nową przyjaciółkę. Chciała obdarzyć ją gościnnością i nie oczekiwać niczego w zamian. Tak została wychowana. Chciała zaofiarować też fizyczną pracę, by odpłacić Grace za podarunki, które od niej dostała – przynajmniej tyle mogła zrobić. Tak zachowują się członkowie rodziny Henrych.

Ale kiedy otworzyła drzwi, w progu stali dwaj mężczyźni.

Kowboje.

Adelaide tak zaskoczył ich widok, że zatrzasnęła drzwi z powrotem.

– Proszę pani? – zapytał jeden z nich łagodnym tonem, jakby przemawiał do płochliwego konia.

Adelaide przebiegła wzrokiem wewnątrz chaty, myśląc szybko, czy uzbroić się w nóż, czy w patelnię, żeby przywitać obcych z bronią w ręku.

– Przestraszyliśmy panią, proszę pani? – zapytał ten sam mężczyzna. – Nie mieliśmy takiego zamiaru.

Brzmiał szczerze. Adelaide postanowiła mu uwierzyć. Przynajmniej dopóki on swoim zachowaniem nie nadszarpnie jej zaufania. Ale zdecydowała się nie przeproszać nieznanym za swoje zachowanie – za zatrzaśnięcie przed nimi drzwi. Było to dla niej trudne i musiała bardzo panować nad wyrazem twarzy, aby odebrane w domu wychowanie ostatecznie nie zmusiło jej do przeprosin.

Obaj kowboje wyglądali niemal tak samo. Byli bardzo szczupli, policzki i czoła mieli ogorzałe za sprawą wielu lat pracy pod gołym niebem. Czubki palców mieli zabarwione na brązowo. Obaj byli ubrani w dżinsowe spodnie z karczkiem na szelkach, a na nogach mieli buty z cholewą. Mankiety spodni były przetarte, a podeszwy butów zdarte od chodzenia. Młodszy z nich był gładko ogolony, a ten drugi, który stał za nim i był starszy o jakieś dwadzieścia lat, nosił brodę. Kiedy Adelaide ponownie otworzyła drzwi, zdjęli kapelusze. Młodszy uśmiechnął się, zęby miał małe i pożółkłe. Ten z tyłu nieznacznie pochylił głowę w pozdrowieniu. Obaj byli niżsi od Adelaide.

– Myślałam, że to moja przyjaciółka, pani Price – wyjaśniła Adelaide. – Bardzo p...

Ugryzła się w język i wydeła usta.

– Nazywam się Matthew Kirby. A to mój stryj, Finn. Znamy panią Price – powiedział ten młodszy. – To od niej usłyszeliśmy o pani.

Wbrew własnej woli Adelaide Henry się zaczerwieniła.

– Mówią panowie, jakbym była jakąś sensacją.

Ten starszy roześmiał się krótko.

– Szanowna pani, w tym miesiącu jest pani wiadomością z pierwszych stron gazet.

Czajnik z herbatą zaczął gwizdać i Adelaide poszła zdjąć go z ognia.

– Siadała pani do herbaty – zauważył ten młodszy.

– Chwileczkę – powiedziała Adelaide, dając im znak, by pozostali w progu. Nie zostali jeszcze zaproszeni i nie zakładali, że mogą sami wejść do środka.

Adelaide poszła w głąb chaty, żeby zdjąć czajnik z kuchenki. Zamknęła drzwi, ponieważ na widoku stało jej niepościelone łóżko, a nie chciała, żeby nieznanymi mężczyźni je widzieli. Postawiła czajnik na płycie, żeby trochę przestygł, szybko wygładziła pościel na łóżku i wróciła do drzwi. Kiedy je otworzyła, brodaty mężczyzna właśnie skręcał za róg chaty, w stronę koni.

– Już panowie jadą? – zapytała Adelaide tego młodszego. Czy w jej głosie słychać było rozczarowanie?

– Przyjechaliśmy zapytać, czy nie miałaby pani nieco wolnego czasu.

Brodaty mężczyzna wyszedł zza rogu chaty, prowadząc trzy konie. Wszystkie osiodłane.

– Mielśmy nadzieję... – Matthew urwał. – Ja miałem nadzieję, że da się pani zaprosić na przejażdżkę.

Adelaide jeszcze raz zmierzyła wzrokiem jednego i drugiego, a potem omiotła spojrzeniem wewnątrz chaty.

– Chyba nie mam żadnych zajęć – przyznała.

Matthew Kirby – któremu na chrzcie dano imię Matteus, choć zmienił je na *porządne* amerykańskie imię – zabrał ją na wspaniałą popołudniową przejażdżkę. Jego stryj, Finn, cały czas jechał z tyłu, o kilka długości konia za nimi. Myślała, że są kowbojami, ale obaj pracowali przy młóccie zboża. Stryj obsługiwał maszynę parową do palenia słomy, a Matthew oddzielał ziarno od plew.

Adelaide opowiedziała o swoim życiu na farmie w dolinie Lucerne, przynajmniej o jego części. Mówiła z dumą o śliwkach japońskich i o tym, jak przewidująco myślał jej ojciec, kiedy sadił te śliwy. Z oczywistych przyczyn zatrzymała jednak w sekrecie ostatnie dni rodziny Henrych. Matthew nie dopytywał o nic więcej, co ją przyjemnie zaskoczyło. Kiedy jechali konno, Adelaide zdała sobie sprawę, że Grace też taka była. Nikt z nich nie pytał, co ją sprowadziło w te strony. Może nie tylko ona uciekła tutaj przed własną przeszłością?

Adelaide odwiedzali także inni mężczyźni podobni do Matthew i Finna. Mężczyźni, którzy pracowali przy młóccie zboża, ale również i prawdziwi kowboje – rozwój wielkich rancz zwiastował już schyłek kowbojów, ale

kiedy jeszcze żyli tutaj w wielkiej liczbie, niemal połowa z nich była czarnoskóra. Adelaide żałowała, że niewielu ich już tu zostało.

Zachodzili też do niej pasterze owiec, mężczyźni, którzy często spędzali wiele miesięcy na równinach z tylko jednym towarzyszem i ze swoim stadem. Czarnoskórzy, biali, kilku kolorowych, którzy mówili po hiszpańsku, a po angielsku bardzo słabo. Wszyscy składali jej wizyty, odkąd tylko rozeszła się wieść o nowej „samotnej kobiecie” na tych ziemiach.

Adelaide przyjechała do Montany, aby się ukryć, ale nie była już tutaj postacią bezimienną. Jej imię i nazwisko znano nawet w Helenie i Butte. Mężczyźni dużo plotkują. Wieści o jej przybyciu mogły się też rozejść telegrafem. Odwiedzający zawsze jednak na coś się przydawali. Pomagali, przywożąc jej potrzebne zapasy. Ona dawała im za to pieniądze, a czasem również coś do picia albo do jedzenia.

Adelaide na ogół nie przeszkadzały te wizyty. Mężczyźni zapraszali ją na przejażdżki, przyprowadzali dla niej osiodłanego konia, ponieważ ona jeszcze nie miała własnego. Czasem zabierali ją też na rancza, na których mieszkali i pracowali, a ona spędzała wtedy cały wieczór na rozmowach przy kolacji. Wszyscy oni czuli się głęboko samotni. A ona z zaskoczeniem uświadomiła sobie, że jej również doskwiera samotność.

Jednakże mimo tego poczucia koleżeństwa, tego ciepła, Adelaide, samotna kobieta w Montanie, do tego czarnoskóra, z dala od czarnej społeczności, którą znała z doliny Lucerne, dla własnego bezpieczeństwa musiała mieć się na baczności. Prawdę mówiąc, rzadko miała wcześniej wokół siebie tylu białych. Jak dotąd nie wychodziła na tym najgorzej, wręcz przeciwnie – na ogół – ale i tak miała wrażenie, że odwiedza inny naród, którego obyczaje i język wydawały się podobne do jej własnych, a mimo to nie do końca takie same. Czasem przypominała sobie rozmowę z panem Olsenem, kiedy wymienił dwa nazwiska – Bertie Brown i Annie Morgan – i powtarzała je sobie w duchu, jakby tak nazywały się jej stare przyjaciółki. Tęskniła za czarnymi ludźmi – a szczególnie za czarnymi kobietami.

Niemniej towarzystwo tych wszystkich mężczyzn oznaczało, że Adelaide nie musiała już spędzać nocy zamknięta w chacie, czytając książki przeczytane już wcześniej wiele razy, słuchając wiatru wyjącego za oknem oraz innego wycia, z każdą nocą coraz głośniejszego, które dochodziło z kufra.

Miło jej było w towarzystwie mężczyzn składających jej wizyty, ale jedyną osobą, której odwiedzin naprawdę wyczekiwała, był Matthew. Pod koniec października zaprosił ją na tańce. Pół dnia drogi stąd. Zgodziła się z ochotą. A jeszcze lepiej, że Finn zaprosił Grace i Sama. Miała poczucie, że jedzie z rodziną na wycieczkę. Matthew i Finn pożyczyli dwa dodatkowe konie dla Adelaide, Grace i Sama. Koń, którego właścicielką była Grace, był trochę słabowity i obawiała się wyruszyć na nim w dłuższą podróż.

Wszyscy mieli na sobie gorsze ubrania na drogę. Adelaide i Grace wiozły w jukach suknie do tańca. W pewnym momencie zaczęło padać i mężczyźni zatrzymali się, żeby założyć płaszcze przeciwdeszczowe. Kobiety również miały własne nieprzemakalne okrycia, a Sam schował się pod płaszczem matki. Deszcz ich spowolnił. W cieplejszych miesiącach tańce organizowano na wolnym powietrzu, pod gwiazdami, ale Matthew zapewnił Adelaide, że tego wieczoru odbędą się pod dachem.

Moment, kiedy zajęchali na rancho gospodarzy zabawy, był chwilą, gdy Adelaide znalazła się najbliżej tego, co opisywała Mattie T. Cramer. Po zagrodzie przy posiadłości przechadzało się już dziewięć koni, a miejsca było jeszcze dla sześciu kolejnych. Stała tam też duża obora, piętrowy dom, spichlerz na zboże, i to właśnie w nim, jak się okazało, miały się odbywać tańce. Tego wieczoru Adelaide dowiedziała się, że gospodarze, mąż i żona, wystąpili oddzielnie o siedliska leżące obok siebie i teraz kontrolowali sześćset czterdzieści akrów. Widok ich sukcesu wzmógł w niej nadzieję, że jej również się powiedzie. Wyprostowała się w siodle, jadąc za Matthew.

Gdy podjechali bliżej, Matthew zażartował, że mógłby wystąpić o siedlisko przy ziemi Adelaide i razem mieliby wtedy posiadłość równie imponującą. Adelaide się zaśmiała, ale wyczuwała, że Matthew nie żartuje. Ten pomysł sprawił, że się spięła, ale jednocześnie nachyliła się ze swojego konia i przytuliła do Matthew. Miło, że ktoś o niej myślał w taki sposób. Jak o osobie, z którą można układać wspólną przyszłość.

Właściciele ranca opróżnili spichlerz na zabawę i rozsypali na ziemi mąkę kukurydzianą. Gdy Adelaide, Grace, Matthew i Finn dotarli na miejsce, ludzie już tańczyli. Ziemia posypana mąką była równiejsza i łatwiej było na niej stawiać kroki w tańcu. Sprowadzono też muzyków, którzy tańczącym przygrywali. Kobieta grała na pianinie, a jej mąż na skrzypkach. Z gór przyjechał na ten wieczór gitarzysta, a mówiło się też, że lada chwila



zjawi się mężczyzna, który gra na rogu. Adelaide i Grace przebrały się w głównym domu i powróciły do sali tanecznej z Matthew i jego stryjem. Sam pobiegł dokazywać z innymi dziećmi, które przyjechały z rodzicami.

Zabawa miała trwać do rana. Wszyscy mieli daleko do domów, a po zachodzie słońca człowiek łatwo gubił drogę w ciemnościach, jakie skrywały ziemię. Można było jechać całą noc, myśląc, że już za chwilę dom, a kiedy wstawało słońce, podróżny się orientował, że zajechał do Alabamy albo do Kanady. Zmęczone dzieci miały nocować w głównym domu, dziewczęta na piętrze, chłopcy na parterze.

Adelaide przetańczyła z Matthew wiele tańców, ale czasem zamieniały się z Grace i tańczyła wtedy z małym stryjem. Zawsze zwracała się do niego „panie Kirby”. On natomiast pytał tylko o „panią Price”. Większość czasu Adelaide spędziła jednak z Grace. Nie da się tańczyć bez ustanku tyle godzin. W przerwach ich towarzysze odchodzili na pogawędki z innymi mężczyznami. Dżentelmeni lubili palić cygara San Pura, skręcane w Havre i sprzedawane w każdym mieście.

Gdy mężczyźni kurzyli cygara, kobiety zajmowały się rozmową. Senat Montany rozważał ostatnio wprowadzenie prohibicji w całym stanie. Jakby dla wyrażenia opinii, że taka wizja to zgroza, wielu przybyłych na zabawę gości przywiozło ze sobą butelki trunków. Cała skrzynka Havre Special Brew kosztowała cztery dolary i dwadzieścia pięć centów, stąd piwo to cieszyło się największą popularnością. Amatorzy czegoś mocniejszego mogli się napić żytniej whiskey Monogram, ale kosztowała cztery dolary pięćdziesiąt centów za butelkę, dlatego niewielu uczestników zabawy mogło sobie na nią pozwolić.

Jak zatem widać, o północy wszyscy goście doskonale się już bawili.

Adelaide piła podobnie jak inni uczestnicy zabawy, ale pilnowała, żeby zawsze wychylać ze szklaneczki odrobinę mniej. Była jedyną Murzynką na tych tańcach i przez to czuła się jak wtedy, gdy jeździła na przejażdżki z mężczyznami, a potem siadywała przy ogniu w towarzystwie pół tuzina lub więcej pomocników ranczera. Wszyscy byli dla niej życzliwi i serdeczni, ale w jakiejś mierze miała się na baczności, tak nakazywał rozsądek. I podobnie było na tej zabawie. Przyjechała tu z innymi, ale nie była jedną z nich. Zawsze lepiej zachować ostrożność.

Na przykład już sześć razy przy różnych okazjach Adelaide wzięto za Bertie Brown, tę drugą Murzynkę, która mieszkała na tych ziemiach. Podczas tej zabawy pewna kobieta wręcz nie chciała uwierzyć, że Adelaide to

nie Bertie, i stała się napastliwa, kiedy Adelaide temu zaprzeczała. Bertie zdobyła sławę w okolicy z powodu Bertie's Brew – najlepszego domowego piwa w całym stanie – a ta kobieta, choć już pijana, miała ochotę jeszcze się czegoś napić. Myślała, że Adelaide po prostu nie chce jej sprzedać alkoholu i próbuje w ten sposób podbić cenę.

Grace przeraziła się, kiedy sytuacja stała się naprawdę napięta. Kobieta rzuciła pieniędzmi w Adelaide, a potem potknęła się i z impetem usiadła na ziemi. Dwie inne kobiety odciągnęły pijaczkę w kąt i pozwoliły jej się prześpać, aż wytrzeźwieje. Grace natomiast zabrała stamtąd Adelaide, a wtedy inni goście prawie natychmiast rzucili się zbierać leżące na ziemi pieniądze.

Grace podchodziła z Adelaide do innych kobiet, by jej przyjaciółka nawiązała nowe znajomości. Grace wyszukiwała tylko takie panie, które nie wyglądały na pijane, swoje najbliższe sąsiadki. Niektóre z nich również były „samotnymi kobietami”, nawet jeśli tylko na papierze. Wiele z nich przybyło tutaj w towarzystwie, z rodzeństwem albo z rodzicami. Czasem na jednym siedlisku mieszkały dwie kobiety. Większość z nich wyrażała zaskoczenie, a wręcz wielki podziw, że Adelaide przyjechała do Montany *naprawdę sama*.

Ale to nie była prawda.

Adelaide nie miała jednak nikogo, komu mogłaby powiedzieć prawdę, nawet Grace.

I właśnie w ten sposób Adelaide – prowadzona przez Grace jak przez opiekuńczą starszą siostrę – miała poznać bardzo bladą, kościstą kobietę. Nieznajoma z początku stała odwrócona tyłem do rozbawionych gości, patrzyła w rozgwieżdżone niebo i na zagrodę dla koni, oświetlaną blaskiem księżyca. W dłoni trzymała piwo. Grace dotknęła ramienia kobiety, a gdy ta się odwróciła, Adelaide zamarła.

– Pani Mudge?

Kobieta, która z początku nawet nie patrzyła na Adelaide, na ułamek chwili stężała. Można było to z łatwością przeoczyć. Nikt oprócz Adelaide na pewno tego nie zauważył.

„Pani Mudge”.

Kobieta przeniosła wzrok z Grace na Adelaide, a jej twarz nagle zmieniła wyraz, stała się zacięta i zimna jak stal.

– Nie, droga pani – poprawiła przyjaciółkę Grace. – To pani Rose Morrison.

Kobieta ułożyła zaciśnięte wargi w uśmiech.

– Zgadza się. Rose Morrison – powiedziała.  
– Jest jeszcze większą nowicjuską na tych ziemiach niż pani – dodała Grace. – Przybyła do Montany w tym tygodniu.

Po co ta szopka? Po co udawanie? Ale właściwie jakie to miało znaczenie? Adelaide przyjechała aż tutaj, żeby trzymać pewne sprawy w sekrecie, może więc Mudge'owie również mieli coś do ukrycia. Adelaide postanowiła w duchu, że przywita się uprzejmie z panią Mudge i odejdzie. Nie powie nic więcej.

Skinęła głową.

– Cóż, witamy w Montanie.

– Miło z pani strony – odparła pani Morrison.

Ale Adelaide nie mogła się powstrzymać. Czuła się odpowiedzialna za niewyjaśnione zniknięcie pani Mudge po nocy w starym hotelu. Do tego pan Olsen potraktował ją jak złodziejkę, kiedy weszła wtedy na jego wóz. A tymczasem ta kobieta po prostu przyjmuje nowe nazwisko i nie zaprzęta sobie głowy konsekwencjami swoich poczynań? Adelaide ma się teraz uśmiechać i udawać? Poczowała, że jej ciało drży, z zaskoczenia lub z tłumionej wściekłości.

I wtedy zapytała:

– Pani synowie też tu przyjechali?

Grace ścisnęła Adelaide za łokieć.

– Pani Morrison jest wdową. Nie mieli z mężem dzieci.

Adelaide się roześmiała. Na cały głos.

Grace puściła jej rękę i patrzyła na nią wstrząśnięta. Inne kobiety stojące w pobliżu również zmierzyły ją wzrokiem. Rzeczywiście śmiała się tak głośno? Uświadomiła sobie, że musi sprawiać wrażenie, jakby była niespełna rozumu. Murzynka, która się śmieje, że mąż biednej białej kobiety umarł i zostawił ją samą.

Pani Mudge obserwowała Adelaide w milczeniu.

– Najmocniej przepraszam – powiedziała Adelaide, odzyskując nad sobą panowanie. – Musiałam panią pomylić z kimś innym.

To uspokoiło Grace, która teraz odczytywała śmiech Adelaide bardziej jako zakłopotanie niż okrucieństwo. Pani Morrison skinęła głową i odparła:

– Nie gniewam się.

– Naprawdę – dodała Adelaide – musiałam być chyba ślepa.

Patrzyły na siebie przez chwilę, która trwała wieczność.

Wydawało się, że cisza wokół wręcz zatrzuwa powietrze.

Pozostałe kobiety odeszły, wyczuwając, że zanoszą się na coś nieprzyjemnego.

Wtedy pani Mudge, Morrison czy jakkolwiek się, u diabła, przedstawiała odwróciła się na pięcie i szybkim krokiem wyszła ze spichlerza.

Zniknęła w mroku.

– Pani Henry! – syknęła Grace. – Co też panią napadło?

Adelaide spojrzała na Grace. Na swoją przyjaciółkę. Od której zawsze będzie dzieliła ją granica. Lepiej dać jej łatwiejszą odpowiedź, skłamać.

– Za dużo wypłam – wyjaśniła Adelaide. – Proszę nie zwracać na mnie uwagi.

## 18

Adelaide – podobnie jak resztę kobiet, które zostały na noc – zaproszono, by spała w głównym domu. W sypialniach nie było już wolnych miejsc – spały w nich dzieci i ich matki, Adelaide musiała więc przespąć się w fotelu w salonie na parterze. Stały tam jeszcze dwa inne fotele. Jeden zajmowała Grace. A drugi jej syn, który wolał spać nie z chłopcami w sąsiedniej sypialni, ale tutaj, z matką. Być może było prawdą, że Sam nie potrafił się porozumieć z innymi dziećmi. Choć może to dziwne, Adelaide poczuła przez to większą czułość do tego chłopca. Mężczyźni położyli się spać na ziemi w spichlerzu.

Adelaide nie mogła w nocy zasnąć. Co chwila wstawała i krążyła po domu, wypatrując pani Mudge. Dlaczego ta kobieta zadała sobie tyle trudu, by jej skłamać? Osobę o nieczystym sumieniu zawsze poruszy, gdy zobaczy własne odbicie w drugim człowieku.

Ostatecznie jednak Adelaide musiała zrezygnować z wędrówek po pokojach i powrócić na fotel, choć czuła, że jakaś siła nie daje jej usiedzieć w miejscu. Czarna kobieta wałęsająca się nocą po domu białych ludzi ryzykuje, że wezmą ją za służącą albo za złodziejkę. Adelaide w końcu zamknęła oczy, ale do rana nie zapadła w sen.

Rankiem obudził ją w salonie Matthew Kirby. Gdy nachylił się nad nią, wyglądał na wyczerpanego i pomyślała, że przydałaby mu się kąpiel. Pachniał również nie najświeżej. Kiedy Adelaide dotknęła dłonią jego twarzy, miała wrażenie, że rozpromienił się na ten czuły gest. Zeszłej nocy powiedział jej w tańcu, że skończył dwadzieścia trzy lata.

Adelaide poszukała wzrokiem Grace, ale jej przyjaciółka i Sam już wstali. Kiedy Matthew pomógł jej się podnieść i wyprowadził ją przed dom, poczuła ulgę, że nie usiłował jej pocałować. Choć był uroczy, postanowiła – trudno stwierdzić kiedy – że nigdy nie będą parą.

Czy dlatego, że był taki młody? Pewnie też. Ale głównie dlatego, że wybrała dla siebie inny rodzaj życia. Zaskoczyło ją już nawet to, że znalazła w sercu miejsce na przyjaźń z Grace, Samem, Finnem i Matthew. Czy potrafiła sobie wyobrazić, że daje z siebie jeszcze więcej? Nie po to tutaj przyjechała. Miała do dźwignia brzemię, z którym sama musiała sobie radzić.

Jako ostatnia z rodu Henrych, musiała nieść je sama.

Matthew prowadził ją teraz w świetle dnia obok spichlerza, który już zamieciono, wysprzątano i cały sprzęt wniesiono z powrotem do środka. Grace siedziała z Samem na koniu, którego wyprowadzono z zagrody. Finn, nadal ledwo przytomny, trzymał ich konia za cugle.

– Sam dobrze spał? – zapytała Adelaide Grace.

Ale Grace nie patrzyła na nią. Poklepała za to syna po ramieniu i powiedziała:

– Odpowiedz pani Henry.

Sam, zajęty liczeniem obłoków, spojrzał na Adelaide, kiwnął głową i odparł: – Dobrze. – Po czym z powrotem wrócił do wpatrywania się w chmury.

– A pani? – zapytała Adelaide.

Grace kiwnęła głową, nie mówiąc ani słowa. Zwróciła się za to do Finna:

– Długa droga. Może już ruszymy, panie Kirby?

Finn machnął ręką i stał dalej. Jak późno się położył? Ile Special Brew wypił? To i tak szczęście, że trzymał się prosto.

Adelaide przyglądała się, jak ruszają. Chłód Grace ubódł ją i zbił z tropu. Matthew przyprowadził dla Adelaide drugiego konia i pomógł jej wsiąść. Ujął wodze i poprowadził konia naprzód. Adelaide patrzyła na przyjaciółkę, czekając, aż się odwróci, żeby mogły porozmawiać, ale Grace tylko wpatrywała się w horyzont.

Przebyli ćwierć mili, zanim Adelaide zdała sobie sprawę, że Matthew i Finn nie prowadzą ich do dwóch pozostałych koni.

– Przyjechaliśmy tutaj w cztery konie – powiedziała. – Dlaczego wracamy tylko na dwóch?

– Konie zaginęły – wyjaśnił Matthew.

Powiedział to zmęczonym głosem i Adelaide zrozumiała, że razem ze stryjem musiał wiele godzin szukać zaginionych koni. Przypomniała sobie skrajne wyczerpanie na twarzy pana Olsena tamtego ranka, kiedy wyciągnął wóz z wąwozu. Jego nie znała na tyle blisko, żeby się nad nim rozczulać, ale w przypadku Matthew było zupełnie inaczej. Pragnęła otulić go swoją czułością niczym szalem.

– Ale przecież nie będą panowie iść pieszo całą drogę powrotną, prawda?

– Nie byliśmy pewni, czy będzie pani chciała dzielić ze mną konia.

– Nie chcę, by padł pan z wyczerpania, panie Kirby.

Matthew zatrzymał się i zawołał do stryja, który z kolei zamienił kilka słów z Grace.

– Dlaczego pan nie powiedział od razu, panie Kirby?! – odparła z miejsca Grace. Mówiła głośno, niemal z rozdrażnieniem.

Mężczyźni dosiedli wierzchowców i ruszyli spokojnym kłusem. Przy takim obciążeniu zwierząt musieli jechać powoli.

– Co się stało z panów końmi? – zapytała Adelaide.

Matthew odburknął coś niezrozumiałego. Przez kolejne ćwierć mili jechał w milczeniu.

– Dziś rano brakowało czterech koni – powiedział w końcu. – Dwóch naszych i dwóch gospodarzy.

– Robota koniokradów?

– Zgadza się – potwierdził Matthew. – Czyjeś dzieciaki je ukradły.

– Dzieciaki? – zdziwiła się Adelaide.

– Czterech chłopców. Widziano ich, jak odjeżdżali na skradzionych koniach tuż przed świtem.

Adelaide, która obejmowała Matthew w talii, ścisnęła go teraz tak mocno, że zaskoczony aż zakasłał.

„Czterech chłopców”.

## 19

W drodze powrotnej z tańców Adelaide opowiedziała Matthew o pani Mudge i jej synach. Trudno mu było uwierzyć. Po pierwsze w to, że pani Morrison była tak naprawdę panią Mudge, a po drugie, że czterej niewidomi chłopcy potrafili ukraść czwórkę koni.

Choć Matthew nie był przekonany, czy ta historia jest prawdziwa, zaniepokoił się i stał się wobec Adelaide bardziej opiekuńczy. Gdy zbliżali się do farmy Grace, Finn pomachał im na znak, że się rozdzielają. Adelaide zawołała słowa pożegnania, ale tylko Finn i Sam jej odpowiedzieli. Grace nawet się nie obejrzała.

Jadąc z Matthew do swojej chaty, Adelaide zdała sobie sprawę, że oprócz pana Olsena była jedyną osobą, która mogła zaświadczyć przed sądem, że pani Mudge ma czterech synów, i która potrafiłaby rozpoznać ich twarze. Jeśli Mudge'owie ukradli konie, jakich innych występków mogli się dopuścić? Droga powrotna zajęła większą część dnia i niedługo nad Montaną miała zapaść ciemna noc. A Mudge'owie pozostawali gdzieś na wolności.

Gdy Adelaide i Matthew dotarli do jej chaty, ten nalegał, aby zanim wejdą, Adelaide pozwoliła mu zlustrować od progu całe wnętrze. Nie protestowała.

Potem zaprosiła go do środka.

Matthew postawił swoją strzelbę pod ścianą w saloniku.

Adelaide zaproponowała, że zaparzy herbatę, ale on nic na to nie odpowiedział. Wyglądał tylko przez okno.

– Dotarłbym przed nocą do rancza, gdybym wyjechał już teraz – powiedział.

Adelaide uświadomiła sobie, że chciał zostać. Sekundę później zrozumiała, że mimo tego, co myślała zaledwie przed kilkoma godzinami, ona również chciała, by został. Nie była w nim zakochana, ale na tych równinach czułość w połączeniu z ostrożnością zupełnie wystarczały.

Pragnienie towarzystwa było wystarczająco dobrym powodem, by spędzić czas z mężczyzną, prawda? Choćby tylko w tę jedną noc? Przypomniała sobie, że bardzo dawno nikt nie trzymał jej w objęciach. Jej rodzina żyła na uboczu, nie ufała obcym, ale Adelaide nie była dziewicą. Zaznała już wcześniej bliskości. By nie zdradzać szczegółów, wystarczy powiedzieć, że jej tego brakowało.

– Proszę przynieść swoje rzeczy – powiedziała. – Przygotuję nam coś do jedzenia.

Matthew usiłował skryć uśmiech, ale ostatecznie nie potrafił się powstrzymać. Jego pierś unosiła się i opadała w ekscytacji. Miał zaledwie dwadzieścia trzy lata, ale w tamtej chwili wydawał się jeszcze młodszy.

– Jest pani pewna? – zapytał.

– Niech pan nie zmusza kobiety, by składała propozycję dwukrotnie.

## 20

Kiedy Matthew przywiązywał konia, Adelaide poszła do piwniczki po resztkę fasoli i dwa jajka z tych, które Grace dała jej tydzień wcześniej. Adelaide bardziej wstydziła się zależności od jałmużny Grace niż tego, że w jej chacie spędzi noc młody mężczyzna. Po zabraniu fasoli i jajek w piwniczce zostało tylko pozostawione przez Mudge'ów puzderko ze starymi fotografiami. Adelaide uświadomiła sobie, że może wyszukać ich zdjęcia i przekazać je szeryfowi w Big Sandy, żeby łatwiej złapano koniokradów.

Zabrała szkatułkę do chaty razem z jajkami i fasolą, ale na razie jej nie otwierała. Myślała tylko o Matthew. I o sobie. Przygotowała kolację dla dwojga.

– Co zamierza pani w pierwszej kolejności, pani Henry? – zapytał Matthew.

Nie brzmiało to jak pytanie, ale jak próba. Dla Matthew Adelaide pozostawała nowo przybyłą, żółtodziobem, przyjezdną. Matthew pytał takim samym tonem jak Grace, kiedy pierwszy raz zapukała z Samem do chaty Adelaide. Pewnie chciał poznać jej zamiary tylko po to, żeby zasypać ją radami, co *powinna* zrobić. Ale Adelaide zdążyła już przemyśleć wszystko całkiem poważnie.

– W pierwszym roku nie jestem zobowiązana do zaorania całych czterdziestu akrów pod zasiew, dlatego tylko najem kogoś do skopania ziemi pod ogródek. W ten sposób uniknę porażki na całym polu już pierwszego roku. Szczególnie jeśli będzie dość sucho.

– Najmie pani człowieka do skopania ziemi? – zapytał Matthew, jakby go to ubodło.

– Zapłacę takiemu komuś – powiedziała. – Nawet jeśli będę go bardzo dobrze znała.

Matthew zaczerwienił się, wbił wzrok w talerz i ugryzł kęs jajka.

– Zamówię nasiona różnych warzyw, ale na połowie ogrodu wysieję buraki cukrowe.

Matthew uniósł brwi.

– Będą rosnać nawet przy suszy. To mądry wybór, pani Henry.

I to był właśnie ton, który chciała słyszeć. Szacunek. I co z tego, że poradziła jej to Grace? Teraz to był jej plan.



– Skoro siedzisz tutaj o tak późnej porze, mów mi po imieniu.

Odłożyła swoje sztucce i zdjęła chustkę, którą okryła włosy podczas jazdy.

Matthew odłożył swój widelec.

– Adelaide – powiedział.

Nie wiedzieli, jak się przy sobie zachowywać. Ona była od niego wyższa i cięższa. Ale choć Matthew był drobny i szczupły, był też silny. Usiadł na niej z szelmowskim uśmiechem, a kiedy się ze sobą mocowali, żadne nie trzymało już gardy. Matthew dotknął jej rąk i odkrył niewielkie blizny, które biegły na obu przedramionach. Około dwudziestu bruzdek na każdej ręce. Spojrzał na nią, by zapytać – „skąd je masz?” – ale mądrze odczytał wyraz jej na wpół przymkniętych oczu. To nie była pora na snucie opowieści. To nie była pora na słowa.

Kiedy oplotła go w talii nogami, wydawało się, że aż podniósł ją całą, żeby w nią wejść. Wichry Montany dęły z taką samą siłą jak poprzedniej nocy, ale po raz pierwszy Adelaide ich nie słyszała.

## 21

Gdy Adelaide w końcu się obudziła, Matthew Kirby stracił już dużo krwi.

Nie słyszała, jak krzyczał, bo usta miał zakryte i jego krzyki były stłumione. Zupełnie jakby przebudziło ją oszalałe walenie jego serca. Przez chwilę nie była pewna, gdzie się znajduje – w Montanie czy w Kalifornii. Ta zgroza była jej dobrze znana, przypominała jej dom.

Adelaide otworzyła oczy. Leżała zupełnie nago, nadal przykryta pościelą. Tylko to w całej chacie wydawało się jeszcze bezpieczne i normalne. Całą resztę wnętrza ogarnął obłęd.

Fotel leżał przewrócony, oparcie bujanego krzesła zniknęło, z siedziska sterczały tylko ostre drzazgi, jakby coś odgryzło wiklinową górną część. Z książek w saloniku zostały już tylko strzępki papieru rozrzucone po meblach jak popiół. Wszystkie patelnie i rondle pospadały ze ściany. Krew Matthew była wszędzie – na podłodze, na ścianach, na oknach.

Kufer stał otwarty i pusty.

Jak Adelaide przespała to wszystko? Tę zgrozę szalejącą na świecie?

Za oknem nadal panowała noc. Świt wydawał się niemożliwie daleko. Adelaide zrzuciła z siebie koce i zadrzała. Znowu usłyszała wicher Mon-

tany – wył, zakradając się w górę po zewnętrznej ścianie, potem kręcił pętlę pod dachem i mroźnym podmuchem spadał do wnętrza chaty.

A w tamtym w rogu, gdzie przedtem stał fotel, dostrzegła to, co wydostało się z kufra. Było odwrócone do niej grzbietem, przyciskało bok olbrzymiego cielska do ściany chaty.

Wielkie fałdy grubej skóry zwisały z uniesionych ramion.

Wydostało się.

A nieco poniżej tych fałd widać było parę bosych stóp.

Stóp Matthew Kirby’ego.

Kopiących apatycznie.

Tak kopie nie ktoś, kto walczy, ale ktoś, kto słabnie.

To coś, to brzemię Adelaide Henry, pochylało się nad Matthew, pożerało go.

W jednej chwili Adelaide poczuła bezgraniczne wyczerpanie całym swoim życiem. W ten sposób przeżyła niemal trzydzieści jeden lat. Dopadając, sprzątając, zacierając ślady. Skoro nie umiała ocalić własnych rodziców, co za różnica, czy pozwoli umrzeć mężczyźnie, którego prawie nie zna?

Ale myślała tak tylko przez krótką chwilę, pod wpływem zmęczenia. Nie porzuci Matthew.

Skoczyła na to cielsko, na tę istotę. Niektórzy zwali ją „stworem”. Ale przez całe życie Adelaide i jej rodzina nazywali ją inaczej: ich przekleństwem.

Skóra stwora nie była tak naprawdę skórą, ale tysiącem tysięcy maleńkich szarych łusek, złączonych tak szczelnie, że tworzyły naturalną zbroję. Odporną na ostrza i kule, co jej rodzice raz, i tylko raz, sprawdzili. Łuski były w dotyku jak ostry papier ścierny, dlatego niemal każdy człowiek, który się z tym cielskiem zmagił, krwawił.

Oprócz Adelaide.

Odkąd była dzieckiem, umiała chwycić stwora za łuski i wychodzić z tego nietknięta. Nawet ich matka nie miała takiego szczęścia. Karmienie piersią okazało się krótkotrwałym eksperymentem. Adelaide umiała chwycić tę skórę i była na tyle krzepka, by stwora ujarzmić. Ze wszystkich żyjących na świecie istot tylko Adelaide potrafiła go poskromić. Ich ojciec powiedział kiedyś, że natura powołała Adelaide do życia w tym jednym celu. Bo po cóż innego taka silna dziewczyna miałyby się urodzić w ich rodzinie, jeśli nie po to, by ujarzmić to coś, czym zostali pokarani. Adela-

ide Henry miała zadanie do spełnienia. Tak twierdzili jej rodzice i powtarzali jej to niemal codziennie.

Teraz Adelaide ruszyła do stwora, jak zaprawiony zawodnik rodeo podchodzi do byka. Z tym że Adelaide nie potrzebowała pomocy specjalnego rzemienia, by stwór wierzgał i podskakiwał. Jednym ramieniem mocno objęła go za gardło, całym swoim ciężarem odciągając go w tył. Miała wystarczająco masywne ciało, by oderwać stwora od Matthew Kirby'ego i obrócić w bok jego wielki łeb.

Nogi stwór miał krótkie i cienkie, ugiął się więc, kiedy Adelaide napała na niego całym swoim ciałem i posadziła go na podłodze. Ale gdy głowę miał skrzyśconą w bok, trzeba było unieszkodliwić zębiska. Z zębami zawsze było najtrudniej.

W dzieciństwie Adelaide wiele razy ułożyła ramię zbyt wysoko, zbyt blisko paszczy stwora. Te bruzdowate blizny od łokcia po nadgarstek były dowodem jej zmagañ.

Kiedy Adelaide oderwała stwora od Matthew, wspięła się na jego grzbiet. Było to jak dosiadanie pterodaktyla. Stwór runął naprzód, na miękkie brzuch, łamiąc swoim ciężarem kilka desek podłogi.

Teraz łeb leżał płasko i tej właśnie sztuczki Adelaide nauczyła się wiele lat temu. Ze szczęką wciśniętą w podłogę, dociskaną stu osiemdziesięcioma pięcioma funtami <sup>7</sup> wagi Adelaide Henry, która napierała od góry, cóż, ta głowa już się podnieść nie mogła. Adelaide nauczyła się tego, oglądając pokaz podróźnych poskramiaczy aligatorów.

Stwór pluł i parskał, Adelaide jednak mocno trzymała. Dyszała ciężko, ale nie odpuszczała.

Spojrzała przez ramię na Matthew.

W mroku trudno było stwierdzić, czy stracił ręce lub nogi. Słyszała, jak się dusi i krztusi, czyli miał jeszcze głowę. Ojca znalazła w gorszym stanie. Musiała wydostać jego głowę i ułożyć ją na poduszce, żeby jego sylwetka wyglądała na nietkniętą.

– Słyszysz mnie? – zapytała Matthew, sama z trudem chwytając oddech.

W odpowiedzi usłyszała tylko kaszel. Odpowiadał „tak” czy miał atak? Nie umiała stwierdzić. Nachyliła się do jego ucha.

– Jakim cudem się wydostał? – zapytała. – Wyłamałeś zamek?

Stwór zasyczał, beknał i przez zaciśnięte zęby obryzgał podłogę krwią.

Oczywiście krwią Matthew.

Na farmie w Kalifornii Adelaide wsadzała stwora z powrotem do kufra. Skoro mogła wtedy, poradzi sobie i teraz. Szarpnęła nim i popchnęła cielsko w stronę skrzyni, cały czas przytrzymując mu głowę, by nie podniósł szczęk nad podłogę i jej nie ugryzł.

Na widok kufra z gardła stwora wydobyło się zduszone wycie. Potwór, nie potwór – każde stworzenie źle znosi niewolę. Stwór rozdał nozdrza, wdychając zapach krwi Matthew. Skomleniem błagał Adelaide, by pozwoliła mu jeszcze choć na jeden kęs. Ale Adelaide nieugięcie pchała go w stronę kufra.

Za jej plecami Matthew Kirby opadł tułowiem w przód, zginając się w pasie jak niemowlę, które nie umie jeszcze siedzieć prosto. Adelaide nie mogła w tej chwili na niego spojrzeć – dotarła ze stworem do kufra i to była najtrudniejsza część walki. Chwyciła go za nogę i pociągnęła w tył, aż całe jego ciało zadrżało.

I Adelaide zaczęła stworowi śpiewać.

– „Mama zsyła sen. Tata zsyła sen”.

Energia powoli opuszczała wielkie cielsko. Muzyka, dzika bestia, stara sztuczka.

– „Już czas na sen, na sen. Już pora spać”.

Stwór wpełzł do skrzyni. Adelaide zamknęła wieko, ale sekrety, raz odkryte, nie są już sekretami, choćby nie wiem na ile kluczy zamknąć je z powrotem. Ten sekret musiał się wydać. Ile czasu minie, nim stwór znowu spróbuje się uwolnić?

## 22

Adelaide znalazła na podłodze kłódkę i podniosła ją, by się jej przyjrzeć. Nie została zerwana.

Ktoś ją otworzył.

Kluczyka nie było na gwoździu nad kuchenką.

Leżał na podłodze, przy skrzyni.

– Otworzyłeś kufer – powiedziała cicho Adelaide.

Kiedy w końcu spojrzała w tył, Matthew był oparty o przewrócony fotel. Trzymał strzelbę przyciśniętą do biodra. Wymierzoną w nią.

– Odsuń się – polecił, chociaż jego głos brzmiał słabo. – Odsuń się, zabiję to coś.

Adelaide wsunęła kłódkę z powrotem w obejmę klamry. We wnętrzu skrzyni stwór oddychał powoli, jakby z powrotem zasypiał głębokim, zimowym snem.

– Otworzyłeś kufer – powtórzyła Adelaide.

– W całej chacie tylko ta skrzynia jest cały czas zamknięta – powiedział.

Lufa drżała, bo strzelba była ciężka. Matthew trzymał broń lewą ręką, chociaż nie był mańkutem. Jego prawa ręka leżała bezwładnie u jego boku, oddarty fragment rękawa koszuli zwisał luźno przy barku. Wtedy Adelaide uświadomiła sobie, że Matthew był tak samo nagi jak ona, a zwisająca tkanina była jego skórą.

– Chciałem tylko zobaczyć, co jest w środku – powiedział.

– Kiedy ja spałam?

Pokręcił sztywno głową.

– Możesz mnie nazywać złodziejem, ale to ty trzymasz w domu diabła.

Adelaide przyglądała mu się przez chwilę. Miała wrażenie, jakby wracali mu siły. Nie doszedł jeszcze w pełni do siebie, do tego było daleko, ale może jednak nie umrze. A jedynie ją rozczaruje.

Adelaide nawet nie była na niego zła. Nie gniewała się poważnie. Tutaj każdy mężczyzna i każda kobieta, każde dziecko, każde stworzenie dobrze znało desperację. Pan Olsen miał rację. „Ta ziemia usiłuje zabić każdego z nas po kolei, proszę mi wierzyć”.

Matthew próbował ukraść jej skarb, ale znalazł tylko jej klątwę.

– Krwawisz – powiedziała. – Daj, pomogę ci.

Strzelba opadła jakby zmorzona snem, ale z powrotem się podniosła.

– Czy to coś może się znowu wydostać? – zapytał Matthew.

– Nie, chyba że znowu ukradniesz mi klucz.

Adelaide postawiła przy kuchence lampę, zapaliła ją. Uważnie badała jego prawą rękę, jego głowę i plecy.

– Widziałam już bardziej poranionych – stwierdziła.

Obwiązała mu rany serwetami i obrusem i położyła go na swoim łóżku, by przespał się do rana. Jego powieki zadrgały i opadły.

Gdy sprzątała chatę, czuła dziwną ulgę. Nie wiedziała, jak się Matthew zachowa wobec tego, co widział w nocy. Rozpowie po okolicy? Sprowadzi stryja z grupą chłopaków i będą próbowali zabić stwora? Gdyby była młodszą, bardziej naiwną, mogłaby nosić w sercu taką nadzieję. Że przybędzie kawaleria z odsieczą. Ale nie była już dzieckiem. Matthew musiałby sprowadzić całe mnóstwo ludzi, jeśli miał nadzieję rozprawić się ze stworem.

Wątpiła, czy w całej Montanie było tylu mężczyzn. Na tym polega klątwa, prawda? Człowiek jest skazany z nią żyć.

Matthew leżał w łóżku, z półprzymkniętymi oczami, z błędzącym wzrokiem, a Adelaide snuła swoją opowieść.

– Zjawił się na progu naszego domu w tym samym dniu, w tej samej minucie, w której matka wydała mnie na świat. W jednej chwili została błogosławiona i przeklęta. Czy ktoś go tam zostawił? Czy wydobył się na powierzchnię z czeluści piekieł? A któż to wie? Ojciec akurat pracował w polu, kiedy matka mnie rodziła. To położna go znalazła. Z początku wzięła go za zwierzę. Może za małe lwiątko albo za grzechotnika, ale kiedy go podniosła, odgryzł czubek jej kciuka. Cisnęła go z powrotem na podłogę w naszym domu i uciekła. Już nigdy nie wróciła. Ludzie zaczęli jednak plotkować. „Dziwacy”. Tak mówili o Henrych.

Adelaide drżała, ale nie z zimna, to ta spowiedź wprawiła ją w drzenie. Czemu rodzice się go nie pozbyli? Nie zatłukli na śmierć na progu domu? Pytała ich o to, gdy była mała, ale zawsze odpowiadali wymijająco. A kiedy Adelaide dorosła na tyle, by cokolwiek rozumieć, jej rodzice zdążyli się już pogodzić z tym brzemieniem i nie przychodziło im do głowy, że może być inaczej, dlatego trzymali się na uboczu. Odgradzili się od reszty świata i tym samym uwięzili ze sobą również rodzinny sekret. „Siedź cicho, nie ujawniaj własnej hańby”. Tak mogłoby brzmieć motto rodziny Henrych.

Jasne, w innych rodzinach z doliny Lucerne pewnie krążyły różne pogłoski o Glenville’u i Eleanor, ale jedyne, co ludzie naprawdę o nich wiedzieli, to że prowadzili gospodarstwo, które przynosiło zyski, że ich córka pracowała w polu i rzadko bawiła się z innymi dziećmi, a kiedy przyjeżdżali w niedzielę do kościoła, zawsze siadali w ławce z tyłu. Zjawiali się ostatni, wychodzili pierwsi, ale zawsze przywozili śliwki, żeby członkowie kongregacji mogli się częstować po mszy, i tylko z tego powodu jeszcze ich poważano.

Mimo że Matthew zapadł w głęboki, trawiony chorobą sen, Adelaide czuła ulgę, opowiadając na głos historię swojej rodziny. Już od samego mówienia do oczu napływały jej łzy. Ta opowieść od trzydziestu lat zżerała ją od środka.

– Pytanie, które zadawałam rodzicom najczęściej, brzmiało: „Czemu my? Co takiego zrobiliśmy, że spadło na nas to przekleństwo?”.

Wbiła wzrok w Matthew, jakby czekała, że wyszepcze odpowiedź na to pytanie, ale oczywiście tylko ciężko dyszał przez sen. Otarła mu twarz

chustką.

– A może to z mojej winy? – powiedziała cicho.

## 23

Matthew Kirby dochodził do sił w jej chacie. Mijały całe dni, kiedy prawie nie otwierał oczu. Mamrotał coś w mowie z ojczywego kraju, nie w tej, której się nauczył na tych ziemiach.

– *Yks kalja* – wyszeptał kilka razy.

Adelaide nie miała pojęcia, co mówi, ale miała nadzieję, że coś miłego. Powtórzyła te słowa koniowi Matthew, kiedy poszła nasypać mu obroku. Może koń rozpozna te słowa i go uspokoją?

Kilka razy Adelaide myślała, żeby Matthew zabić. Nie żywiła do niego złych uczuć, tak po prostu podpowiadała jej intuicja po trzydziestu latach skrywania tajemnicy. Rodzice wbijali jej do głowy, że świat się skończy, kiedy ktokolwiek się dowie. A teraz dowiedział się Matthew. Dlatego rozważała, czy go nie zabić. Jego strzelba stała w kącie chaty. Stryj Finn odwiózł Grace i Sama po tańcach już wiele dni temu. Gdyby teraz pojawił się w progu i zapytał o Matthew, łatwo byłoby skłamać, że tamtego wieczoru pojechał od niej, bo chciał dotrzeć do domu przed zmrokiem, ale nie było mu to dane. Te równiny znają sposoby, by po jeźdźcu nie zostało ani śladu. Adelaide przemyślała to jednak i powzięła decyzję, by zachować go przy życiu. Był to dla niej akt sprzeciwu. Słyszała głos rodziców ostrzegających ją, że popełnia wielki błąd.

Kiedy Matthew leżał w stanie pomiędzy snem a śmiercią, Adelaide wytaszczyła kufer z chaty i zaciągnęła go do piwniczki. Dzięki pracy na rodzinnej farmie była silna. A kilka miesięcy na tej ziemi – w samotności – dało jej jeszcze większą moc.

Z kufra nie dochodził nawet najcichszy odgłos. Ciężar skrzyni stanowił dowód, że stwór nadal siedzi skulony w jej wnętrzu. A skoro był bezpiecznie zamknięty w kufrze w piwniczce, Adelaide mogła sobie wyobrazić, że go nigdy nie było. Ani w chacie, ani w jej życiu. Gdyby nie krew Matthew zaschnięta na deskach podłogi, pewnie by o wszystkim zapomniała.

Wysprzątała chatę, jak umiała. Krzesło na biegunach było całkowicie zniszczone, więc pozamiatała drzazgi. Zebrała luźne kartki wydarte z powieści, teraz nadawały się tylko na podpałkę. Gdy Matthew leżał

w łóżku, ona spała w fotelu. Znowu nosiła na szyi klucz do zamka kuфра. Już nigdy bez niego nie położy się spać.

Piątej nocy znalazła szkatułkę z fotografiami, którą wcześniej przyniosła z piwniczki. Jutro weźmie konia Matthew, pojedzie do Big Sandy i przekaże miejscowemu szeryfowi zdjęcia pani Mudge i jej synów. Ale puzderko ją zaskoczyło. Choć pełno w nim było fotografii, nie przedstawiały niestety ani pani Mudge, ani żadnego z jej czterech chłopców. Nikogo, kto byłby choć trochę do Mudge'ów podobny.

Z pewnością były to zdjęcia rodziny. Ale czyjej?

Po kilku kolejnych dniach Matthew Kirby odzyskał siły na tyle, by podnieść się na łóżku i zjeść cokolwiek na kolację. Prawie się do siebie nie odzywali. Matthew lustrował wzrokiem chatę: w rogu nie stało już wiklinowe krzesło na biegunach, deski podłogi nadal były połamane w miejscach, gdzie Adelaide mocowała się ze stworem. Kufer zniknął. To chyba przyniosło Matthew ulgę. Twierdził, że słyszał, co do niego mówiła, ale według niego mówiła od rzeczy.

– Żadna puma – powiedział. – Żaden grzechotnik.

Patrzył na nią, a ona zeszytywniała, opuściła ją cała odwaga.

– Jesteś pewny? – zapytała go. – Znalazłam cię w przerażającym stanie. Przed chatą.

Jej kłamstwo najpierw Matthew Kirby'ego rozgniewało, a potem zamaściło mu w głowie. A może sobie to wszystko tylko wyobraził? Nadal był ledwo przytomny, o krok od śmierci. Zdezorientowany usiłował przypomnieć sobie, co się stało. Naprawdę to tylko sztuczki płatane przez jego wyobraźnię...?

Spojrzał na nią, a ona przybrała maskę obojętności, choć czuła, jak zaciska jej się żołądek.

– W takim razie co się ze mną stało? – wyszeptał. – Wyjaśnij mi.

Adelaide założyła ręce na piersi.

– Ta ziemia usiłuje zabić każdego z nas po kolei – powiedziała.

Matthew opadł na poduszkę, z powrotem naciągnął na siebie koc i odwrócił się twarzą do ściany. Ich dni czułości dobiegły końca.

Kiedy nareszcie czuł się na siłach, by wsiąść na konia, pomogła mu zabrać strzelbę i jego rzeczy. Napełniła skórzany bukłak wodą z beczki. Zanim wyprowadziła Matthew przed chatę, wcisnęła mu w dłoń dwadzieścia dolarów. Nie zarobiła tu jeszcze ani centa, a mimo to oddała mu więk-



szość pieniędzy, które jeszcze miała. Zostało jej teraz niecałe osiem dolarów.

Popatrzył na te pieniądze, potem na nią.

Czy musiała mówić wprost, że kupuje jego milczenie? Nie. Myślała jednak, że duma albo może jakieś resztki uczucia, które do niej żywił, każą mu odmówić, że nie przyjmie tych pieniędzy.

Ale on wsunął banknoty za cholewę buta i z pomocą Adelaide wsiadł na konia.

W siodle osłabł i Adelaide zastanawiała się, czy zdoła tak dojechać do Finna. Gdyby spadł, byłoby już po nim. I to nie byłaby jej wina. Przecież go nie zabiła i nie zakopała ciała.

Czy chciała, żeby tak się stało? Nie.

Tak.

I chciała, i nie chciała.

Taka była prawda.

Patrzyła, jak odjeżdża. Gdyby upadł, kiedy jeszcze go widziała, mogłaby mu pomóc. Ale potem? Potem był już zdany tylko na łaskę tej ziemi.

Miała nadzieję, że już go nigdy więcej nie zobaczy. Ale miała go jeszcze spotkać.

Dwukrotnie.

## 24

Gdy Adelaide znowu została sama, wyparła wszelkie myśli o Matthew i zajęła się własnym przetrwaniem. Założyła buty i grube okrycie, poszła z dwoma wiadrami do pobliskiego wąwozu i napełniła je śniegiem. Prawdziwa zima, z tych, jakie bywają w Montanie, jeszcze nie nadeszła. Dowodził tego fakt, że Adelaide mogła na piechotę dostać się do wąwozu i wrócić.

Gdy już przyniosła wiadra ze śniegiem, sprawdziła stan lignitu. Jego zapas był już na wyczerpaniu, a do tego palenie tym węglem szkodziło jej zdrowiu. W przeciwieństwie do drewna, dym z węgla brunatnego cofał się do chaty. Gdy paliła lignitem zbyt często lub wsypywała za dużo, od dymu szczypały ją oczy i zanosila się kaszlem. Gdy spadną większe śniegi, będzie zamknięta w chacie i na samą myśl o życiu w tym dymie niemal zaczęła się dusić. Grace podarowała jej trochę drewna, ale skończyło się już wiele tygodni temu. Potrzebowała więcej.

Uprała pościel, która przesiąkła krwią Matthew, gdy w niej spał. Serwetek i obrusa, których użyła do przewiązania mu ran, nigdy by nie doprała do czysta. Na praniu i noszeniu śniegu upłynął jej cały dzień. W nocy poczuła nieznany dotąd ziąb, było teraz chłodniej o co najmniej dziesięć stopni. Adelaide zastanawiała się, czy stwór też odczuwa ten chłód.

W środku mroźnej nocy Adelaide otworzyła drzwi do chaty i z trudem pokonała piętnaście kroków do piwniczki. Zimno, w chacie i tak już przenikliwie, na zewnątrz niemal odzierało ją ze skóry. Mróz zapierał jej dech, z trudem chwytła powietrze.

Otworzyła drzwi do piwniczki, zeszła po sześciu ziemnych stopniach i przykucnęła tam, usiłując głębiej odetchnąć. Tutaj była przynajmniej schowana przed mroźnymi podmuchami wiatru. Objęła dłońmi twarz, bolała ją z zimna. Nasłuchiwała odgłosów, jakichkolwiek, ale któż by tam coś dosłyszał przez to wycie nocnego wichru?

Adelaide nachyliła się nisko nad kufrem. Oddychała i słuchała w skupieniu. Czy stwór umrze? Czy *może* umrzeć? A jeśli mrozy Montany dokonały tego, czego ona ani jej rodzice uczynić nie umieli?

Podniosła dłoń i trzy razy zapukała w bok skrzyni.

Oddychała i słuchała w skupieniu.

Z początku była cisza, ale potem coś w kufrze zadudniło.

Drewno zaskrzypiało.

Usłyszała głęboki pomruk, jakby lwa, rozzłoszczonego, że ktoś go obudził.

Jakby ktoś ją pchnął, Adelaide aż się przewróciła i usiadła na ziemi. Czyli dobrze.

Nadal silny. Nadal żyje.

Wstała i wyszła z piwniczki, zamknęła za sobą drzwi. Gdy wróciła do chaty, założyła trzy warstwy ubrań, opatuliła się kocami, ale nadal nie mogła zasnąć, bo dygotała z zimna. Dorzuciła do ognia resztkę węgla, ale potem przez trzy godziny kasłała przez gryzący dym. Zanim wstał świt, wiedziała już, że nie przetrwa kolejnej nocy bez palenia drewnem. Ale czy byłby to aż taki zły koniec? Drzeć w łóżku aż do odejścia. Sen. Odpoczynek. Ulga.

Ale gdyby zamarzła na śmierć, a potem ktoś by przyszedł, znalazł kufer w piwniczce i go otworzył? I kto to mógłby być? Najbardziej prawdopodobne, że Grace z Samem. Aż strach myśleć, co potwór by z nimi zrobił.

Grace potraktowała ją bardzo chłodno, gdy wracali z zabawy, ale Adelaide nie życzyła źle swojej jedynej przyjaciółce. Ani Samowi. Nieważne, co myśleli ludzie w mieście, ona bardzo lubiła tego chłopca. Nigdy by nie pozwoliła, żeby stało mu się coś złego. Musiała zdobyć drewno dla własnego przetrwania i dla nich. Jeszcze zanim wstał dzień, Adelaide postanowiła, że pójdzie do Grace. Będzie musiała przebyć wiele mil, i to piechotą.

Gdy wzeszło słońce, wyruszyła.

## 25

Adelaide szybko pożałowała tej decyzji. Już po dwudziestu minutach była przekonana, że całą drogę będzie musiała się czołgać. Wicher nieustannie uderzał w nią, aż się zataczała. Z początku uważała, że wiatr źle jej życzy, że za wszelką cenę chce ją zabić, ale gdy minęło pół godziny, zrozumiała, że takie myślenie jest niedorzeczne. Ta ziemia miała ludzi we władaniu, ale to nie ona do nich przyszła, to oni przyszli do niej. Nie próbowała ich zabić. Nawet ich nie zauważała.

Adelaide zatrzymała się, żeby poprawić wełnianą chustę, zakryć nią szczelniej usta i nos, ale niewiele to pomogło. Miała rękawiczki. Buty z cholewą. Dwie warstwy ubrań, a na to grube okrycie, ale przemarzła do tego stopnia, że równie dobrze mogłaby hasać w samej halce.

Po kolejnej godzinie – a może minęło tylko dziesięć minut? – wydawało jej się, że przed chwilą wyruszyła z chaty. Bardzo trudno było tutaj oceniać odległości. Miała do przejścia jeszcze dwie mile czy pięć? Wydawało jej się, że pięćset. Wzięła ze sobą na drogę wodę i suchary, o których jej ojciec pogardliwie mówił „psie przysmaki”. Ukucnęła, żeby coś zjeść i się napić, zgarbiona nad posiłkiem jak jaskiniowiec.

W drugiej godzinie drogi miała już niemal majaki. Ziąb odmroził jej do kości czoło i nasadę nosa. Samego nosa i ust w ogóle nie czuła, nawet mimo ochronnej chusty. Powinna była zainwestować w konia zaraz po przyjeździe do Montany, ale przywykła do tego, że ludzie przyjeżdżali do niej – Grace, Matthew i inni mężczyźni, którzy ją odwiedzali. Poza tym każdego dnia było do załatwienia piętnaście niecierpiących zwłoki spraw w chacie i wokół niej. Ale to wszystko były wymówki. Wszystko tylko dowodziło, że nie potrafi żyć samodzielnie jak dojrzała kobieta.

– Zaskakujesz mnie.

Powiedziała to Eleanor Henry. Szła u boku Adelaide, najzupełniej spokojnie.

Matka Adelaide była ubrana tylko w koszulę nocną, a ciało na piersi miała pocięte na pasy, pod spodem widać było żywe mięśnie, niemal purpurowe. Ponieważ gardło miała rozerwane, jej głos nie brzmiał jak dawniej. Teraz był słaby, chrapliwy. Matka szła boso.

Adelaide nie wystraszyła się idącej obok niej zjawy. Nieustanną obecność matki czuła od chwili, gdy uciekła z farmy.

– Mówiłam ci, żebyś trzymała się z dala od obory – powiedziała Eleanor.

– Próbowałam – wyszeptała Adelaide. – Ale słyszałam, jak...

– Jak krzyczymy – dokończyła za nią Eleanor.

Adelaide kiwnęła głową.

– Kiedy usłyszałam krzyki twoje i taty, usiłowałam stwora powstrzymać.

Eleanor roześmiała się, ale w jej śmiechu, w tym odgłosie, nie było ciepła. Wydostawał się przez dziury w żywym mięsie i brzmiał niemal jak wycie.

– Ach tak? – zapytała Eleanor.

Adelaide nie odpowiedziała, ale matka wbijała w nią spojrzenie martwych oczu.

– A może nie chciałaś go powstrzymać? – syknęła Eleanor. – Aż nas zabije.

Te słowa były dla Adelaide silniejszym ciosem niż smaganie wiatru. Zgarbiła się, przygotowując na ból.

– Ty i ten demon – ciągnęła Eleanor. – To, co najlepsze, i to, co najgorsze, zjawiliście się w naszym życiu tego samego ranka. Zastanawiałaś się kiedyś dlaczego?

Oczywiście, że się zastanawiała. Niemal codziennie, odkąd była już na tyle duża, by pojąć tę symetrię.

– Dlaczego akurat tamtego dnia? – zapytała Adelaide matkę, tylko po to, by zmienić temat. – Dlaczego akurat tamtego dnia we dwoje poszliście ze strzelbą do obory?

Eleanor zwolniła kroku, aż w końcu całkiem się zatrzymała, ale Adelaide szła dalej.

– Zmęczyło nas ukrywanie tajemnic! – zawołała za nią Eleanor. – Ciebie jeszcze nie męczy?

Adelaide spojrzała przez ramię, by odpowiedzieć matce, ale Eleanor już zniknęła.

Kiedy Adelaide odwróciła głowę z powrotem przed siebie, wpadła twarzą prosto w ścianę chaty Grace.

## 26

Stały tam obok siebie dwie niewielkie chaty, obie dziesięć stóp na dziesięć. A za nimi – wychodek z dwiema przegródkami. W porównaniu do chaty Adelaide to siedlisko wydawało się niebywale luksusowe. Grace odpracowała na ziemi swoje trzy lata i wykazała się w 1913 roku. Adelaide zauważyła też w pobliżu stajnię z zagrodą dla koni, ale zwierząt w niej nie było.

Po wielu milach marszu Adelaide kulała na prawą nogę. Bardzo bolała ją stopa, a do tego nieustannie piekły ją policzki i czoło. Pieczenie było lepsze niż zdrętwienie. Jeśli jakaś część ciała ją paliła, to znaczy, że nerwy jeszcze pozostawały żywe.

Skończyły się już suchary i woda. Adelaide miała nadzieję, że zastanie Grace i Sama akurat przy obiedzie. Może nawet będą jedli mięso. Nie miała w ustach mięsa od przyjazdu do Montany. Ale skoro w zagrodzie nie stał żaden koń, obawiała się, że mogą załatwiać sprawunki. Pewnie pojechali do Big Sandy, a może nawet – cóż to byłoby za ironia losu – zbliżali się w tej chwili do chaty Adelaide.

W takim razie Adelaide po prostu wemknie się do jednej z tych dwóch chat i osunie się nieprzytomna na podłogę. Zawsze później będzie mogła prosić o wybaczenie, gdyby Grace wróciła i ją ocuciła. Adelaide pchnęła drzwi pierwszej chaty – były niezamknięte.

Okazało się, że Grace jest w domu.

Skulona na podłodze.

W pokrzwawionej sukni.

– Pani Price! – krzyknęła od progu Adelaide, ledwo trzymając się na nogach.

Grace Price zapadła w dziwny trans, oddychała szybko i płytko. Wydawało się, że głos Adelaide do niej nie dociera. Dopiero kiedy Adelaide uklękła i dotknęła głowy Grace, jej szybki oddech zwolnił. Opadały jej powieki, ale w końcu spojrzała przytomnie. Zobaczyła Adelaide.

Twarz miała bladą od upływu krwi, bledszą niż firanki w oknach. Na widok krwi na ubraniu i na deskach podłogi Adelaide ujrzała w wyobraźni okaleczone ciało Matthew Kirby’ego. Czyżby stwór się jakoś uwolnił? Wydostał się z kufra, wypełził z piwniczki i zdołał dotrzeć tu przed nią?

– Sam... – wyszeptała Grace. – Niech pani znajdzie Sama.

Serce Adelaide zdjął nagły chłód, miała wrażenie, że nawet większy niż jej członki. Co pocznie, jeśli stwór wyrządził krzywdę Samowi?

Rozejrzała się po chacie. Choć było tu ciasniej niż w jej drewnianym domu, sprzęty były ustawione mniej więcej podobnie. Oprócz tego, że Grace miała piec, a nie jedynie kuchenkę. Piec leżał obalony. Wszędzie wały się porzucane patelnie i garnki. Oba łóżka w chacie, jedno dla dziecka i jedno dla dorosłej osoby, były wywrócone. W dwóch oknach szyby były wybite, a odłamki szkła leżały na podłodze.

– Dostał się do środka? – zapytała Adelaide, niemal nie mogąc złapać tchu z przerażenia.

– Niech pani znajdzie Sama! – krzyknęła Grace. – Wrzucili go do piwniczki.

Grace prawą ręką trzymała się za brzuch, a jej bluzka była cała we krwi. Teraz znowu dyszała krótkim, rwanym oddechem, znowu była jakby w transie.

Adelaide wypadła z chaty i zataczając się, dobrnęła do piwniczki. Gdy otworzyła drzwi, u stóp krótkich schodków dostrzegła dwie małe stopy, reszta ginęła w mroku.

– Sam! – krzyknęła. Zbiegła po schodkach takim pędem, że niemal się na niego przewróciła.

Gdy w piwniczce rozległ się jej głos, bose, niemal sine stopy zadrżały. Znak, że żył. Z ciemności dobiegł jego płacz, piskliwy i przerażony, jakby płakało niemowlę, a nie dziewięcioletni chłopiec.

– To ja – powiedziała, chwytając go za ramiona. – Pani Henry. Adelaide.

Dłonie miał związane z tyłu, a na jego głowę ktoś naciągnął poszewkę poduszki. Zwymiotował do niej i kiedy Adelaide zdjęła płótno, wymiociny były przyklejone do skóry. Otarła mu twarz rękawem płaszcza. Przycisnęła go mocno do piersi i trzymała skulonego w objęciach, chcąc ochronić każdą widoczną część jego ciała.

– Och, Sam – wyszeptała, rozcierając mu ręce i plecy. – Tak mi przykro. Tak mi przykro.

I dopiero wtedy dotarły do niej słowa Grace.

„Wrzucili go do piwniczki”.

*Oni.*

Po bardzo długiej chwili Sam spojrział na nią przytomnym wzrokiem.

Położył zimną dłoń na jej policzku. Ona przykryła ją swoją dłonią. Ufność przepłynęła między nimi jak prąd.

Adelaide pocałowała go głowę. W końcu Sam się odezwał.

– Najmłodszy z nich zabrał mi buty – powiedział. – Mówił, że lubi pamiątki.

## 27

– Mudge’owie.

Grace wypowiedziała ich nazwisko tak, jakby było trucizną, którą chciała wypluć.

Zapadła noc. Gdy Adelaide przyprowadziła Sama z powrotem do chaty, Grace rozplakała się z wielkiej ulgi. Widok dziecka wrócił jej siły. Nie mogła przecież tak leżeć, by syn widział jej słabość. Aby go chronić, zebrała się w sobie. Pozwoliła, by Adelaide pomogła jej wstać i opatrzyła jej ranę.

– Postrzelił mnie w dłoń – powiedziała.

Bezwładna ręka Grace spoczywała na kolanach Adelaide. Grace mocno się już wykrwawiła. Dłoń była spuchnięta wokół miejsca, przez które przeszła kula. Adelaide wołała nie sprawdzać, czy pocisk pogruchotał kości. Znalazła poszewkę na poduszkę i ciasno owinęła nią dłoń Grace. Matthew odniósł gorsze rany i przeżył. O mały włos powiedziała tak do Grace, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język. Sam siedział przy mamie, ale nie mógł na to patrzeć. Wtulił twarz w jej prawe ramię.

– Musimy się dostać do Big Sandy – powiedziała Grace, bardziej do siebie niż do Adelaide.

Jakby już planowała zadania na kolejny dzień – tak nakazywała jej intuicja matki, bez względu na przeszkody. Gdyby nie układała planów, niczego by nigdy nie osiągnęli.

– Emma Gallagher pracuje w szpitalu Worstella – powiedziała. – Wiem, że zajmie się moją dłonią lepiej niż tamtejszy lekarz. Ale jak tam się dostać, to najtrudniejsze.

– Dlaczego postrzelili panią akurat w dłoń? To dziwne – stwierdziła Adelaide, gdy skończyła opatrywać ranę.

– Chłopak celował w głowę – wyjaśniła Grace. – Ale miał tylko dwanaście lat.

Czy Adelaide nie miała prawa czuć ulgi? Dwunastolatek, a nie potwór przywieziony przez nią z Kalifornii. Lepiej, kiedy za tą zgrozą stał człowiek. Wtedy można było to pojąć, łatwo wyjaśnić, wymierzyć sprawiedliwość.

– Jestem zaskoczona, że niewidomy chłopak w ogóle panią trafił – stwierdziła Adelaide.

Sam oderwał głowę od matki.

– Ci chłopcy nie widzą?

– Mojego konia znaleźli bez problemu – zauważyła Grace. – Pani Morrison zapukała do naszych drzwi, jakby zaglądała z wizytą. Zobaczyłam jej twarz, więc oczywiście ją wpuściłam. Tymczasem jej synowie już byli w zagrodzie.

– To ja ich tam zobaczyłem – wtrącił Sam. – I powiedziałem mamie.

– I właśnie wtedy pani Morrison... – Grace urwała i spojrzała na Adelaide. – Właśnie wtedy pani *Mudge* wyjęła rewolwer.

Adelaide odłożyła zranioną dłoń Grace na jej kolana. Postawiła przewrócony piec, zebrała rozrzucone rondle i patelnie. Ustawiła jak należy wywrócone łóżka. Brnęła tu dziewięć mil po pomoc, a okazało się, że to ona przyszła z odsieczą.

Sam ponuro powlókł się w róg chaty, do półki na ścianie. Zdjął z niej stos prasowych wycinków, a potem wrócił na swoje łóżko, już ustawione jak trzeba. Położył się na nim na brzuchu i w skupieniu studiował artykuły, jakby chciał się przenieść gdzieś bardzo daleko. Nawet mapy toczonej w Europie wojny były bardziej romantyczne niż groza, którą niedawno przeżył z matką.

– Jestem pani winna przeprosiny, pani Henry.

Adelaide odwróciła się do siedzącej kilka stóp od niej Grace, przerwała zbieranie rozrzuconych rzeczy.

– Byłam na panią zła po tańcach. – Grace spuściła głowę, jej rzęsy zatrzepotały. – Czułam się zawstydzona, bo myślałam, że zachowała się pani tak grubiańsko...

– Wobec pani *Mudge*.

– Tak.

– Tej samej, która ukradła wam konia i niemal zabiła panią i Sama?

Grace podniosła wzrok na Adelaide.

– Tak, pani Henry. Tej samej.

Adelaide pokiwała głową.



- Cóż, od tej pory komu zamierza pani ufać?
- Grace się uśmiechnęła.
- Pani. Zamierzam ufać pani.

## 28

Adelaide została na noc. Grace i Sam spali razem w większym łóżku, a Adelaide jakoś musiała sobie poradzić w krótszym łóżku Sama. Tuż przed zaśnięciem Grace poleciła Adelaide, by zapaliła świeczkę i postawiła ją w oknie wychodzącym na stronę zachodnią. Powiedziała, że nie zamknie okiennic. Świeczka musi się palić całą noc.

Przy otwartej okiennicy wicher łomotał w okno, ale go nie wybił. Płomyk migotał na dolnej belce framugi. Zgasł dwukrotnie, a Adelaide ponownie go zapalała. Sprawdzała stan Grace i Sama. Żadne z nich nie wyglądało dobrze, byli bladzi i słabi. W chacie było ciepło, a Adelaide czuła, jakby przeniosła tę świeczkę z okna do swoich snów. Świeca płonęła w nich i dzięki temu jej umysł nie zamarzał z rozpacz.

Rankiem zamierzała ugotować dla nich śniadanie i dokończyć doprowadzanie chaty do porządku. Sam służył jej pomocą, a gdy wyszli we dwoje za próg – również informacją. Na ziemi Grace stały dwie chaty, kto więc zajmował tę drugą?

– Pan Price – wyjaśnił Sam, gdy zeszli razem do piwniczki, by przynieść coś na śniadanie.

– Twój ojciec? – zapytała.

– Nigdy go nie poznałem. – Sam zdjął z półki dwa słoje z przetworami.

– A gdzie jest teraz? – dopytywała Adelaide.

– Za zagrodą – odparł Sam i szybko wybiegł po schodach z powrotem na górę, do mamy.

Adelaide wróciła do chaty z resztą jajek Grace. Po drodze zerknęła na zagrodę, ale miała teraz poważniejsze przeszkody do pokonania. Ponieważ skradziono konia, Adelaide czekała piesza wyprawa aż do Big Sandy. Może zdoła nakłonić pielęgniarkę, Emmę Gallagher, by tu przyjechała?

Adelaide usiłowała samą siebie przekonać, że to rozsądny plan, chociaż wiedziała, że jest dokładnie odwrotnie. Siedlisko Grace leżało bliżej miasta niż chata Adelaide, nadal oznaczało to jednak sześć czy siedem mil marszu. A dzień wydawał się jeszcze mroźniejszy niż poprzedni. Ale cóż jej pozostawało?

stało? Grace z pewnością nie zdołałaby pokonać piechotą takiej drogi. A Sam?

Ale jeszcze zanim skończyła przygotowywać śniadanie, usłyszeli tętent końskich kopyt.

– Gdzie pani strzelba? – zapytała Adelaide.

– Mudge’owie ją zabrali – odparła Gace. – Sam, schowaj się pod łóżkiem.

Grace patrzyła, jak Sam znika pod ramą z materacem. Naciągnęła narzutę aż do podłogi, by ukryć syna.

Adelaide chwyciła patelnię z ognia i przelała na wpół ścięte jajka do miski. Jeśli miała kogoś grzmotnąć, przynajmniej patelnia będzie nie tylko twarda, ale i rozgrzana. Koń był już przy siedlisku, jeździec powoli okrążał chatę.

Usłyszały kobiecy głos.

– Widziałam pani świecę, pani Price. Paliła się całą noc.

Grace wyraźnie się rozluźniła. Adelaide miała wrażenie, że patrzy na lód, który błyskawicznie topnieje.

– Myślę, że przyjechała pani tylko dlatego, że wyczuła pani zapach śniadania!

Podniosła się z łóżka, a Sam wypełzł spod niego jak larwa z kokonu. Grace otworzyła drzwi chaty, ale Adelaide jeszcze nie odłożyła patelni. Fakt, że na progu stała kobieta, nie gwarantował sojuszniczki. Pani Mudge też przecież była ich płci.

Nieznajoma zostawiła konia w zagrodzie.

Kiedy stanęła w drzwiach, Adelaide rozpoznała ją, mimo że nigdy się nie spotkały. Kobieta była czarnoskóra. Skoro Annie Morgan nie żyła, to musiała być słynna Bertie Brown, jedyna inna czarna kobieta w całym okręgu Chouteau.

Bertie mierzyła Adelaide wzrokiem.

– Rozumiem, że pani Henry?

\*\*\*

Bertie Brown była niższa od Adelaide, ale ją rzadko kto przewyższał wzrostem.

Mogła być w wieku Eleanor, może nawet starsza, ale jakimś cudem wyglądała, jakby była od Adelaide młodsza. Nie z twarzy, a z całej postury. Kiedy Bertie weszła do chaty, Adelaide niemal podeszła do niej i ją uściśnęła. Minęły już całe miesiące, odkąd ostatni raz widziała czarną kobietę, a w poprzednim życiu, w Kalifornii, widywała swoje odbicia codziennie. Mogła się przeglądać w swojej matce, w sąsiadkach, nawet w członkiniach kongregacji kościelnej. Wszystkie były czarne. A potem nie było nikogo. Aż do tej chwili. Do Bertie Brown.

Należy zaznaczyć, że Bertie zachowała się znacznie mniej sentymentalnie. Pozdrowiła Adelaide zdawkowo i z miejsca ruszyła do leżącej na łóżku Grace. By oddać jej sprawiedliwość – nie знаła Adelaide, za to jej przyjaciółkę postrzelono i zostawiono, by się wykrwawiała.

– Bardzo boli, pani Price? – zapytała Bertie.

Grace spojrzała na Sama, potem znowu na Bertie.

– Dosyć mocno.

Bertie wyszła z chaty i wróciła z dwoma workami. Z jednego wyjęła osiem świeżych jajek, surowe paszteciki z kurczakiem i babeczki z masą bakaliową. Z drugiego worka wydobyła dużą, nieprzezroczystą flaszkę – Bertie's Brew.

Odkorkowała butelkę, zdjęła z półki szklaneczkę i nalała do niej płyn koloru błotnistej wody. Grace podniosła szklaneczkę do ust i wychyliła duszkiem.

– Niech panią Bóg błogosławi – westchnęła.

– Należę pani jeszcze jedną – oznajmiła Bertie. – A potem zawiozę panią do Big Sandy.

– A ja co mam robić? – zapytała Adelaide i zaraz tego pożałowała, bo brzmiała jak płaczliwa dziewczynka.

Bertie podeszła do Adelaide i uściśnęła jej rękę. Adelaide patrzyła na ich złożone dłonie i widok ten głęboko ją poruszył. Zupełnie jakby ścisnęła palce własnej matki.

– Pani będzie pilnowała Sama – oznajmiła Bertie stanowczo.

Grace podniosła się i ucałowała syna. Przykazała mu słuchać poleceń Adelaide. Gdy Grace się ubierała, Bertie nachyliła się do Adelaide i wyszeptała jej na ucho:

– A kiedy wrócę, zrobimy coś z pani włosami.

Adelaide odsunęła się gwałtownie, przerażona niemal tak samo jak wtedy, gdy znalazła zakrwawioną Grace na podłodze.

Dotknęła ręką włosów nad czołem.

– Jest aż tak źle?

Bertie Brown uniosła brwi.

– Niech się pani nie martwi – powiedziała. – Zajmę się panią.

Bertie dotknęła dłonią jej policzka i Adelaide poczuła ciepło.

A potem Bertie i Grace pojechały do Big Sandy.

Sam miał w chacie zadania do wykonania, ale wcześniej musiał się zająć czytaniem i pisaniem. Aby pomóc mu ćwiczyć kreślenie liter, Grace zdobyła dla niego egzemplarz Biblii. Sam dotarł już do księgi Abdiasza. Zapytał teraz, czy Adelaide mogłaby mu pomóc. Zgodziła się, ale prawdę mówiąc, w kościele nie uważała przy czytaniu Pisma Świętego. Tyle że do tego nie można się było przyznawać. A może to był kolejny znak, że nie pasowała do własnej społeczności? Przez wszystkie lata chodzenia do kościoła, siedząc w ławce, marzyła tylko, żeby znaleźć się gdzieś indziej. Jaki sens miał kościół, skoro ona i jej rodzice nie mogli wyznać prawdy o własnym cierpieniu na farmie? Zawsze miała silne przeczucie, że większość członków kongregacji również nie chodziła do kościoła po to, by wyznawać tam innym swoją prawdę. W kościele trzeba było odgrywać przedstawienie. I niewiele więcej. Sam musiał jej teraz wyjaśnić, jakie w ogóle było znaczenie tej księgi.

*Księga Abdiasza.* Najkrótsza w Starym Testamencie. Księga przepowiedanej z furją kary, potępiająca sąsiedni naród Edomitów za krzywdy wyrządzone Izraelitom. Edomitów czeka upadek, który będzie karą za ich dumę i okrucieństwo.

Sam odczytał na głos przepisane wersety.

– Kto to są Edomici? – zapytał. – Żyją do dzisiaj?

– A skąd mam wiedzieć, do cholery? – odpowiedziała Adelaide, zajęta przy piecu.

Sam roześmiał się zaskoczony, a do Adelaide dotarło, że przekląła przy dziecku.

– Nie mów mamie.

Sam wbił wzrok w zeszyt.

– Potrafię dochować tajemnicy.

## 29

Dwa dni później Adelaide Henry wróciła do swojej chaty na wałachu.

Na swoim własnym wałachu.

Kupionym na jej konto dzięki pożyczce załatwionej przez Bertie Brown. Bertie wyraźnie zapowiedziała Adelaide, że ma pojechać do Big Sandy i odnaleźć kancelarię Hugh Schrammecka, tak aby zobaczył ją na własne oczy i żeby złożyła podpis na dokumentach. Jeśli tego nie zrobi, pan Schrammeck zaliczy koszt konia w poczet długów Bertie. A wtedy już Bertie Adelaide odszuka.

„Rozumiemy się?”

Jak najbardziej.

Bertie dała Adelaide niewielki worek pożywienia, a potem zawiozła Sama do miasta, żeby mógł być przy matce, gdy Grace dochodziła do zdrowia. I tak oto Adelaide została sama na siedlisku Grace Price.

Koń stał w zagrodzie, a Adelaide wykorzystała tę chwilę, by zaspokoić ciekawość. Podeszła do drugiej chaty i zajrzała przez jedyne okno. Co spodziewała się zobaczyć?

Na pewno nie dwie ławki, ustawione jedna przed drugą. Stojak na tablicę oparty o jedną ze ścian. Niewielki stół obok stojaka. Szkołę. To była szkoła. Szkoła Grace Price. Wszystko było doskonale zorganizowane i profesjonalne. Co takiego w Samie sprawiało, że inni rodzice trzymali swoje dzieci z dala od niego? A może chodziło o Grace? Adelaide nie miała pojęcia, jaka mogła być tego przyczyna, bo ona do nich obojga żywiła teraz jak najcieplejsze uczucia.

Słońce, które już wschodziło na niebie, szybę okna drugiej chaty zmieniło w lustro. Adelaide coraz słabiej widziała szkolną klasę, a coraz wyraźniej własną twarz.

I mężczyznę, który stał za nią.

Błyskawicznie się odwróciła, podrywając ręce, by drapać i bić każdego intruza. Ale nikogo nie było. Oprócz niej samej, jej nowego konia i wiatru. Poza tym było tam pusto.

\*\*\*

Zanim Adelaide i jej koń się nawzajem poznali, przejechała na nim dobrą milę, czy nawet trzy. Ale nie minęło wiele czasu, a już wiedziała, dlaczego Bertie Brown łatwo załatwiła jej kupno akurat tego konia, nawet pod nieobecność Adelaide. Siodło nie leżało dobrze na jego krzywym grzbiecie.

Jego kłęb był kościsty. I nikt nie potrafił zmusić go do kroku szybszego niż kłus. Ale była za tę starą szkapę bardzo wdzięczna. Drogę, która piechotą zajęła jej pół dnia i niemal ją zabiła, teraz pokonała w niecałą godzinę. I to nawet z workiem pożywienia od Bertie i z wiązkami drewna, które zabrała ze składziku Grace. Dobrze było mieć konia. Zanim dojechała do chaty, już wiedziała, jak da mu na imię. Abdiasz.

– Jesteśmy na miejscu, Abdiaszu – oznajmiła, gdy dotarli do jej siedliska. – Teraz tutaj jest twój dom.

Gdy jednak zbliżała się do chaty, zobaczyła, że coś jest nie tak, jak powinno.

Drzwi do piwniczki zniknęły. Zawiasy były niemal wyrwane z framug, ale drzwi nie leżały na ziemi. Coś wydostało się z piwniczki na zewnątrz.

Adelaide zsiadła z Abdiasza. Jej ojciec całkiem zręcznie uczył konie, by stały w miejscu nieprzywiązane, ale Adelaide nie miała teraz czasu, by Abdiasza tresować. Podprowadziła go do piwniczki, podeszła na tyle, żeby cokolwiek w niej dojrzeć, i zobaczyła, że kufer jest pusty. Skrzynia pękła w miejscu, gdzie był zamek, a wieko wisiało odrzucone w tył tak mocno, że aż dziw, że się jeszcze trzymało na zawiasach.

Jedna z drewnianych futryn była wyszarpięta i przełamana w połowie, tak że tworzyła kształt podobny do litery „Y”. Z braku lepszego rozwiązania Adelaide przywiązała Abdiasza właśnie do niej. Poklepała konia uspokajająco i ruszyła dalej. Ale gdy przeszła zaledwie dwa kroki, Abdiasz też dał krok naprzód, próbując trzymać się blisko. Podniosła dłoń i nakazała, by się cofnął, ale jednocześnie wróciła do niego i znowu pogładziła go po szyi. Kiedy odchodziła po raz drugi, stary koń nie próbował już za nią iść.

Przyjrzała się ścieżce wiodącej z piwniczki. Ziemia była na niej wygładzona, jakby przepętlął nią wąż. Adelaide doszła tą dróżką aż pod dom. Drzwi chaty też były uszkodzone, ale mniej poważnie niż wejście do piwniczki. Ktoś je po prostu mocniej pchnął i wpadły do środka. Leżały na podłodze, płaskie jak wieko trumny.

Adelaide weszła do chaty i zastała wewnątrz inne, niż kiedy je zostawiała trzy dni wcześniej. Łóżko było odsunięte od ściany i odstawało od podłogi pod dziwnym kątem. Żelazna kuchenka leżała na podłodze, a wokół wałały się wszystkie garnki. Fotel również leżał oparciem do dołu.

I wtedy usłyszała ciche dyszenie.

– Jesteś – powiedziała.

Sądząc po tym, w jakim stanie był kufer, stwór nie miał już dokąd wracać.

Dyszenie nadal dochodziło jej uszu i zorientowała się, że dobiega od strony posłania. Rama łóżka leżała przewrócona pod takim kątem, że powstał tam zakątek, prowizoryczna nora, w której potwór mógł się schować, a jednocześnie nie był zupełnie zamknięty jak w kufrze.

Instynkt kazał jej uciekać, natychmiast i bezwzględnie. Bestia rozczłonkowała jej rodziców, czemu ją miałyby oszczędzić? Może by nie oszczędziła? Może to byłby nareszcie koniec?

Adelaide podeszła do kuchenki i chwyciła najostrzejszy nóż, ten do oddzielania kości.

Usiadła ze skrzyżowanymi nogami na podłodze. Wpatrywała się w mroczny zakątek pod łóżkiem tak długo, aż łeb stwora stał się wyraźnie widoczny – *jego twarz*. Widziała w ciemności duże żółte oczy potwora. Przyglądał jej się równie badawczo jak ona jemu.

– Gdybym teraz poderznęła sobie gardło – odezwała się Adelaide – padłbyś trupem, demonie? Pojawiłeś się, kiedy ja przyszłam na świat. Może więc moja śmierć ciebie również zabije?

Nadal słychać było dyszenie, w niezmiennym tempie. Czy stwór ją rozumiał?

Podniosła nóż i przycisnęła czubek ostrza do swojej szyi.

Dyszenie przyśpieszyło. Jakby stwora zdjął lęk albo troska. Albo gniew.

Opuściła nóż i dyszenie z powrotem zwolniło.

– Przez te wszystkie lata chciałam, żebyś mi wyjaśnił, demonie, naturę tej klątwy. Czy ona jest po to, żeby nas lżyli sąsiedzi? Żebyśmy się stali wyrzutkami? Nawet gdybyś mi właśnie tak odpowiedział – gdybyś powiedział cokolwiek – byłoby mi łatwiej. Ale może na tym polega całe twoje zło, że nie ma odpowiedzi, nie ma wyjaśnień? Milczenie jest w tym całym cierpieniu najgorsze.

Adelaide wyjrzała przez otwór po wypchniętych drzwiach. Abdiasz jeszcze nie uciekł. Patrzył na nią czujnie z miejsca, w którym go przywiązała. Pomachała do konia, zaskoczona wielką ulgą, jaką poczuła na jego widok. Miło mieć w życiu jakieś inne stworzenie oprócz potwora.

Przeniosła wzrok z powrotem w mroczny kąt, w którym demon nadal się czaił.

– Skoro nie powtrzymała cię strzelba ojca, myślę, że od noża poczujesz najwyżej łaskotki.

Adelaide wstała z podłogi i odłożyła nóż na miejsce przy kuchence.

– Ogarnę teraz ten bałagan, którego narobiłeś – stwierdziła. – Jeśli zaatakujesz mnie jak pana Kirby’ego, zapewniam, że będę się bronić znacznie bardziej zażarcie.

Adelaide zajęła się doprowadzaniem chaty do porządku. Przede wszystkim musiała naprawić drzwi wejściowe. Podniosła je i postawiła pionowo. Drzwi miały skórzane zawiasy z trzech rzemieni: jednego u dołu, drugiego pośrodku, a trzeciego u góry. Najtrudniej było utrzymywać drzwi w odpowiedniej pozycji, jednocześnie przywiązując rzemienie. Adelaide była wdzięczna losowi za swoją posturę, która bardzo ułatwiła zadanie. Drzwi, osadzone z powrotem we framudze, zatrzymywały zimny wiatr na zewnątrz – przynajmniej do pewnego stopnia.

W następnej kolejności Adelaide podniosła przewróconą kuchenkę i zebrała garnki. Ustawiła fotel jak należy. Ale kiedy podeszła do łóżka, żeby je poprawić, odgłos dyszenia się zmienił. Był teraz wolniejszy i jakby niższy. Bardziej przypominał pomruk. Jakby pod łóżkiem czaiła się puma gotowa do skoku.

– Niech ci będzie – burknęła. – Jak chcesz.

Adelaide wybiegła na mróz do Abdiasza i nakarmiła go garścią dzikiej rzepy, jednym z darów z worka od Bertie. Łagodnie głaskała konia przy karmieniu, a zanim wróciła do chaty, sprawdziła, czy nadal jest porządnie przywiązany.

Dorzuciła drewno do kuchenki i rozпалиła ogień.

Usiadła w fotelu.

Adelaide Henry nigdy nie miała serca do modlitwy. Jej rodzice stracili religijny zapał, jeszcze zanim była na tyle duża, by nauczyć się czytać. Czasami, kiedy w kościele patrzyli, jak innym się powodzi, czuli tym dotkliwiej, że Bóg nie ma ich w swojej pieczy. Ale komu mieli to wszystko opowiedzieć? Eleanor spróbowała wyznać pastorowi, ale wiecie, co zrobił? Zalecił, żeby się z nim pomodliła. W jego domu. Sama, bez męża. Eleanor nigdy nie wspomniała o tym Glenville’owi – ostatnią rzeczą, jakiej Henrym było potrzeba, to zabicie miejscowego pastora. Ale gdy Adelaide wyrosła na młodą kobietę, Eleanor ostrzegła córkę, by trzymała się z dala od pastora, tak było bez wątplenia lepiej.

– Myślałeś, że uciekłam? – zapytała Adelaide. – Bałeś się? To dlatego wydstałeś się z kufra i rozniosłeś wewnątrz chaty?



Nasłuchiwała odpowiedzi, ale jej uszu dochodziło tylko trzaskanie szczap płonących w kuchence.

– A może byłeś zazdrosny? Zły, że przez jedną krótką chwilę w życiu nie byłam przykuta do ciebie kajdanami?

Oczywiście żadna odpowiedź nie nadchodziła. Nadpłynął tylko sen, i to błyskawicznie.

Adelaide nie otworzyła oczu przez następne pół dnia.

## 30

We śnie nic nie widziała, ale słyszała głos ojca.

*Mój ojciec, jak wiecie, był szlachcicem na zagrodzie, a ja, na jego wyraźne życzenie, odziedziczyłem po nim to samo zajęcie, bez wielkiej chęci...*

Miała wrażenie, że ojciec czyta jej z zaświatów, nadal niosąc jej pociechę jak dobry rodzic, którym był za życia.

*...ambicja pchała mnie bowiem ku wyższym celom, próżność zaś przekonywała, że jeśli jej posłucham, zakopię swój talent w polu i przysypię zdolności korcami zboża.*

Adelaide słuchała go i czuła spokój. W swoim śnie rozumiała, że to sen, i modliła się, żeby się nie kończył. Niech Glenville Henry przeczyta tę książkę od deski do deski, a potem niech zacznie od początku, a ona będzie dalej błogo śniła w jego towarzystwie.

Potrzebowała jeszcze tylko czuć dotyk matki na głowie i jej pocałunki na prawym i lewym ramieniu, pieśczętę tak uspokajającą jak trwanie w bezpiecznym wnętrzu matczynego łona.

*Nie poślę biednej dziewczyny w świat, bezbronnej wobec wrogów, nieświadomej pułapek zastawianych na drodze. Nie będę też jej pilnować ani strzec, aby pozbawiona szacunku do siebie oraz wiary we własne siły utraciła również moc i wolę ku temu, by samej siebie pilnować i strzec.*

– Wygląda na pustą.

Adelaide błyskawicznie otworzyła oczy. To nie był głos ojca.

Znajdowała się z powrotem w Montanie. W swojej chacie.

Zapadał już wieczór. Słońce chyliło się ku zachodowi.

Ona siedziała w fotelu. Zza przewróconego łóżka nadal dochodziło dyszenie.

Usłyszała głos dziecka. Chłopca.

To był Sam?

Kolejny głos. Kobiety.

– W takim razie dlaczego tam stoi przywiązany koń?

To nie była Grace. Ani Bertie.

Adelaide usiadła i zerknęła na łóżko. Dyszenie przyspieszyło.

Schyliła się w fotelu, tak nisko jak potrafiła, i przesunęła się ku jednemu z okien najbardziej oddalonych od dochodzących głosów.

Stamtąd zobaczyła tego chłopca. Miał dwanaście czy trzynaście lat, choć można go było wziąć za młodszego. Był chudy jak szczapa i niski jak na swój wiek. Wspinając się na palce, zaglądał przez jedno z okien na przeciwległej ścianie chaty. Gdyby nie firanki, widziałby dokładnie całe wnętrze.

– Nie widzę jej.

Joab.

Przypomniała sobie to imię tak wyraźnie jak opowiadaną przez niego historię o chłopcu, którego wepchnął do studni za to, że go przedrzeźniał. Najmłodszy z synów pani Mudge. Głos kobiety należał zatem do jego matki.

Rozległo się głośnie pukanie do drzwi, a zaraz potem głos pani Mudge.

– Pani Henry? Pani Henry. Proszę otworzyć.

Spod materaca dobiegł dźwięk – parsknięcie. Stwór się budził. Który z potworów był gorszy? Ten w chacie czy rodzina za progiem?

– Mam panią nazywać panią Mudge czy panią Morrison? – zapytała Adelaide.

– Wie pani, jak mam na nazwisko – odpowiedziała chłodno pani Mudge.

– Chciałabym pokazać pani mój rewolwer.

Adelaide przestała się kulić w fotelu. Podniosła się i stanęła wyprostowana.

– Widzę ją! – krzyknął Joab. Stanął przy drugim oknie. – I ma tę kuchenkę, którą zabraliśmy od staruchów w Oregonie. To było w Oregonie?

– Wszystko jedno, zabierzemy ją z powrotem – odparła pani Mudge.

Uderzyła o ścianę chaty kolbą rewolweru.

– Zmęczyło już nas chowanie się w górach. W Rocky Point bywa bardzo zimno. Budzimy się ze szronem we włosach. Moi synowie nie mogą doraść w takich warunkach. Rozumie pani.

Łóżko przesunęło się teraz i demon wysunął ze schronienia jedną kończynę. Jego szpony wbiły się w deski podłogi.

– Chyba ma psa – stwierdził Joab, stojąc na palcach. – Chcę go.  
– A gdzie się podziały opaski na oczy? – krzyknęła Adelaide.  
– Niech mi pani powie, jak wyglądają moi synowie. Pamięta pani ich wzrost? Kolor włosów? Rysy twarzy? Czy tylko kilka opasek na oczach?

Pani Mudge roześmiała się z satysfakcją.

Teraz uszu Adelaide doszedł nowy dźwięk. Bębnienie deszczu o ściany chaty.

Nie deszczu.

Chłopcy sikali na ściany jej domu.

Adelaide ruszyła w stronę kuchenki, gdzie w rogu stała strzelba. Akurat gdy po nią sięgała, stwór wypełził zza łóżka w całej swojej okazałości.

Adelaide nie pamiętała go. Dziwnym trafem zawsze zapomniała, jaki jest wielki. A teraz wyraźnie było widać jego cielsko w ostatnich promieniach słońca wpadających przez okno. Zawsze zapomniała widoku jego szarych łusek, zapomniała o samym jego *istnieniu* na tym świecie – dopóki kolejny raz nie musiała stawiać mu czoła. Może właśnie tak czują się wspinacze, gdy zdobywają budzący grozę szczyt? Każda góra jest wyjątkowa. Każde spotkanie z tą bestią można było traktować jak pierwsze.

– Wyszorujecie te ściany, chłopcy, kiedy przejmujemy chatę, rozumiano?

– Tak jest! – odkrzyknęli zgodnym chórem synowie pani Mudge.

– A teraz niech pani posłucha – zwróciła się pani Mudge do Adelaide. – Trochę zgubiłam drogę i trafiłam do siedliska pani sąsiadów. Może pani ulży myśl, że dołączy pani do nich w zaświatach.

– Moi sąsiedzi przeżyli – powiedziała Adelaide ze strzelbą w dłoni.

– Mamo. Ona mówi prawdę? – zapytał cicho jeden z chłopców.

– Oczywiście, że nie – uspokoiła go matka. – Po prostu usiłuje kupić sobie trochę czasu.

Pięć sztuk broni przeciw jednej. Adelaide zakładała, że Mudge'owie byli dobrze uzbrojeni. To prawda, że grała na zwłokę. Słońce już dobiegło kresu podróży po niebie, zniknęło za horyzontem i w chacie szybko zapadł mrok.

Oznaczało to, że Adelaide lepiej słyszała demona, niż go widziała. Słyszała odgłos jego ciężkiego cielska, gdy pełzło obok niej ku drzwiom.

A chwilę potem ktoś z zewnątrz otworzył drzwi kopnięciem.

Pani Mudge uniosła rewolwer. Adelaide widziała jej sylwetkę w wejściu.

Ale wtedy pani Mudge spojrzała na podłogę i zobaczyła tam wielki kształt.

– Rany boskie – powiedziała.

Demon skoczył na nią i wyrwał jej lewą rękę.

Chłopców nie było przy matce, nie widzieli więc, co się stało, ale bez wątpienia słyszeli. Pani Mudge zawyła, jakby została postrzelona. Kiedy jednak jej synowie podbiegli do drzwi, zastali dużo gorszy widok.

Nad ich matką pochylał się jakiś stwór. Bestia strzegąca upolowanej ofiary.

Tylko najmłodszy z chłopców zdołał wykrztusić z siebie jakiegokolwiek słowa.

– Co to jest, u licha? – zapytał chrapliwie.

W tej jednej chwili Adelaide pojęła prawdę o synach Mudge'ów. O czterech chłopcach w wieku siedemnastu, szesnastu, piętnastu i dwunastu lat. Którzy patrzyli, jak z barku ich matki tryska potok krwi.

Pani Mudge dyszała. Wywracała dziko oczami. Jej usta poruszały się, wypowiadając w kółko tylko jedno słowo, ale bezgłównie, nikt więc nie rozumiał, co mówi.

Dwaj najmłodszy synowie nie mogli oderwać wzroku od matki.

Starsi oprzytomnieli szybciej. I co zrobili?

Uciekli.

Puścili się pędem ku wychodkowi, koło którego Mudge'owie przywiązali trzy konie. Nie oglądali się za siebie. Dwaj młodszy bracia zobaczyli, że najstarszy ucieka, dopiero kiedy już siedział na koniu.

– Edward! – krzyknęli jednocześnie.

Edward nie słuchał. Edward odjechał byle dalej.

Drugi starszy brat pocwałował w ślad za nim.

Obaj uciekli w stronę północną. Nocą światło widać było z odległości wielu mil, ale chłopcy nie mieli żadnej lampy. Dlatego w ciągu kilku sekund pochłonięły ich niezgłębione ciemności nocy, która skrywała Montanę. Tętent kopyt ich koni był jedynym dowodem, że istnieli.

Demon zrobił wtedy coś zupełnie dla Adelaide nowego.

Zaszczekał krótko. Nie słyszała wcześniej takiego odgłosu.

A potem znowu ją zaskoczył: przeczołgał się z progu chaty na trawę między chatą a wychodkiem. Tam powstał, stanął wyprostowany i rozłożył ramiona. Luźna skóra u jego rąk wydeła się jak żagle. Niepowstrzymany wichur Montany z ogromną siłą napał na te fałdy skóry i przewrócił potwora jak niemowlę, które dopiero uczy się stawiać pierwsze kroki. Był to widok tak niezwykły, że Adelaide, a nawet dwaj pozostali chłopcy, ode-

rwali wzrok od pani Mudge i patrzyli, jak demon z powrotem podnosi się z ziemi.

Tym razem pochylił się niżej i rozkładał ręce powoli, pozwalając, by wiatr zebrał się pod wiszącą skórą. W końcu stwór stanął całkiem wyprostowany, a potem raptownie opuścił ramiona i wystrzelił pod niebo.

Odleciał.

Adelaide i chłopcy zamarli, wstrząśnięci tym widokiem.

Szczekliwy odgłos powrócił echem wśród nocnych ciemności. Dobiegał tym razem z okolicy na północ od chaty. Usłyszeli kolejne szczeknięcie, a potem przeraźliwie zarżał koń, jakby coś powaliło go na pogrążonej w mroku równinie.

Młody głos zawołał błagalnie:

– Edward! – i równie szybko zamilkł.

Chwilę potem rozległy się strzały z rewolweru, ale tylko dwa.

Cwał drugiego konia gwałtownie ustał i ucichł.

Adelaide ocknęła się z osłupienia. Do tej pory tak pochłaniało ją wsłuchiwanie się w dobiegające z mroku odgłosy, że straciła z pola widzenia to, co leżało tuż przed nią.

Panią Mudge.

Jej ciało jeszcze nie było zimne, ale dusza już je opuściła. Adelaide schyliła się i z ocalałej dłoni trupa wyciągnęła rewolwer – colt single action army.

Ostatni dwaj chłopcy Mudge'ów zdążyli już jednak uciec. Dobiegli do jedyne go konia, jaki im został, i we dwóch wskoczyli na jego grzbiet. Wrócili na nim pod chatę. Adelaide, która niewiele widziała, jeśli coś znajdowało się dalej niż na wyciągnięcie jej ręki, dojrzała ich nieco wyraźniej, dopiero gdy podjechali pod próg. Piętnastolatek trzymał wodze. Jego młodszy brat, Joab, siedział w siodle przed nim. Zatrzymali się pod samymi drzwiami. Adelaide podniosła rewolwer, ale chłopcy tylko patrzyli na ciało matki.

W oczach piętnastolatka kipiała furia, ale to spojrzenie jego młodszego o trzy lata brata zmroziło Adelaide. Joab patrzył obojętnym wzrokiem.

– Mudge'owie nie zapominają – oznajmił.

Potem poklepał brata po ramieniu i pocwałowali w dal.

Jechali szybko, bez wątpienia świadomi, że demon może ich ścigać. Ale potwór na razie zakończył nocne łowy. Adelaide starała się nie myśleć, które ofiary pożera w pierwszej kolejności – konie czy chłopców.

Chwilę zajęło, zanim Adelaide całkiem zebrała myśli. Stała w otwartych drzwiach chaty, do głębi wstrząśnięta tym, co widziała jej oczy. Nie potrafiła pojąć, jak to się stało, że tak szybko sprawy przybrały jeszcze gorszy obrót. Może chłopcy zaalarmują teraz stróżów prawa w mieście? Jak miała im wytłumaczyć, dlaczego w progu jej chaty leżało ciało kobiety – ciało *białej* kobiety – z oderwaną ręką? Co miała teraz robić? Nie mogła liczyć, że zakopie trupa w zmarzniętej ziemi. Będzie musiała coś wymyślić, ale uświadomiła sobie, że najbardziej palącym problemem było co innego.

Dokąd uciekł stwór?

Abdiasz nadal stał tam, gdzie go przywiązała. Bez wątplenia Mudge'owie by go ukradli po pozbyciu się ciała Adelaide. Ale koń stał. Teraz, kiedy się nieco uspokoiła i przyjrzała mu się uważniej, zrozumiała, jak bardzo był wystraszony. I trudno się było dziwić.

Adelaide znalazła garść dzikiej rzepy i podeszła do Abdiasza. Stała tak, by ją widział, a on przyglądał się jej z rezerwą. Uważała, by nie zbliżać się do niego zbyt raptownie. Wyciągnęła ku niemu rękę z rzepą, żeby poczuł zapach. I dopiero wtedy podeszła bliżej, nakarmiła konia i położyła na nim dłoń.

Gdy tak stali we dwoje, Adelaide kolejny raz spojrzała w nocne niebo, nasłuchując tego szczekającego odgłosu, jednak słyszała tylko wycie wiatru.

Demon ocalił jej życie, ale chyba wyłącznie przez przypadek. Padło pięć trupów. Pierwsze ofiary spoza rodziny. Zastanawiała się, co pocznie, jeśli potwór wróci.

Mogłaby się znowu gdzieś przenieść, ale na samą myśl o przeprowadzce aż ugięły się pod nią kolana. Nie miała siły ani woli jeszcze raz zaczynać od nowa.

Wtedy przyszła jej do głowy inna myśl, od której aż poczuła zimny dreszcz, prąd biegnący przez ciało. Przez całe życie zastanawiała się, czy kiedyś zdoła uciec od klątwy ciężącej na jej rodzinie. Nigdy jednak nie brała pod uwagę, że to klątwa ucieknie *od niej*.

A jeśli znajdzie sposób, by ukryć ciała pani Mudge i chłopców – członków przestępczej rodziny, którzy mieli już wystarczająco wiele na sumieniu, by trafić za to na stryczek bez względu na swój wiek? A jeśli ci dwaj, którzy uciekli, nie zamierzają pisnąć ani słowa stróżom prawa, tylko po prostu uciekną z Montany i zaczną gdzieś od początku?

Adelaide nakarmiła Abdiasza dziką rzepą. To, co w nocy było zgrozą, o świcie zaczęło się jawić jak obietnica. Dał zimny wiatr, ale w tej chwili Adelaide go nie czuła.

A jeśli stwór już nie wróci?

Następna myśl, jaka jej przyszła do głowy, była bardzo samolubna – Adelaide zdawała sobie z tego sprawę, niemniej w głowie kołatało jej właśnie takie pytanie:

A jeśli po raz pierwszy w życiu jest *wolna*?

## Rozdział drugi

### 31

W 1880 roku John Ming, zamożny hodowca bydła, wzniósł w Helenie gmach opery własnego imienia – The Ming Opera House. Oczywiście zwykli ludzie zamieszkiwali Montanę także przed Johnem Mingiem i innymi bogaczami, ale budowle takie jak opera wznoszono właśnie po to, by wymazać zwykłych mieszkańców z pamięci. Były majestatyczne i pełne ambicji, ale zarazem nieco przypominały obcą roślinę sprowadzoną na nowy ląd. Z czasem zaczęło się wydawać, że opera Minga stała tu od zawsze, że przed nią nie było żadnego „przed nią”. Jedynie dzikie pustkowia.

Nawet jak na Helenę opera Minga była imponująca. Miała dziewięćset miejsc na widowni, trzydzieści dwa komplety scenografii, oświetlenie gazowe w całym gmachu, fundamenty z granitu, wewnętrzne kompostowniki w piwnicach i garderoby pod sceną. Kolejne rzędy foteli na widowni wznosiły się od proscenium, a łoże po bokach miały fronty z kutego żelaza. Opera Minga oszałamiała widzów swoją wspaniałością.

Jack i Jerrine Reedowie – najzamożniejsze małżeństwo w Big Sandy – również byli zachwyceni.

Opera w Big Sandy nie mogła się równać z gigantem Minga, ale Reedowie także postarali się, jak mogli. Dwieście miejsc na widowni, sześć kompletów scenografii i oświetlenie gazowe w całym gmachu, choć nie zainstalowano go porządnie. Raz się zdarzyło, że wyciek gazu odkryto, dopiero kiedy widzowie zaczęli mdleć. Odtąd Reedowie zawsze odkręcali gaz na pół godziny przed spektaklem, aby wykryć każdą ewentualną nieszczelność jeszcze przed przybyciem publiczności.

Mimo to opera Reedów – ludzie mówili po prostu, że idą na przedstawienie „do Reedów” – zaspokajała ważne potrzeby mieszkańców Big Sandy. W minionym roku magiczny pokaz tajemniczego Smitha okazał się spektakularnym sukcesem. Do Big Sandy zawitała też przejazdem *Missouri Girl*. Niewiele miast tak daleko na północ mogło wyświetlać filmy. Kazania



Billy'ego Sundaya niemal słowo w słowo powtarzali dwaj miejscowi kaznodzieje, którzy byli świadkami jego nabożeństw. I oczywiście były też miejscowe występy. Takie jak dzisiejszy. W operowy dzwon uderzyła ośmiście pani Reed. Dzwon był na tyle donośny, by słyszano go na wiele mil w każdą stronę, docierał więc do najodleglejszych siedlisk.

Jerrine Reed była także gospodynią dzisiejszego występu.

– W imieniu miejscowej kapituły Pracowitych Pszczółek pragnę powitać wszystkie drogie panie wraz z dziećmi, jak również wszystkich panów, którzy, jak widzę, także wemknęli się na widownię. Przypominam, że panowie też są mile widziani na cotygodniowych spotkaniach w naszych domach. Choć, jeśli będziemy tak rośli i rośli, przyjdzie nam się regularnie spotykać tutaj, w operze!

Gromkie brawa, nie za sam żart, a za wizję wzrostu, sukcesu. A któż więcej wiedział o sukcesie niż pani Reed, przewodnicząca miejscowych Pracowitych Pszczółek oraz Sufrażystek Big Sandy? Niedawno pani Reed wspierała projekt ustawy, która pozwoliłaby kobietom wypełniać dokumenty wyborcze i rejestrować się do głosowań w ich własnych domach, tak by nie musiały chodzić do sądu i dopełniać tych formalności przed sędzią. Przecież dla mężczyzn takie dodatkowe kroki nie były konieczne.

– Obowiązkowo wychodzę na powitanie każdego pociągu, który przyjeżdża do Big Sandy – ciągnęła pani Reed. – Jestem pewna, że uśmiech i życzliwe słowo skierowałam do co najmniej połowy zebranych tu osób. A drugą połowę chcę prosić, by nie czuła urazy. Jeśli pominęłam państwa wczoraj, znajdę was jutro.

Oboje Reedowie byli drobnej postury, pani Reed zagarnęła jednak całą wielką scenę. Słuchało jej z uwagą niemal sześćdziesięcioro mieszkańców miasta, ani trochę jej to jednak nie deprymowało. Patrzyła prosto na widzów, przechadzała się po scenie z prawa w lewo i z powrotem, przemawiała do publiczności ciepło i serdecznie. Sprawiała wrażenie kobiety, której nigdy nie powiedziano, że ma się zgarbić czy skulić.

Pani Reed dzisiaj również miała wpiętą szpilkę z drozdem. Ubrana była w czarną suknię zdobną koronkami i aplikacjami ze wstążek, długą aż do ziemi, tak że wydawało się, że płynie po scenie. Adelaide nie mogła odebrać od niej wzroku.

Tak, Adelaide przyjechała tego wieczora do opery w Big Sandy.

I to w towarzystwie.

Koło niej siedział Sam, a po drugiej stronie chłopca usiadła Grace. Adelaide włożyła komplet z zielonej wełny – spódnicę i bluzkę, najlepsze ubranie, jakie miała. Kupiła je w mieście, używane, kiedy Grace już na tyle odzyskała siły, by zaprosić Adelaide na wieczór w operze. Komplet kosztował ją tylko pięćdziesiąt centów. Gdy spotkała się z Samem i Grace, przyjaciółka skomplementowała jej strój, a jej zrobiło się miło. Grace zapłaciła za bilety, chcąc podziękować w ten sposób Adelaide za odnalezienie ich i ocalenie im życia.

Wybrali miejsca na balkonie, między innymi po to, by mogli dyskretnie wyjść. Grace dobrze знаła syna i wiedziała, że Sam się znudzi. A wtedy najlepiej byłoby wyjść po cichu z przedstawienia.

Tyle było chwil – gdy się spotkali przed teatrem, gdy usiedli na widowni, gdy pani Reed po raz pierwszy wyszła na scenę – kiedy Adelaide już otwierała usta, by wyznać Grace, co się wydarzyło dwa tygodnie wcześniej. „Stwór się wy dostał i już nie wrócił”.

Ale gdyby zaczęła opowiadać, dokąd by ją to zawiodło? Ile musiałaby tłumaczyć? I czy naprawdę miała nadzieję, że Grace odpuści jej winę, którą Adelaide z każdym krokiem wlokła za sobą jak kulę u nogi? Zatem nie, Adelaide nic nie powiedziała. Słuchała za to pani Reed, choćby po to, by zagłuszyć własne myśli.

Pani Reed podeszła teraz do samej krawędzi sceny.

– Mój mąż i ja mieszkamy w Big Sandy już ponad dziesięć lat, proszę pozwolić zatem, że powiem, co wiem. Skoro mamy listopad, oddzieliliśmy już ziarno od plew. Plevy uciekły ze swoich siedlisk, na co zezwala im prawo w najgorszych zimowych miesiącach, ale zdradziły przy tym swoją naturę – tych, którzy boją się trudnej pracy. Państwo, którzy słuchają mnie dzisiaj na tej sali, państwo są ziarnami. Nie chcę w ten sposób obrażać ludzi, którzy powrócą do nas na wiosnę. Proszę nie powtarzać im moich słów. Pragnę tylko wyrazić, jak ogromnie jestem dumna, że dziś wieczorem są tutaj państwo ze mną. Gdy nadchodzą śniegi, nasze miasto traci niemal połowę mieszkańców. A co gorsza, wielu z nich nigdy nie wraca. Porzucają swoje siedliska i zaprzepaszczają cały trud, który włożyli w ich utrzymywanie. Ale my trwamy, prawda? My trwamy.

Adelaide spojrzała na siedzącego obok Sama, który czytał podpis pod kolejnym zdjęciem z „Mountaineera”. Bezwiednie podniosła rękę i pogładziła chłopca po głowie. A on, nie przerywając czytania, nachylił się do niej i oparł o nią ciałem.

– Drogie panie – ciągnęła pani Reed. – Po długich zakulisowych staraniach z ogromną radością ogłaszam, że na łamach „Bear Paw Mountaineer” pojawi się odtąd całkiem nowa rubryka: „Kobiety z Montany w wiadomościach z ostatniego tygodnia!”.

Publiczność biła brawa, a w tym czasie inna członkini Pracowitych Pszczółek weszła na scenę i podała pani Reed numer „Mountaineera”. Pani Reed teatralnie przerzucała strony gazety, głośno nimi szeleszcząc, aż dotarła do szukanej rubryki.

– „Pani Julia Prescott z Big Timber, członkini stowarzyszenia oraz kobieta do wszystkiego w redakcji «Big Timber Pioneer», przejęła w ostatnich tygodniach prowadzenie gazety, podczas gdy wydawca i właściciel pisma, Jerry Williams, wyjechał na odpoczynek”. – Pani Reed podniosła wzrok znad gazety. – Nagrodźmy zatem brawami panią Prescott.

Publiczność klaskała, a Adelaide spojrzała w prawo, na Grace, która patrzyła na nią. Co takiego Grace widziała? Sama, który opiera się o Adelaide; Adelaide, która obejmuje go ramieniem.

W pierwszej chwili instynktownie chciała się odsunąć. Co by Eleanor i Glenville powiedzieli na taki widok? Ich córka kogoś obejmuje? Nawet w kościele rzadko kiedy dzielili z kimś tylną ławkę. A jeśli nawet, Adelaide zawsze siedziała wtedy między rodzicami. Chwila jak ta nigdy nie mogła się wydarzyć, taki był zamysł. Teraz więc odruchowo chciała cofnąć rękę, którą obejmowała Sama, ale wtedy, ku swojemu wielkiemu zaskoczeniu, zobaczyła minę Grace. Przyjaciółka uśmiechała się ciepło na ten widok.

Adelaide nie cofnęła ręki, dalej obejmowała Sama.

I nie myślała o tym, dokąd stwór uciekł.

I nie myślała o tym, co może teraz robić.

I nie myślała o tym, że...

Tymczasem na scenie pani Reed szukała w gazecie kolejnej wzmianki. Pracowite Pszczółki zapowiedziały, że będą organizować takie wieczory w każdym tygodniu, kiedy w „Mountaineer” ukazywać się będzie ta nowa rubryka. Pismu podobał się ten pomysł, ponieważ miało szanse na zdobycie prenumeratorów w każdej rodzinie obecnej na imprezie.

– O, tutaj jest kolejna – oznajmiła pani Reed. – Choć nie dotyczy mieszkanki Montany, myślę, że warto przeczytać. „Piotrogród. Księżniczka Wołońska, lat 22, której mąż, ojciec i brat zginęli w początkach wojny, obcięła włosy, włożyła męski strój, zaciągnęła się do wojska w randze sze-

regowego żołnierza i przez kilka miesięcy walczyła na południowym froncie”.

Pani Reed usiadła teraz na deskach, zwieszając nogi ze sceny. Gdyby wyprostowała kolano, dotknęłaby butem kobiet siedzących w pierwszym rzędzie.

„Kiedy odkryto jej płęć, została odesłana do Kijowa, aby wykreślono ją z wojskowych rejestrów. Ona jednak uciekła swoim strażnikom i powróciła na linię frontu. Obecnie przebywa ranna w szpitalu w Charkowie”.

Pani Reed złożyła gazetę, a w całej operze słychać było tylko ten szelest papieru.

– Historia jest prosta – ciągnęła. – Ze wszystkich wydarzeń mężczyźni usiłują ułożyć opowieść. I bardzo dobrze. Ale kiedy opowieść się zbyt komplikuje, po prostu... pomijają pewne sprawy. Na przykład tę dzielną młodą kobietę, księżniczkę Wołońską. Mam nadzieję, że dobrze wymawiam jej nazwisko. Czy ta kobieta trafi na listę bohaterów wojennych? Czy raczej popadnie w niepamięć? My sami mamy na to wpływ. Możemy ją zapamiętać. Historia jest prosta, ale przeszłość jest skomplikowana. Ja jednak przyjmuję ją z tymi komplikacjami.

Pani Reed zamknęła oczy.

– Pochylmy głowy i pomódlmy się za tę dzielną młodą kobietę. Proszę bardzo, wszyscy razem.

Adelaide zamknęła oczy i spuściła głowę. Podobnie jak każda inna kobieta w operze. Kilkoro starszych dzieci oraz nieliczni obecni mężczyźni również zmówili w duchu modlitwę.

Adelaide myślała o tej kobiecie, która walczyła zażarcie, mimo że tak wiele straciła. Sam oderwał się od niej i przytulił do mamy. Adelaide patrzyła na nich, złączonych w dobrze jej znanej pozie. Na ten szczególny rodzaj kontaktu. Poczwała, jak palec wskazujący Eleanor rozciera jej głowę.

– No dobrze. – Pani Reed otworzyła oczy i znowu się uśmiechała. Siedząc, przesunęła biodra kilka cali w tył, potem obróciła ciało i odpychając się od desek, podniosła się i z powrotem stanęła na scenie. Nie było w tym ruchu nic szczególnie wdzięcznego, ale nie czuła się skrępowana. Wyprostowała się i gestem zaprosiła na scenę zza kulis jedenaście kobiet, niemal równie elegancko ubranych jak pani Reed. Pracowite Pszczółki.

W tej wspaniałej operze i w takiej doniosłej chwili wszystkie sprawiały wrażenie półbogiń. Wchodząc, dłonią pozdrowiły publiczność i stanęły obok pani Reed wzdłuż brzegu sceny. Ustawily się w odpowiednich odstępach.

pach, aby każda z nich mogła patrzeć w oczy przynajmniej jednej kobiecie na widowni.

– Chciałyśmy wszystkie być razem na scenie, aby podzielić się z państwem wspaniałą wiadomością. Od jutra w naszym mieście będzie działała nowa firma. Pani Metta Sterling oraz jej syn Melvin otworzą pierwszą w Big Sandy pralnię elektryczną! Zamierzamy powierzać im wszystkie nasze stroje i bieliznę, kiedy tylko będą wymagały prania. Zachęcamy wszystkich, by również czynili podobnie i wspierali naszych miejscowych przyjaciół.

Pracowite Pszczółki zaczęły klaskać i w tej samej chwili pani Metta Sterling, która siedziała w pierwszym rzędzie, wstała, odwróciła się do widowni i pomachała zgromadzonym. Wszyscy bili brawa, nawet jeśli z dużym prawdopodobieństwem przeważającej części widzów nie stać było na to, by ktoś wyręczał ich w praniu. Niemniej ich oklaski były szczerze.

Adelaide przeniosła spojrzenie z pani Sterling na inne osoby na widowni. Nadal nie poznała większości z tych kobiet. Nie umiała powiedzieć, które z nich mieszkały w mieście, a które na siedliskach jak ona i Grace. Te kobiety również włożyły swoje najlepsze ubrania, choć strój każdej był wyraźnie sfatygowany. Tylko Pracowite Pszczółki wyglądały nieskazitelnie. Ich suknie były bez zarzutu, podobnie jak kapelusze. Ale one same wcale nie wydawały się przez to niedostępne czy próżne – przecież foteli na widowni i kobiet na scenie nie dzieliła duża odległość. Każdy mógł się na scenę wspiąć.

Adelaide mogłaby tak siedzieć pogrążona w myślach aż do końca przedstawienia, ale poczuła, że ktoś patrzy na nią z miejsc tuż przed sceną. Znany jej człowiek.

Finn Kirby.

On nie patrzył. On piorunował ją wzrokiem. A kto siedział obok niego?

Matthew.

Matthew na nią nie patrzył.

Siedział prosto, zwrócony do kobiet na scenie. Adelaide spodziewała się, że stryj szturchnie Matthew i wskaże ją na balkonie, ale Finn nic takiego nie zrobił. Podniósł się za to ze swojego miejsca, nie odrywając wzroku od Adelaide, a ona poczuła, że brakuje jej tchu. Czy zamierza dostać się na balkon?

– Adelaide!

Odwróciła się i zobaczyła, że Grace nachyla się nad nią i ciągnie ją za rękaw. Jak długo powtarzała już szeptem jej imię?

Adelaide zerknęła w dół i dostrzegła, że Finn próbuje wydostać się ze swojego rzędu, przesuwając się drobnymi kroczkami obok Matthew. Matthew siedział natomiast nieruchomo, obojętny, jakby zamroczony. Dokąd Finn szedł, jeśli nie do niej? Adelaide miała absolutną pewność co do tego, że nie chce tu być, kiedy Finn się zjawi.

– Sam jest głodny – wyszeptała Grace. – I już zaczął się nudzić.

Adelaide przez chwilę milczała, usiłując zrozumieć sens tych słów i jednocześnie walcząc z paniką. Sam już zniknął w przejściu, na pewno schodził po schodach do foyer.

– Zabiorę go do Grill Cafe! – zaproponowała Adelaide, niezgrabnie przeciskając się nad siedzącą Grace.

– Zaraz do was przyjdę – odparła szeptem Grace. – Muszę zamienić z kimś słowo.

Gdy Adelaide przesuwała się do przejścia i do schodów, pani Reed zaklaskała, by przyciągnąć uwagę widzów. Adelaide nie widziała jej, ale słyszała jej głos. Gmach opery miał doskonałą akustykę.

– Pan Reed zawsze stoi u mojego boku, mogą się więc państwo zastanawiać, gdzie dziś wieczorem podziałam męża. Mój drogi mążonek został w domu, po sąsiedzku. Liczy konie w rejestrze rachunkowym. Pracowitości mojego męża dorównuje jedynie jego szczodrość. Każdy obecny dzisiaj na tej sali wróci do domu z workiem ziemniaków. Mamy ogromną nadzieję, że podarek się przyda, gdy spadną zimowe śniegi. I zawsze proszę wyglądać światła latarni na wieży naszej opery. Pilnujemy, by zimą paliła się każdej nocy, aby nikt nie zgubił się w ciemnościach, aby zawsze mógł odnaleźć drogę do domu, do nas. A teraz, zanim się pożegnamy, miło mi oznajmić, że nasze organy już stoją na swoim miejscu. I jedna z Pracowitych Pszczółek, pani Estella Powers, zaśpiewa nam za chwilę przy ich akompaniamentach. Cóż nam zaśpiewa? A, tak. Doskonale. „When You’re a Long, Long Way from Home”.

## 32

Kiedy pani Jerrine przemawiała, zapewniła ze sceny publiczność, że jej mąż został w domu, zajęty księgami rachunków. Ale nie. Pana Jacka Reeda nie było w domu, nie zajmował się wtedy liczeniem koni.

Można powiedzieć, że w tym punkcie wieczoru było już mu trudno siedzieć prosto na krześle. Na całe szczęście nie musiał stać. Napoje przynosiła mu Bertie Brown. On musiał tylko podnosić kufel do ust.

– Trzy jajka – oznajmił Jack Reed.

Spojrzał na Bertie, żeby się upewnić, że usłyszała, ale kogo innego miałaby słuchać? Dziś wieczorem był jej jedynym klientem.

Bertie Brown sprzedawała najlepsze domowe piwo w Montanie i prowadziła niewielki lokal, Pod Ślepym Wieprzem. Nazywanie tego przybytku barem byłoby przesadą. Lokal Pod Ślepym Wieprzem mieścił się w domu Bertie Brown – parterowej drewnianej chacie postawionej na siedlisku o powierzchni trzystu dwudziestu akrów. Bertie wykazała się w 1912 roku. „Bear Paw Mountaineer” zamieścił wzmiankę na swoich łamach, co było wymogiem, aby siedlisko zostało uznane przez prawo.

„Ogłoszenie publiczne – Departament Spraw Wewnętrznych, Federalny Wydział Gruntów, oddział w Havre, Montana, 12 września 1912 r. Niniejszym ogłasza się, iż Bertie Brown z Big Sandy w Montanie, której roszczenie wpisano do rejestru siedlisk 17 lipca 1909 r. pod numerem 171891, zgłosiła w trybie urzędowym zamiar ostatecznego Wykazania, iż spełniła warunki, aby ww. siedlisko przeszło na jej własność...”

Wzmianka była dłuższa, ale jego dalszy ciąg nie miał już znaczenia. Liczyło się tylko jej nazwisko oraz daty rozpoczęcia i zakończenia całego procesu. No i przede wszystkim fakt, że Federalny Wydział Gruntów oficjalnie nadał jej prawo własności do ziemi. Taki dzień jest powodem do dumy dla każdego osadnika, a dla czarnej kobiety urodzonej w ostatnich latach amerykańskiego niewolnictwa osiągnięcie to było wręcz historycznym zwycięstwem. W jaki sposób Bertie je uczciła? W taki, że już nigdy więcej nie zajęła się uprawą swojej ziemi.

Zbudowała na swojej posiadłości warzelnię i produkowała najlepsze piwo w stanie. Cała Montana знаła Bertie's Brew. Mężczyźni – i kobiety – przyjeżdżali na południe z Kanady, żeby zabrać baryłkę do domu. A przecież nie można było takim podróżnym po prostu sprzedać towaru, po czym zamknąć im drzwi przed nosem. Kobieta, która zna się na prowadzeniu interesu, tak nie postępuje. Wpuści klientów, zaproponuje posiłek i towarzystwo. A potem policzy za wszystkie trzy usługi. Tak się buduje interes przynoszący zyski.

Jak na standardy Heleny albo Butte być może przybytek Bertie był skromny, ale trzynaście mil na północ od Big Sandy lokal Pod Pijanym

Wieprzem nie miał konkurencji: za chatą trzy wychodki, zagroda z miejscem dla sześciu koni. Warzelnia stała w pewnym oddaleniu. Gdyby wybuchł pożar – albo gdyby doszło do eksplozji – kłopot miałyby tylko wilki i ugór. I może Bertie, gdyby cholera wybuchła, kiedy akurat się nim zajmowała. Ale nie można samodzielnie warzyć piwa bez odrobiny ryzyka. Bertie Brown dopięła wszystkiego sama i była z tego całkiem dumna, czemu trudno się dziwić.

– Trzy jajka? – zapytała, powtarzając skierowane do niej słowa pana Reeda.

Oboje trzymali po kufle Bertie's Brew i pili razem od około siódmej wieczorem – mniej więcej wtedy pani Reed weszła w miasteczku na scenę i powitała wszystkie kobiety, dzieci oraz nielicznych przybyłych mężczyzn.

– Tyle według mnie może na koniec rozdać każdemu. Trzy jajka na rodzinę. Na tyle się zgodziłem.

Bertie pociągnęła z kufła. Wypiła już tyle samo piwa co pan Reed. Nie należała do gospodyń, które przy gościach sączą wodę. Można to uznać za nierozsądne, złe dla interesów, szczególnie ryzykowne dla samotnej kobiety, ale Bertie nie była sama. Dlatego mogła pić.

– A według pana co pani Reed im rozdała?

Pan Reed odchylił się na krześle. Nie wydawał się poirytowany. Uśmiechnął się szeroko.

– Tuzin jajek. Na rodzinę. Tak myślę. Jeśli rozda coś więcej, to oszalała. Bertie uniosła swój kufel, ale nie pociągnęła z niego.

– O ile znam panią Reed...

Pan Reed spojrzał gdzieś w górę i zaśmiał się cicho.

– Ziemniaki. Dziś rano przyjechał z dostawą cały wóz.

– I nie domyślił się pan? – zapytała Bertie z uśmiechem.

– Wyjaśniła mi, że robi zapasy na zimę.

– Nie wygląda pan na takiego, który łatwo daje się nabrać – odparła z powątpiewaniem Bertie.

Pan Reed wbił teraz spojrzenie w blat stołu.

– Nic na to nie poradzę – westchnął. – Ona zawsze znajdzie na mnie sposób.

– Sądzę, że panu to nie przeszkadza, gdy robi to pańska żona.

– Nie – zgodził się pan Reed. – Pewnie każdy kapitan potrzebuje własnej Gwiazdy Północnej.

Oboje wzniesli za to toast i wychylili po hańście.



– Niech pani będzie tak miła i zawoła z powrotem Anielicę, dobrze? – poprosił pan Reed. – Karty mi stygną.

Dłoń Bertie zachwiała się i chlup piwa wylał się na blat. Fiona. O niej mówił pan Reed. O Fionie Wong. „Anioły” – tak nazywano pogardliwie Chińczyków. Obywateli „Niebiańskiego Cesarstwa Chin”. Z tym że w Ameryce obywatele kraju o tak czcigodnej nazwie zajmowali się praniem, gotowaniem i karczowaniem ziemi. Pożałowania godną robotą. To pogardliwe słowo było w użyciu na tyle często, że w przypadku Fiony stało się niemal jej przydomkiem. „Niech pani zawoła z powrotem Anielicę”.

Bertie ostrożnie odstawiała kufel, żeby nie wylać nic więcej. Potem odwróciła się na krzesło i krzyknęła: „Wróci już pani do stołu, pani Wong?”.

Pan Reed posłał dzień wcześniej szofera z informacją: „Wpadnę się napić i zagrać w karty. Chcę grać sam”. „Sam” w tym przypadku oznaczało bez innych mężczyzn w barze. Pan Reed lubił przyjeżdżać na partyjkę „pięćsetki”, swojej ulubionej gry karcianej, w którą grywał z Bertie i Fioną. W oczach miejscowych mężczyzn była to jednak wstydliva rozrywka. Gra salonowa dobra dla kobiet. Pan Reed musiał więc ostrożnie wybierać, kiedy i gdzie oddawał się tej przyjemności. Przez trzydzieści lat małżeństwa nie przyznał się żonie, jak uwielbia tę grę. Tylko Bertie i Fiona znały jego sekret – pan Reed nie grywał nigdzie indziej poza Ślepym Wieprzem.

Weszła Fiona Wong, najmłodsza z całej ich trójki. Niska i krępa. Wniosła trzy kufle Bertie’s Brew i postawiła je na blacie. Z powrotem zajęła swoje miejsce za stołem, rzucając spojrzenie na Bertie i kręcąc głową, jakby chciała powiedzieć: „Nie rozdmuchujmy sprawy”.

– Nazywa się pani Wong – zaznaczyła Bertie, ponieważ należała do osób, które w razie potrzeby sprawę rozdmuchują. – Dobrze pan wie, panie Reed.

Jego drobna głowa zachwiała się, gdy przenosił wzrok z Bertie na Fionę.

– A nie powiedziałem tak?

Patrzył to na jedną kobietę, to na drugą i w przebłysku przytomności zdał sobie chyba sprawę, że siedzi sam w chacie trzynaście mil za miastem. Wystarczająco daleko od strefy swojej władzy i wpływów, by odarty z nich odsłonił o sobie prawdę. Był drobnym sześćdziesięcioletnim mężczyzną, którego prawa kostka u nogi często strzelała przy chodzeniu wskutek dawnego upadku z drabiny w spichlerzu. Bertie Brown była chudą kobietą po czterdziestce, ale widział, jak własnoręcznie wyrzuca ranczerów ze swojej

chaty. A Fiona Wong miała dwadzieścia pięć lat, ale nawykła do wrzucania na pakę swojego wozu ciężkich worków pełnych brudów, żeby zabrać je z miasta do wyprania w Ślepych Wieprzu. Pan Reed zrozumiał więc w tej krótkiej chwili, że obie kobiety mogłyby złożyć go na cztery jak prześciera-  
dło, może więc powinien odtąd staranniej dobierać słowa.

Patrzył na nie, a one patrzyły na niego.

– Gramy w karty? – zapytał. – Chyba miała być pani kolej, pani Wong.

Teraz decyzja należała do Fiony. Od niej zależało, czy rozpęta piekło. Gdyby wychyliła się przez stół i udusiła starucha, Bertie tylko zgasiłaby lampkę, żeby sprawa dokonała się po ciemku. Fiona popatrzyła na pana Reeda, potem na Bertie, potem na swoje karty.

– Chyba ma pan rację. Grajmy.

I zagrali. A z czasem powrócił nastrój, wahający się między przyjaznym a oficjalnym. Bertie i pan Reed dalej zdrowo pociągali z kufla, a Fiona sączyła piwo powoli. Na koniec, mniej więcej wtedy, kiedy pani Reed i Pracowite Pszczółki śpiewały przy akompaniamencie operowych organów, prawie dokładnie wtedy, gdy Adelaide pośpiesznie szła przez foyer, żeby zabrać Sama do Grill Cafe, niemal w tej samej chwili, gdy Grace Price zatrzymała Finna Kirby’ego, aby go zapytać, czemu ostatnio tak rzadko go widuje – właśnie wtedy pod Ślepego Wieprza z terkotem silnika zajęchało auto.

– To maxwell – zauważyła Fiona, patrząc przez szybę zza zasłonek. – Widziałam anons w gazecie. – Powróciła do stołu i zebrała karty.

– Nowiuteńki – podkreślił z dumą pan Reed, kiwając głową.

– Drogi – dodała Fiona, drocząc się z nim, bo wiedziała, że pan Reed należy do mężczyzn, którzy lubią podobne docinki.

I rzeczywiście lubił. Zachichotał. Przynajmniej przez ostatnie pięćdziesiąt lat nie śmiał się jak dziecko, tak jak teraz. Oparł łokcie na stole i nachylił się do Fiony.

– Chciałaby się pani przejechać? – zapytał.

– Już późno – natychmiast zauważyła Bertie.

Pan Reed zerknął na Bertie, potem z powrotem na Fionę.

– Oczywiście zapraszam obydwie panie.

Fiona popatrzyła na Bertie z taką nieskrywaną radością, że decyzja już w zasadzie została podjęta.

– Zgoda, zgoda – westchnęła Bertie. A potem, wskazując palcem pana Reeda, dodała: – Ale pan nie może prowadzić.

Pan Reed roześmiał się na cały głos.

– Jest pani *pijana*, szanowna pani! Prowadzić będzie mój szofer. A na czas, gdy będą mi panie towarzyszyć, usiądę z przodu obok niego. Panie, dla większej intymności, będą miały całe tylne siedzenie dla siebie.

Czy to była jakaś sprośna aluzja? Pan Reed był już w takim stanie, że niemal wszystko, co mówił, miało rozpustny wydźwięk. Niemniej obie miały zamiar skorzystać z przejażdżki. A Bertie, w tajemnicy przed wszystkimi, zamierzała również wziąć ze sobą rewolwer i schować go pod okryciem. Przeważała nigdy za wiele.

– Pojedziemy obejrzeć nasze konie – oznajmił z dumą pan Reed tonem nieznośnym sprzeciwu. – W naszej stajni. W tym tygodniu przywieźli sześć nowych.

Skoro decyzja została już podjęta, cała trójka powstała. Dwoje z nich musiało dla zachowania równowagi przytrzymać się przy tym oparcia krzesła.

Rozległo się pukanie do drzwi i Fiona poszła otworzyć szoferowi.

– Przyjechałem po pana Reeda – oznajmił kierowca.

– To pan jest szoferem? – zapytała Fiona, od razu czując się swobodniej.

– Wygląda pan zbyt młodo.

Kierowca wszedł do środka, z szacunkiem zdejmując nakrycie głowy.

– Jestem młody, ale mam doświadczenie – zapewnił.

Pan Reed klasnął na potwierdzenie tych słów.

– Ma serce waleczne jak lew. Zapewniam.

Fiona wyciągnęła dłoń, a on ją uścisnął.

– A jak się pan nazywa?

Młody mężczyzna odparł:

– Na imię mam Joab. Jak ten z Biblii. Jak człowiek, który służy wielkiemu królowi.

### 33

Obaj chłopcy uciekli na koniu w środku nocy, ich matka wykrwawiła się na ich oczach, a ich dwóch braci spotkała śmierć w nocnych ciemnościach. Joab i Delmus Mudge'owie galopowali poprzez mrok, ale nie byli pewni, dokąd pędzi ich koń. To nie Joab ani Delmus zaprowadzili resztę rodziny do chaty Adelaide. To matka wskazywała im drogę, w każdym możliwym sensie. A teraz nie żyła. Została bestialsko zabita. Przez demona. Galopo-

wali w szale, pomieszaniu, chaosie, byli zaledwie okruczem na bezkresnej równinie. Nigdy w życiu nie czuli się tak zagubieni.

Delmus, starszy z nich, trzymał wodze, ale to Joab dowodził. Jechali w milczeniu może przez godzinę, może przez całe wieki. Ich matka, ich bracia – nie żyli. Mroźne powietrze przenikało ich równie głęboko jak rozpacz, do szpiku kości. Zgubili się w ciemnościach, ogarnięci paniką.

Chcieli jechać do Rocky Point, gdzie stało kilka chat, w których urządziła ich matka, wysoko w górach Bear Paw. Miasteczko łowców wilków<sup>8</sup>, tak ludzie nazywali podobne miejsca na zachodzie. Kryjówka koniokradów i innych złodziei. Śmiesznie było nazywać to miasteczkiem, pięć chat i obora chyląca się w prawo. Rocky Point. Właśnie tam chcieli dotrzeć, gdy uciekali zdjęci zgrozą po tym, co się stało ich matce, ale w nocnym mroku nawet góry zniknęły. W dzikim cwale z łatwością mogli spaść do wąwozu i złamać kark.

W końcu – i żaden z nich nie umiał powiedzieć kiedy, ponieważ obaj mieli wrażenie, że uciekają galopem już całą wieczność – Joab podniósł dłoń, bo dostrzegł na południowym wschodzie ledwo widoczne światółko.

Ogień na wieży gmachu opery.

Zmierzali ku niemu nabożnie jak wierni ku Panu. Zanim dotarli do miasta, życie już ledwo się w nich tliło, trwali gdzieś pomiędzy tym światem a wieczną krainą. Dwa upiory na koniu, zwieszane jeden na drugim.

Gdy wjechali do Big Sandy, witryny sklepów były ciemne i niewiele przybytków stało jeszcze otwartych. Płomień na wieży opery niezmiennie płonął, ale państwo Reedowie z całą pewnością spali w swoim wielkim, ciepłym łóżku w sąsiadującej z operą rezydencji.

Bear Paw Cafe ogłaszała, że jest „zawsze otwarta”, ale okazało się to nieprawdą. Przejeżdżających ulicą chłopców widział za to inny restaurator, George Shibata. Został w swojej Grill Cafe nieco dłużej niż zwykle, bo naprawiał piec. Potem akurat zamykał drzwi na klucz i schodził po schodkach, kiedy zobaczył, jak na ulicy zatacza się wymęczony koń, wiozący na grzbiecie dwóch zakrwawionych chłopców. Shibata podbiegł do ledwo żywego stworzenia i chwycił wodze. Gdy zatrzymał konia, obaj chłopcy spadli z siodła na ziemię. Nawet twardy upadek ich nie ocucił. Potem upadł również koń. George Shibata był przekonany, że chłopcy i koń wyzionęli ducha. Co do konia miał rację. Zostawił chłopców, gdzie leżeli, i poszedł sprowadzić doktora Percy’ego Alkire’a.

Kilka osób później go za to krytykowało – mówiono, że wyszła na jaw bezduszna natura Japończyka – ale Shibata uznawał, że sumienie ma czyste. Obudził Alkire’a, razem przenieśli chłopców do Grill Cafe, ogrzali ich, jak umieli, a kiedy obaj się ocknęli, Shibata i doktor dali im jeść. Tymczasem całe Big Sandy spało.

Specjalnością doktora Alkire’a była opieka nad zwierzętami, nie nad ludźmi – był miejscowym weterynarzem – ale umiał przecież opatrywać rany. Tymczasem żadnych nie znalazł. To nie krew chłopców splamiła ich ubrania. Fakt ten budził pewne podejrzenia. Niemniej Shibata i Alkire zajmowali się chłopcami do rana, a potem zostawili ich w szpitalu Worstella.

Takie rzeczy nie zdarzają się codziennie, nawet w dzikiej Montanie. Niedługo potem w szpitalu odwiedził ich Fred Harnden z „Bear Paw Mountaineera” i wypytał, co się stało.

Delmus mówił z wielkim wzburzeniem o Szatanie na równinach, ale młodszy chłopak, Joab, powiedział, że jego rodzinę coś zaatakowało, może puma, a może wataha wilków. Ich matka i dwaj starsi bracia zginęli, broniąc młodszych, i Joab miał nadzieję, że gazeta napisze, iż zginęli bohaterką śmiercią. Teraz Joab i Delmus nie mieli już żadnej rodziny. Harnden, znużony ciągłymi pogawędkami z panią Reed i nowymi przybyszami, którzy wysiedli z pociągu, napisał wielki artykuł o chłopcach. Gazetę prenumerowało niecałe pół miasta, ale opowieść o Delmusie i Joabie głęboko zaintrygowała wszystkich, którzy ją przeczytali.

Harnden miał aspiracje, by historia o chłopcach jego pióra ukazała się w przyszłości na łamach jakiegoś pisma o krajowym zasięgu. Może nawet napisałby o tym książkę? Chłopcy jednak byli zbyt skromni, by pozować do zdjęć. Matka Joaba wychowała go tak, by się nie wychylał, za to ciężko pracował, i teraz twierdził, że właśnie tak chce postępować. Powtarzał, że jest to po prostu opowieść o dwóch chłopcach, którzy potrzebują pracy. Harnden musiał się powstrzymać, żeby chłopaka nie trzepnąć. Ile szpał zapełni skromność? Przez pierwszy tydzień Harnden spędził przy łóżkach chłopców wiele godzin, zagadując, by opowiedzieli cokolwiek więcej, ale Joab powtarzał tylko ostatnie wydarzenia: rodzinę coś zaatakowało, chłopcy zostali sierotami, potrzebują pomocy. Drugi natomiast bredził coś o potworach.

Wizyty Harndena skończyły się jednak, kiedy sam Jack Reed zaproponował braciom Mudge pracę. Zamierzał wynagrodzić ich za skromność.

Delmusowi trudniej było dojść do siebie niż Joabowi. Trzymał się szalonej historii o demonie, który napadał ludzi i zwierzęta w środku nocy. Delmus zmienił się przez to w nadwrażliwego, przerażonego, histerycznego chłopca. Śmierć matki i braci po prostu go załamała. Dlatego Jack Reed dał mu pracę na swoim ranczu. Delmus lubił przebywać wśród zwierząt, został więc pomocnikiem. Nie była to praca ponad jego siły.

Joab wykazywał inny rodzaj zainteresowań. Chciał pozostać blisko Jacka Reeda. Reed uważał się niejako za ojca całego miasteczka, czemu więc nie miałby wziąć pod skrzydła również osieroconego chłopca? Niedawno zakupił nowe auto.

– „Każda droga to droga dla maxwella” – zapewniała reklama w gazetach. „Auto, które śmieje się z gór”.

Joab został szoferem Reeda. Widział w tym szczególną korzyść. Samochodem mógł jeździć po pustkowiach Montany w dużo dalsze podróże niż konno. Pan Reed nieustannie proponował komuś przejażdżkę maxwellem, co Joabowi bardzo odpowiadało. Lubił pracować dla Reedów. Cieszył się, że nie musi być stale czujny, czy nie ścigają go stróże porządku ani rodzina jakiejś dawnej ofiary Mudge’ów. Joabowi podobało się życie osoby niewyjętej spod prawa.

Miał też własne powody, dla których tak bardzo lubił przejażdżki autem. Bezmiar Montany trudno oddać słowami. Powiedzieć, że jest ogromna, to mało, że jest bezkresna, to mało. A Joab pragnął wytropić jedno konkretne siedlisko, samotną chatę. Ale równie dobrze mógłby chcieć odszukać pewien krater na księżycu.

Zapowiedział jednak zemstę: „Mudge’owie nie zapominają”. Może jego brat miał rację? Może diabeł rzeczywiście zabił jego rodzinę? Jeśli tak, Joab chciał go wytropić i odesłać z powrotem do piekieł. Razem z tą wiedźmą, która go tu wezwała.

## 34

Właściciel Grill Cafe, George Shibata, przybył przed laty do Kalifornii i ruszył za pracą na wschód. Głównie najmował się do robót przy budowie kolei, ale szybko się zorientował, że taka harówka może człowieka nawet zabić. Wziął się więc za gotowanie, próbował w Havre, próbował w Butte, aż w końcu trafił do Big Sandy, miasta, w którym była tylko jedna restauracja, Bear Paw Cafe. Potrawy serwowano tam często niedogotowane. Kawa

była zwykle przypalona. Na talerzach widać było ślady tego, co ostatnio na nich podano. George Shibata stwierdził więc, że on potrafi lepiej – a w każdym razie nie gorzej – i tak powstała Grill Cafe. Okazało się, że miał rację. Rzeczywiście był lepszy od konkurencji. Odrobinę. Niemal wszyscy w mieście – może oprócz małżeństwa właścicieli Bear Paw Cafe – byli zgodni, że Grill Cafe Shibaty serwuje może trochę lepsze posiłki, za to talerze i szklanki są tam czystsze. Aby oddać Shibacie sprawiedliwość, kształcił się na inżyniera, nie na kucharza. Niestety w Ameryce nie umiał znaleźć pracy zgodnej ze swoim wykształceniem. A raczej ludziom jego rasy na taką pracę nie pozwalano.

Mimo to w rywalizacji między Grill Cafe i Bear Paw Café nastąpił impas. Żaden lokal nie zdobywał znaczącej przewagi u klientów. Gdyby któryś potrafił przygotowywać dania wyższej jakości, być może by wygrał, ale nie można wymagać niemożliwego. Trzeba sobie zatem wyobrazić zaskoczenie pana Shibaty, kiedy popularność jego lokalu gwałtownie wzrosła tylko dlatego, że uratował dwóch chłopców. Ludzie zaglądali do Grill Cafe, aby zasypywać go pytaniami i gratulować mu dobrego uczynku, a potem zostawali, żeby coś zjeść.

Właśnie dlatego Grill Cafe zapełniła się po przedstawieniu w operze. Z dwudziestu miejsc za stołami niemal wszystkie były zajęte. Adelaide i Sam mieli szczęście, że wyszli wcześniej, inaczej musieliby stanąć wzdłuż ściany w rzędzie klientów, którzy jedli na stojąco z talerzami w ręku. Oboje mieli po numerze „Bear Paw Mountaineera”, tym razem rozdawanego za darmo, ale nie zdążyli go przeczytać, bo Sam pierwszy zadał pytanie.

- Uważa pani, że tamta pani miała rację?
- W operze? – zapytała. – Pani Reed? A w jakiej sprawie?
- Że jesteśmy ziarnem, a nie plewami.

Adelaide uśmiechnęła się, wpatrując się zmrużonymi oczami w tablicę ze spisem dań. Czyżby potrzebowała już okularów?

- Może naprawdę tak myślała, a może próbowała tylko się przypochl...

Adelaide urwała, gdy spojrzała na Sama, który siedział ze zwieszoną głową i splótł palce na blacie stołu.

- A dlaczego pytasz, Sam?

Nadal nie podnosząc wzroku, Sam odparł:

- Uważa się pani za ziarno?

Aby zamówić, trzeba było podejść do lady, a kolejka rosła w miarę, jak coraz większy tłum wychodził z opery. Adelaide była głodna, a do tego

miała też ochotę na piwo. Ale kiedy dziecko zadaje poważne pytania, należy je traktować z szacunkiem.

– Nie – odparła Adelaide. – Przeważnie nie myślę tak o sobie.

– A dlaczego?

*I nie myślała o tym, dokąd stwór uciekł.*

*I nie myślała o tym, co może teraz robić.*

*I nie myślała o tym, że...*

– Mam pewne sekrety – odparła Adelaide cicho, prostując się w krześle.

– Ja też – odparł Sam.

Powiedział to tak cichutko, że Adelaide ledwo dosłyszała. Podniósł na nią wzrok zza stołu. Jego twarz dziecka nagle wydała się zmęczona.

– Sekrety mojej mamy – powiedział.

Adelaide westchnęła.

– Wiem, jak to jest.

Siedzieli w milczeniu, ale nie krępowała ich ta cisza. Adelaide nie była pewna, czy chce, żeby Sam wyznał jej tajemnice Grace. Znała ten ból, fizyczny ból, jaki czuje dziecko, zdradzając rodziców. Poza tym teraz oczywiście Grace była jej bardzo bliska. Kiedy okazałaby większe współczucie – gdyby pozwoliła Samowi wyznać sekret czy gdyby go uciszyła, aby tajemnice Grace pozostały tylko jej sprawą? Chociaż nie do końca tak było, prawda? Prywatne sprawy Grace były najwyraźniej również sprawami Sama.

– Zabiła mojego ojca – wyrzucił z siebie Sam. Powiedział to tak dobitnie, tak stanowczo, że dwóch mężczyzn przy sąsiednim stole obróciło szybko głowy w ich stronę, ale zaraz odwrócili się z powrotem.

Adelaide to zauważyła i widziała, że teraz dyskretnie ich podsłuchiwali.

– Z dzikimi kłaczami tak się zdarza – powiedziała Adelaide, ruchem głowy wskazując Samowi obu mężczyznom, żeby wiedział, dlaczego tak mówi. – Na pewno twój tata robił, co mógł.

Obaj podsłuchujący natychmiast stracili zainteresowanie. Mieli nadzieję na gorące plotki, a nie na kolejną nużącą opowieść o zwykłym ludzkim losie. Wstali od stołu i podeszli do kontuaru, żeby zamówić kolejne piwo.

Adelaide dała znak Samowi, że może już mówić swobodnie.

– Widziałeś to? – zapytała.

– To było wiele lat temu – odparł Sam. – Małe dzieci niczego nie pamiętają.



Adelaide się z tym nie zgadzała, ale nie zamierzała przecież dyskutować z Samem o stadiach rozwoju człowieka.

– W takim razie skąd to wiesz? – zapytała.

– Mama o tym ze mną swobodnie rozmawia, szczególnie kiedy jesteśmy sami. Był jak kula u nogi. „Jedyny wysiłek, na jaki się zdobywał, to ciężkie starania, żeby nie wstawać z łóżka”. Tak powiedziała raz mama, po kilku kufiach Bertie’s Brew.

– Dlaczego mi to mówisz, Sam?

– Bo musiałem komuś powiedzieć. A pani jest najlepszym kimś, jakiego znam.

Była to wzruszająca chwila, ale w myślach przemknął jej ten moment, kiedy została w obojętności Grace, a Bertie zabrała Sama do miasta, żeby odwiedził dochodzącą do zdrowia matkę. Kiedy już była sama, podkraǳła się do drugiej chaty i zajrzała przez okno do środka. A tam, w odbiciu w szybie, zobaczyła...

– Powiedziała ci kiedyś, gdzie go zabiła? – zapytała Sama.

Chłopak wyprostował się w krześle.

– Widziała go pani.

– Coś widziałam – przyznała, spoglądając w dal, aby przywołać to wspomnienie. – Ale zaraz zniknęło.

– Czasem ja też go widuję – powiedział Sam.

– Boisz się wtedy?

Sam spojrział ku drzwiom, które właśnie się otworzyły.

– Jest już mama.

Rzeczywiście, weszła Grace Price. Zarumieniona od mrozu. Podchodząc do ich stolika, ściągnęła lewą rękawiczkę. Tę prawą pozostawiła na dłoni. Po postrzale doszła do zdrowia dość szybko, ale dłoń nie odzyskała dawnego koloru. Na jej grzbiecie odznaczała się siatka żył, a palce były sino-czerwone i miały już takie pozostać. Adelaide obserwowała Grace Price, która czuła się na tyle zawstydzona wyglądem dłoni, że nieumiejętnie starała się ją ukryć, za to doskonale ukrywała fakt, że zabiła własnego męża.

To oczywiście wcale nie było zabawne, ale dlaczego w tamtej chwili aż tak to Adelaide rozbawiło?

Jeszcze zanim Grace podeszła do ich stolika, Adelaide poczuła w gardle łaskotanie, które zwiastowało kaszel albo chichot.

– Wiecie, co powiedział mi Finn Kirby? – zapytała Grace.

I Adelaide nie mogła się już opanować. Ze wszystkich pytań, jakie Grace mogła zadać, tego nie spodziewała się zupełnie. Roześmiała się tak głośno, że nawet Sam się zdziwił.

I teraz on też zaczął chichotać.

Grace usiadła na krześle, założyła ręce na piersi, usiłując przybrać naburmuszoną minę, ale Adelaide spojrzała tylko na jej jedną rękawiczkę i znowu parsknęła śmiechem.

Teraz Grace nic już nie rozumiała, ale wtedy dostrzegła spojrzenie Adelaide rzucane na jej rękawiczkę i opuściła obie dłonie na kolana, aby je ukryć pod stołem.

– Dlaczego się pani ze mnie śmieje, pani Henry?

Adelaide wzięła głęboki oddech, potem jeszcze jeden. Widziała, że jej przyjaciółka źle odgadła, który jej sekret stał się powodem do śmiechu, ale i tak było jej przykro.

– Przepraszam panią – powiedziała. Położyła dłoń na ręce przyjaciółki i delikatnie ją uściśnęła. – Szczerze przepraszam.

Sam też już się nie śmiał, chociaż nie przeprosił. Spojrzał tylko na Adelaide, jakby zastanawiał się, co zrobi z jego sekretem.

Ona spojrzała mu prosto w oczy, z nadzieją, że chłopiec zrozumie, co mu chce powiedzieć.

„Potrafię dotrzymać tajemnicy”.

Sam z powrotem oparł się plecami o krzesło, kiwnął głową i nic już nie powiedział.

– Finn Kirby mówił, że Matthew miał wypadek, gdy wracał od pani kilka tygodni temu.

Adelaide nagle zamieniła się w słuch.

– Stracił władzę w prawej ręce. Finn uważa, że zaatakowały go wilki. Albo coś większego. Chce z panią o tym pomówić.

Adelaide odchrząknęła.

– A co mówi Matthew?

Grace uniosła brwi.

– Matthew Kirby nie powiedział ani słowa od ponad miesiąca. Finn uważa, że temu również w jakiś sposób jest pani winna.

Adelaide rozważyła, jak może się w tej sytuacji zachować. Może już nigdy nie przyjeżdżać na przedstawienia do opery. Nigdy więcej nie odwiedzać Big Sandy. Grace z chęcią będzie w jej imieniu składała zamówienia w mieście, a większość sklepów oferuje przecież usługi dowozu towarów

do siedlisk za drobną opłatą. Może zdołałaby tak funkcjonować przez pierwszą zimę. Ale Finn Kirby wiedział, gdzie mieszka. Co go powstrzyma przed złożeniem jej wizyty, kiedy będzie w chacie sama? Może byłoby bezpieczniej, gdyby porozmawiała z nim tutaj, przy Grace i Samie? Ale z drugiej strony mógłby wtedy powiedzieć przy nich coś, czego by nie chciała. Coś, przez co znowu wróciłyby tajemnice i wstyd. Trzydzieści jeden lat je znosiła, prawie trzydzieści dwa, za kilka dni są jej urodziny. Istnieją na tym świecie dwa rodzaje ludzi: ci, którzy okryci wstydem żyją, i ci, którzy ze wstydu umierają.

Czy może istnieć też trzeci rodzaj? – zastanawiała się. Ludzie, którzy pokonują wstyd?

– Grace – odezwała się Adelaide. – Chcę pani coś powiedzieć.

– Zamówiliście już jedzenie czy raczej dzisiaj u pana Shibaty wszystko idzie bardzo powoli? – zapytała Grace, spoglądając przez ramię w stronę kontuaru. Kolejka już się przynajmniej skurczyła.

Adelaide wsunęła rękę pod stół i chwyciła osłoniętą rękawiczką dłoń przyjaciółki.

Grace chciała cofnąć dłoń, ale Adelaide ścisnęła ją mocno, dopóki ich spojrzenia się nie spotkały.

– Nie przyjechałam do Montany sama – wyznała Adelaide.

## 35

*Małe pieski preriowe wydają odgłosy ptaków.*

*Nie ćwierkają, tylko piszczą i skomlą,*

*jakby w uszy gryzł komar.*

*I są za szybkie, by je złapać. Króliki też*

*trudno upolować.*

*I są jeszcze szybsze niż pieski preriowe.*

*Głód nie jest tym samym co apetyt.*

*Nad głodem mogło zapanować, apetytu nigdy nie nasyciło.*

*Aż do teraz.*

*Podkradło się. Schowało. Skoczyło. Poszybowało.*

*Było wolne.*

*Jedyne, co złowiło, to te dwa konie w nocy.  
Jechali na nich chłopcy, jeden z nich chciał ją skrzywdzić – ją.  
Zapomnij jej imię. Zapomnij jej imię.  
Zapomnij jej imię.*

*Lepiej myśl o głodzie. Im dłużej na wolności,  
tym silniejszy głód.  
Pieski preriowe były za szybkie i węże były za szybkie, i króliki  
były za szybkie.  
Ale konie. Konie można łapać. Pożerać.*

*Rozłożyło ramiona i poczuło wiatr.  
Wiatr dał mu lekkość. Wziął je w objęcia.  
Dotąd zabiło tylko dwa rodzaje zwierząt,  
konie i ludzi.  
Tej nocy zabije to, które znajdzie pierwsze.*

## 36

Nowemu w robocie przypada najgorsze zdanie. Tak głosiła stara zasada i nie było sensu się spierać. Nawet jeśli piętnastoletni chłopak miał sam pilnować przez noc tuzina koni.

Delmus Mudge nie migałby się od pracy, nawet gdyby mógł. Nie był jak Joab. Brat Delmusa, tak jak matka, był typem człowieka, który, stojąc przed trzema możliwościami, tak się ustawi, żeby zgarnąć korzyści ze wszystkich. Za to Delmus odwalał robotę. Tak było zawsze. I w przeszłości taka rola niosła pewną wartość. Joab był tym, który planował, Edward, ich najstarszy brat, miał charyzmę. Drugi po Edwardzie, Jabez, nie bał się przemocy, był wilkiem, którego matka posyłała, kiedy przyszedł czas na najgorsze. No i był Delmus.

„Ręka leniwa sprowadza ubóstwo, ręka zaś pilnych wzbogaca”<sup>9</sup>.

Matka szeptała tak Delmusowi zawsze, kiedy mówił, że zazdrości braciom charakteru. Jeśli pomyśli, że to on jest „ręką pilnych”, zawsze będzie wiedział, jaką rolę odgrywa w tej rodzinie. Kto wybierał następną ofiarę zawsze, kiedy musieli uzupełnić zapasy? Kto cierpliwie obserwował i upewniał pozostałych, że którąś osobę albo którąś rodzinę można bezpiecznie oskubać? I kto zacierał wszelkie ślady, aby nikt się nie zorientował, że Mudge’owie w ogóle tam byli? Ręka pilnych, Delmus Mudge.

Matka zawsze wiedziała, jak poprawić synowi humor.

Ale teraz siedział w stajni Jacka i Jerrine Reedów i nie czuł zapachu koni, które przyprawiono tam na noc, bo wiele dni temu, wiele tygodni temu, zwęszył beczkę Havre Special Brew i, o ile pamięta, od tamtej pory nie przestał go wąchać. Mógł sobie kupić całą skrzynkę za kilka dolarów. I tak właśnie zrobił, kiedy tylko mu zapowiedziano, że zostanie na noc w stajni Reedów. Ukrył skrzynkę między blokami siana w sąsieku.

W rodzinie Mudge'ów raczej się nie piło. Matka nauczyła ich, że złodziejowi, który jest choćby tylko trochę pijany, fortel bardzo łatwo może się nie powieść. Ale jakie to miało teraz znaczenie? Tyle ich uczyła, tacy się czuli niezniszczalni, niepokonani, a dzisiaj zostało ich tylko dwóch i nawet nie widywali się zbyt często. I czyja to była wina?

Czy to do niego, jako „ręki pilnych”, należało wybranie następnego celu w pociągu? Tak. Wybrał tę Murzynkę, bo jechała sama. I widział, że wiele razy szła do wagonu bagażowego, żeby sprawdzić, czy jej kufer jest bezpieczny. Tak go pilnowała, że w środku musiało być coś wartościowego, a poza tym kto by nawet zauważył, gdyby zniknęła? Już znacznie ważniejszych ludzi się pozbywali.

Siedział na skraju sąsieka, patrzył w dół na konie, słuchał ich parskan i pochrapywań, otworzył kolejną butelkę Special Brew i przypomniał sobie, jak się ucieszył, kiedy się okazało, że będą jechać razem wozem pana Olsena. Nie trzeba było rozpytywać w mieście o siedlisko tej Murzynki – ktoś mógłby uznać takie pytania za podejrzane. A w ten sposób mieli się sami dowiedzieć, gdy pan Olsen ją wysadzi, i potem, w dogodnej chwili, złożyć jej wizytę. Jedna kobieta przeciw ich piątce? To miał być najłatwiejszy napad w ich życiu. Ale stało się inaczej.

I czyja to była wina?

Zasnął. Albo stracił przytomność. U pijaka w pewnym momencie życia trudno odróżnić jedno od drugiego. Obudził się, ponieważ jeden z koni głośno parsknął.

Nie, nie jeden, *wszystkie*.

Nawet głęboko zamroczony alkoholem zrozumiał, że coś się dzieje. Otworzył oczy, usiadł wyprostowany w sąsieku i spojrzał w dół na boksy, gdzie coś się skradało. Może puma albo szary wilk, albo nawet niedźwiedź grizzly? To *mogło* być jedno z tych stworzeń. Ale nie było. Delmus widział go z miejsca. Nawet w gęstym mroku. Człowiek nie zapomina widoku potwora, który zabił mu matkę.

Gdyby miał przy sobie strzelbę, wyciągnąłby. Ale jedyna broń w stajni – winchester, model 1903 – leżała w siodlarni. Daleko od sąsiek, w którym się schował, żeby pić.

Trudno powiedzieć, co dokładnie Delmus Mudge zamierzał zrobić, kiedy wstał. Nie myślał. W każdym razie nie szybko ani mądrze. Inaczej przeczołgałby się na tył sąsiek i ukrył za sianem. Ale on usiłował zejść na dół. Urżnięty, roił sobie, że może się przemknąć po ten karabinek do siodlarni. Tymczasem spadł i uderzył w ziemię przy dolnym szczeblu drabiny. Leżał tam, dysząc z przestrachu, chociaż był zbyt pijany, żeby czuć ból. W locie wyciągnął przed siebie ręce, żeby złagodzić upadek, stąd siła uderzenia przeszła wzdłuż lewego ramienia i złamała mu obojczyk.

Demon węszył w drzwiach jednego z boksów, a stojący tam koń cofał się pod ścianę, unosząc łeb i parszając. Ale kiedy Delmus upadł, stwor się odwrócił.

Chłopak usiłował wdrapać się z powrotem na drabinę, ale słyszał, że w jego barku kość trze o kość – był świadom bardziej tego odgłosu niż odczucia z ciała – i przewrócił się z powrotem na ziemię. Mógł tylko się podnieść na kolana, a wtedy nadszedł demon.

Od stwora bił zapach nagłej śmierci. Delmus nie widział jeszcze jego twarzy, bo demon nie podszedł całkiem blisko. Gdy się zbliżał, z paszczy ściekała mu ślina, a jej krople były tak gorące, że skwierczały przy zetknięciu z ziemią.

– Ich zabrałeś – wybąkał Delmus. – Ale ja nie jestem gotów, żeby odejść.

Demona można błagać? Odwoływać się do rozsądku? A może, jeszcze lepiej, poprosić Boga o ochronę? Piętnaście lat przestępstw – od urodzenia żył jako wyjęty spod prawa – ale czy była lepsza pora na rozmowę z Bogiem niż teraz?

– Daj mi jeszcze jedną szansę – wyszeptał. – Oszczędź mnie. Oszczędź mnie... a ja się poprawię.

Delmus zamknął oczy, ponieważ czuł, że oszaleje, jeśli będzie musiał patrzeć na diabła, błagając Pana o łaskę.

– Naprawię krzywdy wszystkim, którym wyrządziłem zło – mówił, teraz trochę głośniej. – Będę „ręką prawych” w imieniu tych, których zabiłem. Ujawnię, gdzie leżą pochowani.

Urwał, zacisnęło mu się gardło, gdy poczuł oddech demona na skórze.

– Wyjawię wszystko, czego mnie uczono, bym trzymał w sekrecie. Nawet jeśli skończę w więzieniu, nawet jeśli okryję hańbą pamięć mojej rodziny. Powiem całą prawdę!

A wtedy gorący oddech ustąpił. Demon chyba się cofnął.

Drzwi stajni trzasnęły i zaskrzypiały. Konie rżały i kwiczały z przerażenia. Delmus słyszał to, ale modlił się z zamkniętymi oczami.

– Przysięgam! – krzyknął.

Teraz dobiegł go przeraźliwy łoskot. Rzenie koni było tak głośne, że zagłuszało każdą myśl w jego głowie. Ale on mówił dalej. Krzyczał.

– Przysięgam! Przysięgam!

Naraz w stajni zapanowała z powrotem absolutna cisza. Gdy otworzył oczy, zobaczył, że wszystkie boksy stoją puste. Każde drzwi leżały wyrwane i potrzaskane.

Wszystkie konie zniknęły.

Słyszał je na zewnątrz, słyszał tętent ich kopyt na twardej ziemi. Uciekały. Ścigane. Ale on, Delmus, żył. Został oszczędzony.

Podniósł się i stanął o własnych siłach, choć było to trudne. Strach go otrzeźwił, co znaczyło, że teraz czuł ból złamanego obojczyka. Czuł tarcie kości o kość, kiedy podciągał się po drabinie, by wstać. Wytoczył się ze stajni. Stanął w mroźnym wichrze, nie czując najmniejszego zimna. Otulał go płaszcz przebaczenia. Albo rozpalał ból. Tak też mogło być. A może i tak, i tak.

Wtedy w oddali dostrzegł światła i wpatrywał się w nadjeżdżającego maxwella. Za kierownicą siedział jego brat, Joab, a obok Joaba ich pracodawca, Jack Reed.

Na tylnym siedzeniu zobaczył dwie kobiety – Murzynkę i Chinkę, żadnej z nich nie znał.

Auto się zatrzymało przy dziurze w wyłamanym ogrodzeniu. W ciemnościach słyhać było konie – tętent kopyt – ale ani jednego nie było już widać. Każdy z nich równie dobrze mógł już być duchem. Stajnia stała pusta, z rozwalonymi boksami. Delmus Mudge zamachał do samochodu zdrową ręką, a potem stracił przytomność i runął twarzą na ziemię.

Jack Reed i Joab wysiedli z maxwella. Popatrzyli na Delmusa, a potem spojrzeli po sobie.

Bertie i Fiona siedziały z tyłu w milczeniu, chociaż Bertie objęła dłonią kolbę rewolweru. W takich chwilach nigdy nie wiadomo, w którą stronę skieruje się niedowierzanie i gniew.

– Mój brat nie doszedł do siebie po śmierci braci i matki.

Jack Reed wsiadł z powrotem do maxwella i poklepał drzwi, przywołując również Joaba.

– Spróbujmy uratować moje konie! – krzyknął.

Ale Joab przeszedł już trzy kroki w stronę leżącego na ziemi brata – po jednym kroku na każdego członka rodziny, którego utracił.

Odwrócił się. W świetle reflektorów auta wyglądał ledwie na dwunastolatka.

– Mój brat... – zaczął, jednak urwał. Nie zlekceważył polecenia pana Reeda, ale też nie podbiegł do Delmusa. Wydawało się, że jest rozdarty, co wybrać.

Fiona wychyliła się do przodu. Bertie usiłowała pociągnąć ją z powrotem, żeby siedziała cicho, ale dziewczyna jej się wyrwała.

– Zostawicie tak tego chłopca, żeby leżał na mrozie? Umrze tutaj.

Jack Reed odwrócił się do niej.

– A powinien umrzeć, broniąc mojej własności przed koniokradami.

– To naprawdę brat Joaba? Jeśli teraz go pan tak zostawi, jak pan potem zaufa swojemu szoferowi? Na jego miejscu zadźgałabym pana przy pierwszej okazji.

Bertie wydobyła rewolwer z kieszeni.

Naprawdę będzie musiała zastrzelić tego bogatego białego człowieka? Czy zdąży przesiąść się na przednie siedzenie i odjechać autem, zanim ten chłopak podbiegnie do maxwella? Pewnie nie, bo Bertie nigdy wcześniej nie prowadziła samochodu. Co oznaczało, że musiałaby zastrzelić również Joaba. A potem ona i Fiona wróciłyby autem do Ślepego Wieprza – prowadząc je tak, jak by potrafiły – spakowałyby tylko najniezbędniejsze rzeczy, pojechały na północ i przekroczyły granicę z Kanadą. W Kanadzie ich jedynym ratunkiem byłoby odnalezienie znajomego Metysa, który trudnił się handlem, Clementa Cardinala. Mógłby je przedostać jeszcze dalej na północ, gdzie zostałyby już do śmierci.

Bertie westchnęła głęboko, przyjęła swój los i podniosła rewolwer z kolan.

– Ma pani rację – odparł Jack Reed. – *Joaba* bardzo chcę ocalić.

Bertie czekała z rewolwerem gotowym do strzału.

– Do diabła – przeklął pod nosem Jack Reed.

Otworzył drzwi maxwella i wysiadł z auta.

Nie będzie musiała go zabijać.



Ulga Bertie Brown wypełniła samochód jak śpiew ptaków. Ona i Fiona nie będą musiały uciekać. Wsunęła rewolwer z powrotem do kieszeni. Fiona ujęła jej wolną dłoń. Czując ciepło tego dotyku, Bertie niemal się rozpląkała.

– Musiałam coś powiedzieć – wyszeptła Fiona. – Nie gniewaj się na mnie.

Bertie niemal nachyliła się, żeby ją pocałować, ale Jack Reed i Joab byli zbyt blisko, by mogła czuć się swobodnie. Spojrzała tylko Fionie głęboko w oczy i ścisnęła jej dłoń.

– Gniewać się na ciebie? – zapytała. – Nie, nie to do ciebie czuję.

## 37

Budowa domu nigdy się kończy, można go tylko ratować przed postępującym niszczeniem. Tak było na farmie w Kalifornii, a tutaj okazało się to prawdą w jeszcze większym stopniu. Może najbardziej nagłą potrzebą była osłona przed wiatrem. Żeby nie wpadał do środka, a w każdym razie żeby mu to jak najbardziej utrudnić. Oznaczało to obtykanie gazetą szczelin między deskami dla ich uszczelnienia. Nie wystarczało zrobić to raz, trzeba to było powtarzać, bo od zimna papier kruszał, a najczęściej po prostu wrywał go wiatr. Dlatego szczególnie cenne okazały się numery „Baw Paw Mountaineera”, które pani Reed i Pracowite Pszczółki rozdawały zeszłego wieczoru w operze. Kilka osób zostawiło swoje gazety w Grill Cafe i Adelaide zebrała je szybko, gdy wychodziła.

Dotarła z powrotem do domu dość późno, dygocząc nie z zimna, a z emocji. Była przejęta tym, co powiedziała Grace i Samowi. A powiedziała im prawdę. Właśnie tak. Całą prawdę.

Ale Grace jej nie uwierzyła.

Nie, właściwie to nie było tak. Przy późnej kolacji Grace bardzo starała się zrozumieć prawdę, ale przychodziło jej to z trudem. „Nie ma czegoś takiego jak demony, one przecież nie istnieją”. Powtórzyła to kilka razy.

A kiedy się rozeszli – bo Grace i Sam zostali jeszcze chwilę w mieście, mieli nadzieję na rozmowę z panią Reed – Adelaide wiedziała, że tylko Sam jej wysłuchał, tylko on ją zrozumiał.

I nie myślała o tym, dokąd stwór uciekł.

I nie myślała o tym, co może teraz robić.

I nie myślała o tym, że...

Kiedy się obudziła rankiem następnego dnia, zagotowała wodę, zaparzyła herbatę i przeczytała gazetę, a potem podarła papier na pasy, żeby obetkać nimi szczeliny w ścianach chaty. Warto byłoby założyć prenumeratę, choćby tylko w tym celu.

Akurat kiedy klęczała przy tej robocie, usłyszała przed chatą stukot końskich kopyt. Konie były dwa, wiedziała więc, że to nie Grace z Samem, bo oni zawsze jeździli w jednym siodle. Dlatego, gdy rozległo się pukanie do drzwi, już stała ze strzelbą w gotowości.

Adelaide nie otworzyła drzwi ani nie wyjrzała przez okno. Wycelowała za to, jak jej się zdawało, w punkt na wysokości męskiego brzucha i zapytała:

– W jakiej sprawie?

Zza drzwi dobiegło ją parsknięcie, śmiech zmieszany z niedowierzaniem.

– Przyjechałam ratować panią przed pani zapuszczoną fryzurą.

Adelaide opuściła strzelbę i otworzyła drzwi. Stały w nich Bertie i Fiona.

– Jakoś się pani nie śpieszyła – zauważyła z przekąsem.

\*\*\*

Adelaide musiała się powstrzymać, żeby nie głaskać Bertie Brown po kostkach.

Weszło jej to w nawyk, kiedy siedziała między nogami matki i teraz niejeden raz musiała cofać dłoń tuż przed dotknięciem skóry Bertie. Eleanor Henry była drobną, szczupłą kobietą i kostki miała tak cienkie, że kiedy Adelaide dorosła, mogła je objąć kciukiem i palcem wskazującym. Ale kiedy była mała, miała inną zabawę – drażniła palcami stopy Eleanor, bo wiedziała, że mamę łaskotał najmniejszy dotyk.

Czasem oczywiście nie wychodziło jej to na dobre. Matka potrafiła pacnąć ją za to w głowę, i to wcale nie najdelikatniej. Albo czasem przez te łaskotki przesunęła grzebieniem za mocno i mała Adelaide piszczała wtedy i wybuchała płaczem. Adelaide nie była nadwrażliwa, przynajmniej tak nie uważała. Po prostu matka czesała ją za mocno. Zawsze się o to spierały. A Glenville – jeśli tylko akurat nie pracował – siedział przy nich i czytał im na głos.

*Trzeba nam się cofnąć do jesieni roku 1827.*

Teraz już, mimo wszelkich starań, Adelaide całkiem się zapomniała, przesunęła ręką po nodze Bertie i zatrzymała dłoń na jej ciężkim, gumowym bucie. I dopiero wtedy przypomniała sobie, gdzie jest.

Jej spojrzenie oprzytomniało, wróciło z przeszłości, i Adelaide zobaczyła, że głaszczę but Bertie. Zażenowana cofnęła rękę, a przy tym dostrzegła, że z fotela przygląda się temu Fiona Wong.

Jedyną osobą niczego nieświadomą była Bertie, która przez grube buty nic nie poczuła i która była zbyt skupiona na wykonywanej pracy, by zwracać uwagę na cokolwiek innego.

– Brakowało mi tego – powiedziała cicho, rozcierając palcem czaszkę Adelaide.

Fiona spojrzała teraz na Bertie i na mgnienie oka jej twarz straciła spokojny wyraz. Tylko Adelaide to zauważyła. Aby panować nad własnymi dłońmi, sięgnęła po puszkę olejku do wcierania, którą Bertie przywiozła ze sobą. Puszka balansowała w doskonałej równowadze na kolanie Bertie.

Adelaide przeczytała na głos etykietę.

– „Olejek do wcierania Poro. Wyłącznej produkcji pani Annie Turnbo Malone”.

– Więc już wie pani, że nie używam byle czego – zaznaczyła Bertie ze śmiechem. – I niech mi pani wierzy, był pani potrzebny. – Lekko poklepała Adelaide w kark pod włosami.

Fiona nagle zerwała się z fotela.

– Spóźnię się, Bertie.

Bertie spojrzała na nią, ale się nie ruszyła. Może ledwo zauważalnie, o cal czy dwa, odsunęła się od Adelaide.

– Spójrz na mnie, Fiona – powiedziała Bertie. – Spójrz na mnie.

Ale Fiona już włożyła okrycie.

– Już prawie skończyłam – dodała Bertie łagodnie.

Fiona zapięła guziki płaszcza, przeciskając je po kolei przez pętelki.

– A potem razem pojedziemy do miasta – dodała Bertie uspokajająco.

Fiona kiwnęła głową, ale nie zdjęła okrycia. Stała i przyglądała się, jak Bertie nadaje fryzurze Adelaide dawny kształt. Chociaż to była nieścisłość. Włosy Adelaide stały się tak suche, że zaczynały przypominać słomiany kapelusz porządnie wysmagany wiatrem. Adelaide chowała je pod chustką, ale nie robiła wiele więcej, by je chronić. A po zabiegu Bertie jej włosy lśniły niczym korona.

Adelaide podniosła się i przejrzała w niewielkim lusterku, które zawiesiła nad łóżkiem.

– Tak – wyszeptała. – *Tak*.

Tymczasem Bertie wstała i szybko spakowała należące do niej przybory pierwszej potrzeby. Założyła płaszcz, a Fiona szarpnęła za drzwi, żeby je otworzyć. Obie nie odzywały się ani słowem. Na dworze parskały konie, wyl i dudnił wiatr.

– Jadą panie do miasta? – powstrzymała je Adelaide.

Odwróciła się od lusterka, tak zadowolona z fryzury, że miała wrażenie, jakby cały świat się rozjaśnił. Nie zauważyła oznak napięcia między Bertie i Fioną.

– Mogę jechać z paniami? – zaszczebiotała.

## 38

Czy to możliwe, że przez te wszystkie miesiące Adelaide jeszcze ani razu nie była w mieście za dnia? Wtedy, gdy przybyła do Montany pociągiem, było jeszcze jasno, ale kiedykolwiek potem? Przyjeżdżała do Big Sandy wieczorami, na przedstawienia w operze, ale kiedy teraz jechała do miasta wierzchem, kilka kroków za Bertie i Fioną, zdumiało ją, jaka to była mała miejscina.

Jedna ulica, dwanaście sklepów, jeden hotel, dwie restauracje.

W dolinie Lucerne przywykła do jeszcze skromniejszego życia. Tam najbliższym „miastem” był sklep wielobranżowy. Ale tutaj Big Sandy kurczyło się pod baldachimem bezkresnego nieba. Przypominało garstkę klocków na ogromnym dywanie.

Ale jeśli miasto wydawało się takie małe, to co można było powiedzieć o jej chacie?

Adelaide roześmiała się sama do siebie. Bertie i Fiona akurat zdążyły dojechać do hotelu Gregson Springs i wiązały tam konie.

Nieco dalej na ulicy słyhać było gwar tłumu trzydziestu, czterdziestu zgromadzonych osób. Tyle ludzi zbierało się w jednym miejscu wyłącznie z okazji przyjazdu pociągu albo przedstawienia. Adelaide chciała więc sprawdzić, co się takiego wydarzyło. Bertie i Fiona weszły do hotelu, nawet nie patrząc w stronę zgromadzenia. Adelaide była zaciekawiona. Podjechała na Abdiaszu bliżej.

I zobaczyła panią Jerrine Reed w czarnym płaszczu z arabskiej wełny jagnięcej, który pewnie kosztował więcej, niż Adelaide dała za konia. W klapę płaszcza pani Reed wpięła swoją szpilkę z drozdem. Rodzina Reedów mieszkała w mieście. W domu wzniesionym tuż przy operze niczym probostwo przy kościele.

Za panią Reed stała wysoka, cicha kobieta. Była chuda i przygarbiona, miała na sobie płaszcz zbyt lekki jak na tę porę roku, ale najprawdopodobniej jedyny, na jaki było ją stać. Drżała, ale Adelaide nie umiała powiedzieć, czy to z zimna, czy z tremy przed publicznym wystąpieniem.

– I właśnie dlatego – ciągnęła pani Reed – jestem taka *dumna*, widząc tu dzisiaj tyle osób. I wiem, że pani Sterling oraz jej syn Melvin są równie uradowani. Prawda?

Pani Reed ustąpiła w bok, tylko mały kroczek, a pani Sterling wysunęła przekrzywioną głowę i wybąkała:

– Tak, proszę pani. Bardzo się cieszymy.

Pani Reed wróciła na swoje miejsce w samym centrum uwagi i zaczęła klaskać, choć jej klaskanie tłumiły rękawiczki z kozłej skóry. Oklaski rozległy się również wśród publiczności, Adelaide też biła brawo. Kobieta, która zaczyna tu prowadzić własny interes? Adelaide uważała, że o niej samej również można było poniekąd właśnie tak powiedzieć.

Ale wtedy przez ułamek sekundy poczuła ciepło na skórze na karku. Pytanie. „Gdzie jest?”. Strach. „Co teraz robi?”.

Odgoniła te myśli jak natrętne muchy.

– Jak już wspomniałam w operze – ciągnęła pani Reed – Pracowite Pszczółki zachęcają każdego, kto może sobie na to pozwolić, by przynosił brudne ubrania do pralni pani Sterling i jej syna. Zapewniam, że każda część odzieży, każda tkanina z naszej prywatnej rezydencji oraz z opery będą odtąd przekazywane do czyszczenia firmie państwa Sterlingów.

Ledwo skończyła to mówić, uwagę wszystkich odwrócił łoskot otwieranych drzwi hotelu Gregson Springs, skąd Fiona i Bertie wynosiły duże worki prania, dźwigając je w stronę koni.

– Kibicujemy przedsiębiorczości – ciągnęła pani Reed, obserwując obie kobiety.

Teraz również tłum śledził je wzrokiem.

A to znaczyło, że Adelaide także na nie patrzyła.

– Nasz wielki kraj wszystkim niesie obietnicę lepszej przyszłości. Każdy może dorobić się majątku dzięki wolności, jaką zapewnia nam Ameryka.

Pamiętajmy jednak, że pani Sterling, nie ze swojej winy, została wdową i musiała sama wychowywać syna. I że mieszka w naszym mieście już od ponad dziesięciu lat.

Fiona i Bertie przytroczyły worki do siodła koni, co poszło im sprawnie dzięki dużej wprawie.

Pani Reed wróciła spojrzeniem do zgromadzonych i niemal wszyscy widzowie już znowu patrzyli na nią. Tylko nieliczni, dosłownie kilka osób, nieco dłużej spoglądali za obiema znajomymi Adelaide.

– Niektórzy z państwa mieszkają w dalszych stronach i odwiedzają miasto tylko z rzadka. A jeśli z jakiejś przyczyny muszą państwo zatrzymać się tutaj na noc, najczęściej wynajmują pokój w hotelu Gregson Springs. Bardzo zacny przybytek.

Bertie i Fiona odwiązały konie i ich dosiadły.

– Następnym razem, kiedy będą państwo płacić za pokój, proszę zapytać, gdzie obsługa oddaje do prania prześcieradła i poszewki – zaznaczyła pani Reed. – Proszę się dowiedzieć, *kto* pierze bieliznę pościelową, na której to *państwo* będą spali.

Adelaide patrzyła w ślad za odjeżdżającymi znajomymi, wracającymi do domu z workami pełnymi brudnej hotelowej bielizny, którą Fiona Wong wypierze w rozpuszczalniku naftowym, a potem rozwiesi w chacie, żeby schła przez cały dzień.

Bertie na ten czas zamknie Ślepego Wieprza, bo schnące pranie będzie bardzo łatwopalne, a jej klienci, z których wielu nałogowo pali tytoń, zwykle o tym fakcie zapominali. Jedną ścianę Ślepego Wieprza trzeba było odbudować po pożarze, jaki wybuchł w zeszłym roku.

– A jeśli przypadkiem – ciągnęła pani Reed – hotel nie wspiera pralni pani Sterling i jej syna Melvina, warto, by zapytali państwo *dlaczego*. Niech w hotelu wiedzą, że to dla państwa sprawa dużej wagi, aby hotel wspierał kogoś z naszych szeregów. Przecież właśnie w ten sposób odnosimy sukcesy – dbając o siebie nawzajem.

Z tymi słowami pani Reed odwróciła się ku pani Sterling i poklepała ją po ramieniu. Chuda kobieta podreptała pośpiesznie do drzwi pralni i przytrzymała je otwarte. Pani Reed zaprosiła mieszkańców miasta, by weszli do wnętrza.

– Niech państwo sami zobaczą! – zachęcała entuzjastycznie. – Pierwsza w mieście pralnia elektryczna! To wspinały dzień dla postępowych kobiet.

Adelaide miała wrażenie, że jakaś siła ciągnie ją naraz w dwie strony. Zdawała sobie sprawę, że powinna odjechać razem z Bertie i Fioną, ale prawdę mówiąc, nie widziała jeszcze nigdy pralni działającej na prąd. Chciała zobaczyć, jak pani Sterling będzie prać ubrania. Czy istnieje do tego jakaś maszyna? Czy pracuje głośno? Ile potrafi uprać za jednym razem? Czy to źle, że Adelaide jest tego ciekawa?

Uwiązała Abdiasza i stanęła w ogonku miejscowych czekających przed wejściem do pralni, aby zobaczyć jej wnętrze. Przecież ona też była miejscowa, prawda? Dziwne, ale nagle miała wrażenie, że staje przed jakąś próbą.

Gdy kolejni ludzie wychodzili z pralni, kolejka się przesuwała i Adelaide nie mogła powstrzymać drżenia. Pani Reed nadal stała przy drzwiach, przytrzymując je wszystkim wchodzącym. Uśmiechała się do każdej osoby przy wejściu i poklepywała ją delikatnie po ramieniu. Gdy Adelaide była już blisko, zaczęła się zastanawiać, co zrobi, jeśli pani Reed zabroni jej wstępu.

Ale kiedy doszła do drzwi, pani Reed położyła dłoń na jej łokciu (Adelaide była za wysoka, by pani Reed mogła swobodnie poklepać ją po ramieniu) i powiedziała:

– Miło panią widzieć. Pani Henry, dobrze pamiętam? Mam nadzieję, że będzie pani częściej odwiedzać nasze miasto.

I tyle.

Miło byłoby wyobrazić sobie, że Adelaide wybiegła oburzona z pralni, wsiadła na Abdiasza, wyjechała cwałem z Big Sandy, dogoniła Bertie i Fionę i ani razu nie obejrzała się za siebie. Ale człowiek to zwierzę stadne. Kiedy przez całe życie jest traktowany jak obcy, tęskni za tym, by ktoś go wpuścił do środka.

I tak się właśnie stało.

Pani Reed przytrzymała drzwi i Adelaide weszła do pralni elektrycznej.

Kiedy już z niej wyszła, spędziła resztę dnia w mieście i ku jej nieustającemu zaskoczeniu, każde drzwi były dla niej otwarte, a każde miłe powitanie wydawało jej się szczere.

## 39

– Mamy łowców wilków.

Pan Reed powiedział to z tylnego siedzenia maxwella, a siedzący z przodu Joab Mudge odparł głośno przez ramię:

– Tak, proszę pana.

Wracali ze stajni Reedów. Za dnia straty wydawały się jeszcze większe. Koni jak nie było, tak nie było. Delmus leżał teraz w szpitalu Worstella, zajmując łóżko opłacane przez Reedów. „Szpital” był po prostu jednym z lokali w szeregu parterowych sklepów w mieście, ale i tak stanowił lepsze rozwiązanie, niż gdyby Delmus miał dochodzić do zdrowia w stajennej siodlarni.

– Łowca wilków jest gorszy niż całe stado wilków – stwierdził pan Reed. – Te biedne stworzenia po prostu chcą przetrwać.

– Tak, proszę pana.

Joab wiózł ich z powrotem do miasta. Nie jeździł jeszcze maxwellem zbyt długo, a ręczna skrzynia biegów była dla niego nowością. Jeszcze się nie nauczył, jak rozmawiać i jednocześnie prowadzić samochód. Ale to nie miało znaczenia, pan Reed nie należał do tych, którzy dużo słuchają.

– Pojedziemy prosto do McNamary i Marlowa, od razu. – Pan Reed nachylił się i dodał w zaufaniu: – Zdaje się, że dzisiaj pani Reed przyjmuje z wizytą jakąś kobietę. Moja żona lubi mieć trochę spokoju, kiedy ma takich gości. Niektóre panie wypowiadają się swobodniej, gdy żaden mężczyzna nie słucha.

Dom towarowy McNamary i Marlowa. Największy sklep wielobranżowy w Big Sandy. Sprzedawał wyroby drewniane, wełnianą bieliznę dla mężczyzn, kobiet oraz dzieci, meble i futra. Jego założyciele, McNamara i Marlow, należeli także do bliskich przyjaciół pana Reeda. Byli niemal równie zamożni, ale małomówni. A oboje państwo Reed mieli tę wspólną cechę, że lubili mieć widownię.

Silnik maxwella terkotał i dudnił, gdy auto jechało Main Street. Konie spłoszone uciekały albo rżały, kiedy bestia je mijała. Ludzie na ulicach zatrzymywali się, aby bez skrzypienia się przyglądać. Pan Reed wyprostował się na tylnym siedzeniu, żeby jego twarz było widać przez szybę pasażera, ale udawał, że jedynie poprawia sobie kapelusz.

Joab zaparkował i pan Reed wysiadł. Nauczył swojego kierowcę, że ma nie otwierać mu tylnych drzwi. Taki gest był dobry dla króla, a to nie był kraj królów, prawda? Pan Reed sam sobie otworzył i wysiadł.

– Nie wyłączaj silnika – polecił Joabowi, obchodząc auto i mijając okno kierowcy.



– Tak, proszę pana.

I pan Reed zniknął w sklepie.

Joab popatrzył w tył na ulicę. Jego brat leżał w szpitalnym łóżku niecałe dwadzieścia jardów dalej. Powinien go odwiedzić, prawda? Tak. Powinien. Ale nie chciał.

Kiedy zeszłej nocy zobaczył Delmusa leżącego na zimnej ziemi, nie zaniepokoił się. Raczej zeszywniał z wściekłości. Czy to była niewłaściwa reakcja? Może i tak, ale tak się właśnie poczuł. Kiedy uklęknął nad starszym bratem, wyczuł alkohol. Spodnie Delmusa były mokre od szczyń albo od piwa. A najpewniej od jednego i drugiego.

Ale prawda była jeszcze gorsza: gdyby pan Reed kazał mu zostawić tam Delmusa i jechać na poszukiwanie koni, zapytałby tylko, czy może najpierw przenieść brata do stajni. Prędzej zostawiłby go tam, niż odmówił swojemu dobroczyńcy. A dlaczego? Ponieważ matka nauczyła ich przede wszystkim jednego: *róbcie, co możecie*, by przetrwać.

Ale co, jeśli przetrwanie oznaczało zdradę własnej rodziny?

Na szczęście nie musiał odpowiadać na to pytanie, a pan Reed okazał Delmusowi więcej troski, niż Joab się spodziewał. Przez co oczywiście poczuł się z pracodawcą związany jeszcze większą lojalnością. Matka nauczyła ich, żeby nie ufać nikomu, kto nie należy do rodziny, ale teraz ten człowiek, prawie zupełnie obcy, postanowił ratować jego brata.

Czyli nie, Joab nie pójdzie sprawdzić, jak się Delmus czuje, ponieważ Delmus trafił do tego szpitala dzięki hojności pana Reeda. Joab zgodził się spłacić koszt opieki z własnej pensji, ale to nie umniejszało wielkoduszności gestu jego pracodawcy, nie w oczach Joaba. Gdyby pan Reed nie zażądał spłaty, według Joaba okazałby się miękki, byłby frajerem.

Swoje rozważania Joab snuł w czasie, jaki zajęło panu Reedowi wejście do domu towarowego i powrót z dwoma mężczyznami, samymi McNamara i Marlowem. Obaj jego towarzysze nieśli po ciężkim worku. Obaj mieli na sobie trencze od Burberry'ego, przez co sprawiali irytujące wrażenie dwóch brytyjskich oficerów, chociaż pochodzili z którejś z Dakot. Ale pewnie płaszcze chroniły ich przed zimnem lepiej niż Joaba całe posiadane ubranie, gdyby włożył wszystkie sztuki na raz.

Trzej mężczyźni wsiedli z tyłu do maxwella i siedzieli tam ściśnięci. Szeptali coś do siebie, a Joab poczuł, że się poci. Co takiego się stało, że nagle zapragnął dowieść, ile jest wart? Taką lekcję odebrał od matki. „Róbcie co możecie, by przetrwać”. Skoro sumiennym podejściem do pracy

wywarł wrażenie na jednym zamożnym człowieku, czemu nie zaimponować jeszcze dwóm innym?

Joab odezwał się, ale nie śmiał odwrócić się przy tym do pasażerów.

– Mówił pan o łowcach wilków, sir?

Wszyscy trzej mężczyźni z tyłu umilkli.

– A dlaczego pytasz? – zapytał pan Reed.

– Mam pewien pomysł... – odparł Joab, ale nagle słowa uwięzły mu w gardle. Spróbował jeszcze raz. – Mam pewien pomysł, gdzie się mogą ukrywać.

Myślał, że szturchną go w ramię i będą piszczeć z radości, ale nie byli przecież dziećmi. Byli dorosłymi mężczyznami.

– Gdzie? – zapytał tylko pan Reed.

Nadszedł moment, w którym Joab mógł albo się wykazać, albo pograć. Co zrobić ze wszystkim, co wiedział?

– W Rocky Point – odparł. – To miasteczko łowców wilków. W górach.

Długie milczenie. Tak długie, że Joab poczuł nagły strach, bał się, że któryś z tych mężczyzn wyciągnie rewolwer i strzeli mu w tył głowy.

Skąd wiedział o Rocky Point? Bo miasteczko pokazała mu matka. Jemu i jego braciom. Kiedy ukradli konie w czasie zabawy z tańcami, właśnie tam je zaprowadzili, a potem sprzedali w Kanadzie, gdzie nawet wypalone piętno miejscowego ranczera znaczyło tyle co nic. Joab znał położenie miasteczka łowców wilków, bo sam był jednym z nich. Ale tego Joab nie zdradził trójce bogaczy na tylnym siedzeniu.

– W których górach? – zapytał jeden z nich.

– W górach Bear Paw, sir.

– Tak blisko? – zdumiał się pan Reed.

– Tak, proszę pana.

Znowu milczenie. Joab wsłuchiwał się w bicie własnego serca, na wypadek, gdyby właśnie słyszał je ostatni raz.

– A skąd wiesz o tym miasteczku? – zapytał McNamara. Miał głęboki głos, Joab jeszcze nie słyszał, żeby ktoś mówił tak tubalnym głosem.

– To właśnie oni... – zaczął niepewnie Joab, nie wiedząc, jaka odpowiedź ocali go, a nie pogrąży. – To właśnie oni zabili moją mamę i starszych braci. Widzieliśmy, jak odjeżdżali galopem w tamtym kierunku. Nigdzie indziej w górach nie mogliby się ukryć.

– A nie mówiłeś czasem temu dziennikarzowi, że rodzinę zabiło wam jakieś zwierzę? – zapytał McNamara, a od jego głębokiego basu Joaba aż

przeszły ciarki.

Przez chwilę Joab nie odpowiadał.

– Kazali nam kłamać, mnie i Delmusowi. Kazali mówić, że to zwierzęta, nie oni. Ale ja już nie chcę dłużej kłamać.

Podziękowało?

Pan Reed poprawił się na siedzeniu. Nachylił się, na tyle blisko, że Joab słyszał jego słowa tuż przy swoim uchu.

– Zawieź nas tam. Znajdźmy drani, którzy ukradli moje konie i zabili ci rodzinę.

Joab, który zaledwie cztery dni temu skończył trzynaście lat, czego zresztą nikt nie świętował, kiwnął teraz głową i poprowadził auto Main Street.

I właśnie wtedy minął wysoką Murzynkę, która wiązała konia przed Grill Cafe. To była ona, ta sama. To ona uwolniła demona, który zgładził ich rodzinę trzy tygodnie temu.

Trzy tygodnie.

Tylko tyle.

Wydawało się, że trzysta lat.

Już niemal zatrzymał maxwella, ale w ostatniej chwili uratował się przed tym błędem. Przecież powiedział tym mężczyznom, że to łowcy wilków zabili mu matkę i braci. Jak by to teraz wyglądało, gdyby zatrzymał auto i pobiegł ulicą za samotną kobietą? Wszystko w swoim czasie. Najpierw zawiezie ich do miasteczka łowców wilków i zajmie się sprawą koni pana Reeda.

I to właśnie widok jej konia, starej chabety, podsunął mu pomysł, jak ją potem odnaleźć. Na taki wydatek pewnie musiała wziąć pożyczkę. Tylko trzech ludzi w mieście zajmowało się udzielaniem pożyczek. Musieli znać jej nazwisko i położenie siedliska.

Jeden z tej trójki nie angażowałby się w żadne interesy z Murzynką, więc pozostało dwóch do sprawdzenia. A jeszcze gdyby zaznaczył, że rozpytuje w imieniu pana Reeda, powiedzieliby mu wszystko od razu.

Odnajdzie ją więc i dotrzyma przyrzeczenia, które jej złożył tamtej nocy. Mudge'owie nie zapominają.

Nie odezwały się ani słowem przez całą drogę powrotną do Ślepego Wieprza. Wydawało im się, że worki z praniem jeszcze nigdy nie były aż tak ciężkie. Ten wielki tłum przed pralnią elektryczną – nie sposób go było zapomnieć. Dął teraz silny, mroźny wiatr, ale one nie śpieszyły się do domu. Big Sandy powoli nikło za ich plecami, a Adelaide Henry została w mieście.

Bertie już dwa razy odbudowywała Ślepego Wieprza. Za pierwszym razem musiała, z powodu pożaru, a drugi raz powiększyła chatę, dodając pokój dla Fiony Wong, którą poznała niewiele wcześniej.

Uwiązały konie w zagrodzie i wtaszczyły pranie do domu. Przed drzwiami znalazły pozostawiony dziesięciofuntowy worek. Bertie zajrzała do niego, w środku był jęczmień. Czyli nie był to podarek, a dostawa. Wiedziała od kogo, bo ten, kto worek zostawił, zaopatrzył go w swój znak, niewielki symbol z boku na płótnie. Biała cyfra osiem, jakby leżąca poziomo.

Zajrzał do niej Clement Cardinal, metyski handlarz, z dostawą słodu, którego potrzebowała do warzelni. Nie został, by na nią poczekać. Bez wątplenia wiozł też inne dostawy, w inne miejsca. Każdego innego dnia Bertie byłoby przykro, że się z nim nie zobaczyła. Ona i Fiona lubiły jego towarzystwo. Ale dzisiaj obie były w zbyt kwaśnym nastroju, by zabawiać gości. Bertie wniosła do chaty worek z jęczmieniem, a potem wróciła, by wtaszczyć z Fioną pranie.

Gdy już zamknęły drzwi, Bertie rozpałała w piecu, a Fiona w tym czasie nosiła po kolei worki do pomieszczenia, które było jej pralnią. Rozcieńczalniki terpentynowe czy benzen należały już do przeszłości. Fiona czyściła teraz brudną bieliznę wyłącznie naftą, w sposób nowoczesny.

Otworzyła każdy worek i wysypała wszystkie brudy na podłogę. Potem je rozdzieliła na bieliznę pościelową, obrusy, serwetki i bieżniki stołowe. Hotel Gregson Springs nie prał swoim pracownikom służbowych uniformów. Każdy miał prać je sobie sam.

Fiona trzymała w rogu cztery duże miedziane wiadra, nienitowane. Postawiła je na środku podłogi. Gładka miedź zapobiegała płamieniu się tkanin. Mosiężne nity na innych miedzianych wiadrach mogłyby plamić tkaniny na żółto. Poza tym materiał czasem zahaczał o nity i się rozdzierał. Hotel Gregson nigdy nie odebrał od niej ani jednej sztuki czystego prania, która byłaby podarta czy poplamiona. Ale czy to miało znaczenie?

Nie zdawała sobie sprawy, że osunęła się na kolana i tak trwała, aż do pralni weszła Bertie i uklękła koło niej. Nie zdawała sobie sprawy, że

zaczęła płakać, aż Bertie dotknęła ustami jej twarzy i pocałowała jej mokre od łez policzki.

Bertie wstała i podniosła Fionę. Wyprowadziła ją z pralni do salonu. Wcześniej wstawiła już na ogień garnek wody. Zwykle trzeba było czekać blisko trzydzieści minut, aż woda zagrzeje się na tyle, by można było jej użyć. Bertie zaprowadziła Fionę do drugiego pokoju, do ich sypialni, i wciągnęła ją do środka.

Razem wybierały to łóżko. Kupiły je w Billings i przywiozły do domu na wozie. Było z dębowego drewna, z mosiężnymi okuciami, szerokie na dwie osoby. Bertie ściągnęła w dolną część łóżka dzierganą narzutę. Potem rozebrała Fionę.

Bertie była starsza od niej o ponad dziesięć lat i rozumiała, na czym polega przyjemność poświęcania uwagi ukochanej osobie. Zaczęła od dołu, rozpinając guziki jej spódnicy z rozcięciem i pozwalając jej opaść z cichym słumionym szelestem na podłogę. Pod spódnicą z rozcięciem Fiona nosiła francuskie reformy, otwarte w kroku. Ani Bertie ani Fiona w życiu nie miały na sobie gorsetu.

Te francuskie reformy były prawdziwie luksusowe, z białego bawełnianego batystu i koronki, z różowym troczkiem w talii. Nie tak praktyczne jak spódnica z rozcięciem ani jak w zasadzie każda sztuka ubrania, jaką posiadały. Ale Bertie lubiła patrzeć na Fionę poza domem, przy noszeniu prania z hotelu, w operze, albo po prostu przy karmieniu koni, i mieć świadomość, że nikt inny nie wie, że Fiona ma na sobie taką luksusową bieliznę. A fakt, że to ona ją Fionie kupiła... cóż, był dla Bertie powodem do dumy.

– Zimno mi – wyszeptała Fiona, naga od talii w dół, a okryta ubraniem w górnej części.

Bertie pocałowała jej udo, od kolana aż po biodro.

– Lepiej? – zapytała.

– Jeszcze nie – odparła Fiona.

Bertie przeniosła się na drugie udo i teraz całowała je, przesuwając się w górę, aż do talii Fiony.

– Lepiej? – zapytała.

– Jeszcze nie – wyszeptała Fiona.

Bertie podniosła się i poprowadziła Fionę na łóżko. Ta podsuwała się o cal, o dwa, dotąd, aż jej głowa oparła się, prawie pionowo, o deskę zagłówka. Wtedy Bertie wspięła się na materac i wczółgała pod zwiniętą narzutę. Fiona sięgnęła w stronę nóg i naciągnęła prześcieradło [10](#), aż Bertie

nie było już widać. Uniosła jego drugi brzeg i zajrzała w ciemność. Jej oddech zwolnił, a emocje, które niosła ze sobą, odkąd wyjechały z miasta, zostały teraz odstawione, odsunięte, przynajmniej na razie.

Fiona rozsunęła szerzej nogi.

Spojrzała w dół na Bertie, która w tej chwili nie mogła już zadawać pytań, bo jej język był zajęty czym innym.

– Tak lepiej – wyszeptała.

## 41

*Po posiłku z tych koni,  
po wieczery z krwi,  
odpoczynek.  
Nawet demon ma sny.*

*W jednym jego ręce i nogi odpadają  
i leży płasko na ziemi w oborze,  
wokół gardła ma łańcuch, który  
zaciska się coraz mocniej i mocniej aż po wieczny czas.*

*W innym dziewczyna – zapomnij jej imię,  
zapomnij jej imię –  
dziewczyna przychodzi nocą, kroki przed oborą.  
A potem jej głos. Przyszłam.  
Chcesz, żeby ci poczytać, zaśpiewać?  
Ten drugi sen jest straszniejszy niż pierwszy.  
Bo jest i snem, i wspomnieniem.*

*Już znowu nie śpi.  
Jest zimno; jest noc.  
Już nie może odpocząć. Już nie może spać. Jest samo.  
Zapomnij jej imię. Zapomnij jej imię.  
Zapomnij jej imię.*

## 42

Adelaide Henry wyjechała wierzchem z miasta w drogę powrotną do domu.

Nie minęło wiele czasu, nim zdała sobie sprawę, że ktoś za nią podąża.

– Bajki opowiadasz.

To nie był nikt z miasta.

– Zdradzasz sekrety.

Adelaide jechała tak szybko, na ile tylko pozwalały siły Abdiasza, ale stary koń nie mógł biec galopem. Odchyliła się w siodle w tył, choć kłusował po płaskiej równinie. Ona jednak miała wrażenie, że jedzie w dół.

– Witaj, Eleanor – powiedziała Adelaide.

Gdy spojrzała w prawo, zobaczyła, że matka zrównała się z nią. Szła pieszo, a jednak równie szybko jak kłusujący koń.

– Tak się teraz do mnie zwracasz? – zapytała matka.

– Jestem dorosła – zapewniła Adelaide, ale kto by jej uwierzył? Ona sama wyraźnie w to nie wierzyła.

Eleanor zakrztusiła się albo zaśmiała. Trudno było stwierdzić, bo dźwięk wydobywał się z jej rozerwanego gardła.

– A która dorosła kobieta zapomina o swoich obowiązkach?

– To nie mój obowiązek – odburknęła Adelaide.

– A czyj? – syknęła zjawa matki.

Adelaide zgarbiła się w siodle.

– Niech kto inny go przejmie – zaczęła błagać matkę. – Ja go nigdy nie chciałam.

Eleanor nie spierała się. Jakże by mogła? Może zjawa matki dawniej myślała to samo o własnym życiu?

– Dlaczego nigdy nie widuję taty? – zapytała Adelaide.

Eleanor skrzywiła się z dezaprobatą.

– Słyszę, że o ojcu nadal wyrażasz się z szacunkiem.

– Nie znałam go tak, jak znam ciebie – odparła Adelaide. – Gdy rozmawiam z tobą, to jakbym sama ze sobą gadała.

– Bez różnicy – wyszeptała Eleanor.

\*\*\*

Razem pokonywały bezkres równin. Wokół wył wiatr, ale Adelaide go prawie nie słyszała. Docierał do niej jak rozmowa zza ściany. Głos matki był znacznie donośniejszy.

– Raz nam się zerwał na wolność – powiedziała Eleanor. – Rozszarpał bydło, rozszarpał owce. Mieliśmy szczęście, że nas wszystkich nie pozabił. Rozniosła się wieść, że jakaś dzika bestia grasuje w dolinie, i oczywiście my też udawaliśmy przerażenie. Ojciec poszedł polować na niego z innymi mężczyznami. Złapali pumę. Ale czy ktokolwiek uwierzył, że taka mała puma wyrządziła tyle szkód? Nie. Nie bardzo. Ludzie w gospodarstwach zrobili się podejrzliwi. Wszędzie było dużo złych uczuć. Gdyby historia się powtórzyła, mogliby po nas przyjść. Kto wie? Ale załatwiliśmy sprawę najlepiej, jak potrafiliśmy. Przykuliśmy demona grubszym łańcuchem. Nigdy już się ponownie nie zerwał.

Abdiasz nie parsknął ani nie rżał na widok Eleanor, nie reagował też na brzmienie jej głosu. Biegł naprzód i po tym Adelaide poznała, że Eleanor nawiedza i niepokoi tylko ją.

– Dlatego cię ostrzegam – ciągnęła Eleanor. – Za wszelką krzywdę, jaką wyrządzi demon, przyjdą po ciebie. I zapłacisz po stokroć.

– Nie boję się ich – odparła hardo Adelaide, ale brzmiała jak uparte dziecko.

– A powinnaś.

## 43

Do Rocky Point jechali dłużej, niż przewidywali. Maxwell nie pokonywał wzgórz tak gładko, jak obiecywały ogłoszenia w prasie, ale kiedy Joab jechał wolniej, nie było tak źle. Podczas gdy Joab prowadził auto, trzech mężczyzn z tyłu prowadziło rozmowę, jakby siedzieli Pod Pijanym Wieprzem i popijali trunki, dyskutując o interesach. Wszyscy trzej byli uzbrojeni w rewolwery, ale Joab był pewien, że tylko on jeden z jadących maxwellem kiedykolwiek kogoś lub coś zabił. McNamara i Marlow nadal trzymali na kolanach worki, z którymi wyszli z domu towarowego. Joab zastanawiał się, co było w środku.

– Nie rozumie pan, że sytuacja jest już bardzo zła – mówił McNamara do Reeda podniesionym głosem.

– Te katalogi nas dobijają, gwarantuję! – dodał Marlow.

Pan Reed siedział pośrodku. Było to najbezpieczniejsze miejsce w pojeździe i doskonale o tym wiedział. Auta często dachowały.

– Potrzebujemy kampanii zachęcającej miejscowych, by kupowali od miejscowych – podkreślił McNamara.



– „Kupuj od tych, którym ufasz” – zaproponował Marlow. – „Kupuj od ludzi, których znasz”.

– Dokładnie tak – zgodził się McNamara. – Niech wspierają lokalne interesy, a nie jakiegoś drania z magazynem gdzieś w stanie Waszyngton.

– W stanie Waszyngton! – Marlow nie dowierzał.

– Mają tam dużo niższe ceny – potwierdził pan Reed. – I dostarczają tutaj, do miasta. Widziałem przed pocztą kolejkę ludzi do odbioru paczek.

– Irytujące – stwierdził McNamara.

– Daleko jeszcze do tych cholernych łowców wilków?

Joab aż podskoczył na siedzeniu kierowcy. Nie odpowiedział, bo to nie było pytanie. To była pretensja. A lepiej siedzieć cicho przy bogaczu, który jest rozdrażniony. Byli już zresztą niedaleko.

Gdyby Joab mógł sobie czegoś życzyć, to tylko tego, by mieć przy sobie brata. Czułby się dużo bezpieczniej, gdyby na przednim siedzeniu był koło niego Delmus. Ale on musi dojść do zdrowia. Musi wrócić do pracy na ranchu. Mogliby za wspólnie zaoszczędzone pieniądze kupić dla nich obu jakąś działkę ziemi. Może Joab dostałby pożyczkę, gdyby pan Reed zaręczył za niego w banku? Delmus niedługo będzie pełnoletni, będzie mógł wtedy zgodnie z prawem się osiedlić. Tak właśnie Joab rozmyślał, kiedy jechał drogą, a na niebie zachodziło słońce. Zupełnie jak jego matka, która zawsze planowała, jak wygrać z najlepszymi.

\*\*\*

Nazwać Rocky Point miasteczkiem łowców wilków byłoby przesadą. Byli tam łowcy wilków, ale żadnego miasteczka nie było. Najwyżej pięć rozpadających się chat i studnia z wodą niezdatną do picia. Nikt nie przyjeżdżał tu dla wygód. Największą zaletą tego miejsca było to, że leżało daleko od ludzkich siedzib. Właśnie dlatego pani Mudge je wybrała. Było ukryte w górach, a gdy padały deszcze, grząska ziemia prawie odcinała Rocky Point od świata. Szpotawe błocko, tak mówili łowcy wilków. Człowieka mogła ścigać cała armia, a konie i tak ugrzęzłyby w błocie na amen.

Cóż, łowcom wilków nie przyszło do głowy, że będą istnieć takie pojazdy jak maxwell – powolne, ale nieustępliwe jak czołg.

Trzydzieści lat wcześniej Rocky Point było schronieniem legendarnych koniokradów jak Red Mike i Brocky Gallagher, ale do roku 1915 dawno

obniżyła się już ranga ukrywających się tam bandytów. Joab, pan Reed, McNamara i Marlow zastali tam trzech starszych ludzi, którzy bez przekonania akurat wypalali dwóm koniom nowe piętno w miejscu starego. Szło im to bardzo powoli, bo wszyscy trzej byli pijani.

– Dobry wieczór panom – przywitał się pan Reed. – Przyjechaliśmy w imieniu zaniepokojonych mieszkańców pobliskiego Big Sandy.

Zbiry nawet nie próbowały uciekać.

Istnieje taki rodzaj ludzi, którzy zawsze czekają na najgorsze, którzy od urodzenia znoszą cierpienia, kiedy więc spotyka ich coś złego, nie są zaskoczeni. Joab był tego świadkiem, kiedy jego matka i bracia mierzyli z broni do swoich ofiar. Opór stawiało dużo mniej ludzi, niż można się było spodziewać. To właśnie dlatego Joab postrzelił Grace Price. Bo był taki zaskoczony, kiedy się na niego rzuciła. Zaatakowała go w chacie, a on pociągnął za spust. Nawet nie zdawał sobie sprawy, że strzelił, aż kobieta upadła. Wtedy wyszedł za próg i powiedział reszcie, że musiał ją zabić. Byli zbyt zajęci włamywaniem się do tej drugiej chaty na siedlisku, żeby odpowiedzieć mu inaczej niż kiwnięciem głowy.

– Wiedzą panowie, co teraz będzie – zwrócił się pan Reed do bandytów.

Nie stawiali oporu, ale McNamara i Marlow postawili na ziemi swoje worki i wyciągnęli rewolwery. Sprawiali wrażenie zmęczonych, ale trudno stwierdzić, czy rzeczywiście tacy byli.

Reed polecił Joabowi odebrać łowcom wilków broń, ale żaden z nich nie miał nawet jednej sztuki. Może zostawili rewolwery w chatach, a może nie stać ich było na ich posiadanie? Nie spodziewali się oddziału pościgowego w środku nocy. Myśleli, że w swoim schronieniu w górach są bezpieczni.

Tuż obok, niecałe dziesięć jardów dalej, stała chata, w której wcześniej zamieszkał Joab z rodziną i do której sprowadzali zwierzęta gospodarskie uprowadzane z obejść.

– Ja cię znam.

Joab usłyszał ten niewyraźny szept. Mamrotał do niego ostatni w szeregu łowca wilków, gdy Joab go przeszukiwał. Twarz zbira prawie się nie poruszała, gdy mówił, usta zasłaniała gęsta broda. Bandyta nie był od Joaba potężniejszej postury, ale był starszy od niego o jakieś czterdzieści lat.

– Twoja mama zapłaciła mi całego dolara za przyniesienie pitnej wody z gór.

Te słowa również padły bardzo cicho, łowca wilków praktycznie wyszeptał je Joabowi na ucho.

Joab cofnął się, przyjrzał się bandycie, nie przypominał sobie jednak jego twarzy. Ale czemu miałyby pamiętać takich ludzi?

Łowca wilków się uśmiechnął.

– Gdzie twoja opaska na oczy?

Joab niemal się przewrócił.

– Mówimy o sobie „Komitet Straży Obywatelskiej” – powiedział pan Reed, podchodząc bliżej do bandytów, co znaczyło, że stanął teraz obok swojego szofera.

– Przyjrzyj się tym trzem – powiedział Reed do Joaba. – Tacy ludzie kradną od urodzenia i będą kradli aż do śmierci.

Pan Reed nachylił się do ucha swojego kierowcy.

– To byli ci? – zapytał go szeptem. – To oni zabili ci ukochaną matkę? Zabili ci braci?

Łowca wilków nie słyszał, a może nie słuchał. Wyglądał, jakby się całkiem poddał, aż Joabowi zrobiło się niedobrze na ten widok.

– Tak – odparł. – To byli on i jego kompani.

Marlow podszedł do koni, które sprawiały wrażenie równie potulnych jak trójka bandytów. Szkapę były stare, niedożywione. Marlow przyjrzał się wypalonemu piętnu.

– To nawet nie są pańskie konie, Jack – roześmiał się.

– No proszę! – Pan Reed również odpowiedział śmiechem, ale żaden z nich nie śmiał się przyjaźnie. Ich rechot brzmiał trochę jak wołanie hieny, które wydaje się śmiechem, póki jej szczęki nie zacisną się na czyimś gardle.

– Powiedzieć coś panu? – odezwał się stary łowca wilków.

Tym razem zwracał się do pana Reeda, nie do Joaba. Ale pan Reed go nie słuchał. Sam bowiem przed chwilą mówił, a ludzie tacy jak on nie znoszą, gdy ktoś im przerywa.

– Wiem, że niełatwo ci było cokolwiek w życiu osiągnąć – szeptał dalej do Joaba – ale ja też zdobyłem wszystko, co posiadam, bynajmniej nie dlatego, że inni mi pomagali.

McNamara podniósł leżący u jego stóp worek. Joab zobaczył teraz, co ze sobą przywieźli i jakie mieli zamiary od samego początku. Z worka wysunął się kawał sznura i upadł na ziemię zbyt miękko jak na to, do czego miał posłużyć.

Pan Reed podał rewolwer Joabowi. Marlow ze swojego worka wyjął drugą linę.

– Powiedzieć coś panu? – ponownie zapytał stary bandyta, tym razem głośniej. Popatrzył na pana Reeda, potem na Joaba i znowu na pana Reeda.

Joab poczuł, że trzymany przez niego rewolwer nagle staje się lekki. Spodziewałby się u siebie raczej odwrotnej reakcji, ale desperacja wyparła w nim wszelką słabość. Znajomi pana Reeda przywieźli dwa sznury, żeby rozprawić się z łowcami wilków z Rocky Point. Jak się zachowają, kiedy dowiedzą się, że on też był koniokrادم? Uniósł rewolwer i wymierzył w głowę bandyty.

– Ten chłopak to...

W ułamku chwili, z hukiem głośniejszym niż grzmot, szczeka bandyty jakby wypadła ze stawu z jednej strony twarzy. Raczej pękła, niż się strzaśkała, a on sam podskoczył, zatoczył się w lewo i padł na zimną ziemię, ciężko chwyając powietrze. Kolejne trzy krótkie oddechy były ostatnimi tchnieniami, jakie wydał.

– Joab!

Pan Reed wołał do niego. To powinno wystarczyć, by chłopak odwrócił się do swojego pracodawcy, ale Joab Mudge patrzył jak zaczarowany na strumień krwi wyciekającej z rany leżącego człowieka.

– Joab.

Dłoń pana Reeda stanowczym gestem zmusiła go, by opuścił rewolwer. Druga dłoń delikatnie spoczęła na ramieniu chłopca.

– Nie w ten sposób – powiedział pan Reed tonem, który zaskoczył Joaba. Nie zagniewanym, a niemal uspokajającym.

Joab oderwał wzrok od ciała łowcy wilków. Ale nie patrzył na pana Reeda, tylko wyżej, na górskie szczyty.

– Pewnie mnie pan teraz wyleje z pracy? – zapytał.

– Nie! – odparł pan Reed ze śmiechem. Obrócił Joaba tak, by chłopak zobaczył resztę sceny.

Dwaj pozostali łowcy wilków stali w takich samych pozach jak wcześniej, tyle że teraz każdy miał na szyi pętlę ze sznura.

– Załatwiamy sprawy w ustalony sposób. Naboje kosztują, a stryczek jest za darmo.

McNamara i Marlow zaprowadzili obu bandytów do drzew. Były suche, równie martwe jak obaj skazańcy mieli być już niedługo. McNamara i Marlow zarzucili sznury na gałęzie. Koniec każdej liny zawiązany był w spory węzeł. To za niego mieli ciągnąć.

Pan Reed trzymał Joaba przy sobie.

– W Big Sandy nazywamy się „Komitetem Straży Obywatelskiej” – powiedział. – Ale tacy złodzieje znają nas pod inną nazwą. Prawda?

– Dusiciele.

Powiedział to jeden z bandytów, ale Joab nie zorientował się, który.

McNamara i Marlow zaczęli bić brawo.

– Dokładnie tak – zgodził się pan Reed.

Marlow pociągnął za sznur i mężczyzna uniósł się nad ziemię, jakby wstępował do nieba. Potem razem z Marlowem natężył się McNamara i podnieśli bandytę jeszcze wyżej.

Ale kiedy skazaniec zawisł na sznurze, Joab widział już nie jego. Widział własną matkę z pętlą na szyi. To jego matka na sznurze podrygiwała, szarpała się i krztusiła. Poczul nagły przymus, by ją odciąć, ocalić jej życie. Ale już dawno przegapił tę szansę, prawda?

Pan Reed nachylił się teraz do Joaba i ścisnął mu ramię.

– Możesz być pewien, że nie jesteś sam. Przeżyłeś zgrozę, straciłeś najbliższą ci osobę, ale jesteś teraz z nami, Joabie, a my jesteśmy z tobą. Od dzisiaj jesteś Dusicielem.

McNamara i Marlow puścili linę i ciało upadło na ziemię. Martwe.

– Amen – powiedzieli.

We dwóch chwycili drugi sznur. Gestem zaprosili Joaba, by się do nich przyłączył. Pana Reeda też. Joab stanął u ich boku. Chwycił linę. Ich dłonie prawie dotykały jego dłoni i Joab mógł udawać, że to jego trzech bracia, chłopcy Mudge, znowu razem. Drużyna. Rodzina.

„Jesteś z nami, Joabie, a my jesteśmy z tobą”.

Powiesili tego drugiego i tak go zostawili.

Miał wisieć, dopóki sznur nie przegnije.

## 44

– Dziękuję, że nas pani przyjęła.

Pani Reed zbyła podziękowania lekceważącym gestem, ale Grace podejrzewała, że ta zamożna kobieta chciała je usłyszeć, że potrzebowała tych słów. Nikt nie prowadzi spotkań w operze przed pełną widownią, jeśli nie lubi celebry i uwagi.

– Proszę spocząć – zaprosiła Grace pani Reed.

Znajdowały się w salonie rezydencji Reedów. Dwupiętrowy dom stał tuż obok opery. Obydwa gmachy sprawiały wrażenie przywiezionych z innej

krainy, o liczbie mieszkańców znacznie wyższej niż trzycyfrowa.

Grace i Sam usiedli na sofie, która kosztowała więcej, niż wszystko, co sami posiadali. To jednak nie onieśmieliło Grace, przeciwnie – dodało jej odwagi. Oto miała przed sobą kobietę na tyle zamożną, by mogła w pojedynkę zostać fundatorką programu szkolnego. Cena stojącego tuż obok podnóżka prawdopodobnie pokryłaby każdemu dziecku w wieku szkolnym z okręgu Chouteau koszt przyborów do nauki na sto pięćdziesiąt jeden dni. W tym podnóżku krył się cały rok szkoły.

– Pracowite Pszczółki przygotowały wczoraj wspaniały pokaz poparcia dla pani Sterling. – Grace powiedziała te słowa tak, jak ćwiczyła je wcześniej w myślach, uśmiechając się raczej swobodnie niż nadgorliwie. – Ludzie mówią o tym w całym mieście.

– Wspieramy kobiety z ambicjami.

Pani Reed siedziała naprzeciwko Grace i Sama na wysokim tapicerowanym krześle z miękkimi podłokietnikami. Tuż obok stał fotel, na którym wolno było siadać wyłącznie panu Reedowi. Stały tam też cztery inne fotele. W sumie siedem, pełen komplet.

Sam miał gdzieś tę sztukę rozmowy, wyjął więc swoją kopertkę z wycinkami prasowymi.

– O tej porze dnia – powiedziała pani Reed, wzdychając – marzę już, żeby zdjąć te trzewiki.

Grace zaśmiała się, co było pierwszą szczerą oznaką emocji, odkąd przekroczyła próg tego domu. Pani Reed teraz uśmiechała się do niej inaczej, nadal jako gospodyni, ale może już bez maski. Należy jednak zaznaczyć, że pani Reed nie zdjęła trzewików. Jedynie wspomniała, że ma na to ochotę, co i tak było z jej strony najśmielszym krokiem ku rozebraniu się przed kimkolwiek innym niż jej mąż.

– O czym tak naprawdę będziemy rozmawiać, pani Price? Z pewnością nie poprosiła pani o spotkanie tylko po to, żeby posiedzieć razem w salonie.

– Mama przyszła prosić panią o pieniądze – odezwał się Sam, nie odrywając wzroku od gazetowych wycinków.

Grace uniosła rękę i dała synowi klapsa w kolano. Nie patrzyła jednak, gdzie dokładnie uderza, więc klaps okazał się dużo łagodniejszy, niż kiedy byliby sami. Poza tym trzepnęła go lewą ręką, bo w prawej dłoni nocami czuła pulsujący ból. Dłoń bolała ją co noc aż do rana, i Grace nie знаła na to sposobu.

Ale pani Reed nie przyjęła słów Sama z dezaprobatą. Wręcz przeciwnie, roześmiała się tak głośno, że nawet on podniósł wzrok.

– Uwielbiam dzieci – powiedziała pani Reed. Patrzyła teraz prosto na Sama. – Szczególnie te szczerze.

Sama nie obchodziły jednak takie komplementy. Powrócił do swoich wycinków.

– A cóż takiego aż tak cię pochłania? – zapytała pani Reed.

Sam nie odpowiadał. Właśnie dlatego, że był pochłonięty. Grace musiała lekko dotknąć dłonią jego czoła, zanim spojrzał na matkę. Pani Reed powtórzyła pytanie.

Sam podniósł jeden z artykułów i przeczytał nagłówek:

– „Marynarz, robotnik budowlany i akrobata w jednej osobie”.

Odwrócił trzymaną kartkę w stronę pani Reed, która nachyliła się bliżej, żeby przyjrzeć się zdjęciu. Fotografia przedstawiała pole, na którym zebrał się tłum, aby przyglądać się, jak jakiś człowiek balansuje na czubku słupa 150 stóp nad ziemią.

– To Mons De Carno – wyjaśnił Sam. – Największy akrobata-słupnik na świecie.

Pani Reed aż klasnęła.

– Jest taki zawód?

Teraz, kiedy nareszcie mówili o ważnych sprawach, Sama zainteresowała rozmowa.

– Jest marynarzem, robotnikiem budowlanym i akrobatą w jednej osobie. O tym mówi nagłówek.

– Szalenie zaskakujące – oceniła pani Reed. – Przedziwne – dodała bez cienia kpiny.

– Tutaj są opisane dużo dziwniejsze rzeczy – odparł Sam. – Mógłbym pani opowiedzieć.

Grace już była gotowa Sama upomnieć. Jego słowa można było odczytać jako zarozumiałstwo. Czasem Sam właśnie takiego tonu używał w rozmowie. Może częściowo z tego powodu nie miał przyjaciół, chociaż nie kierowały nim złe intencje. Grace wiedziała jednak, że nie tylko dlatego inne dzieci w Big Sandy nie zbliżają się do jej syna.

– Opisz mi zatem jedną taką rzecz – poprosiła pani Reed wesoło. – Jeszcze dziwniejszą niż ten akrobata-słupnik.

– Pani Henry przywiozła do Montany potwora – powiedział Sam, a zaraz potem opuścił wzrok i zajął się kolejnym wycinkiem. Zupełnie jakby

mówił, że spadł śnieg, tak od niechcienia to zabrzmiało.

Grace naprawdę chciała ścisnąć go mocno za kolano, żeby zamilkł.

Ale pani Reed zareagowała dokładnie tak, jak Sam przewidywał – tylko się uśmiechnęła.

– Widziałam dzisiaj panią Henry. – Pani Reed spojrzała na Grace. – Nie było przy niej żadnego potwora.

Grace roześmiała się cicho.

– Oczywiście, że nie.

Sam wyburczał pod nosem:

– Dobrze, zrobiłem, co mogłem.

Pani Reed raptem podniosła się z krzesła, gestem dając im znać, by poczekali. Wyszła z salonu, a potem z oddali słychać było, jak pobrzękują naczynia w kuchni. Grace spojrzała na Sama.

– Potwora? – wyszeptała, głęboko zażenowana fantazjami syna.

Sam siedział ze wzrokiem wbitym w treść artykułu. Grace odczytała to jako znak, że odebrał burę, ale Sam tylko wpatrywał się z podziwem w zdjęcie akrobaty. Zastanawiał się, czy sam kiedyś mógłby takim zostać, gdy dorośnie. Na razie jednak z trudem potrafił usiedzieć bez ruchu. Między innymi dlatego tak lubił swoje wycinki z gazet. Kiedy go coś pochłaniało, skupiał na tym całą swoją uwagę, a umiejętności koncentracji mogłaby mu pozazdrościć niejedna dorosła osoba. W innych okolicznościach jednak nieustannie wiercił się i podrygiwał.

– Przyszło mi do głowy, że pani i Sam muszą być głodni – powiedziała pani Reed. Zwracała się bardziej do Sama niż do jego mamy.

Postawiła na stoliku tacę. Stał na niej talerz z chlebowym plackiem zwanym „bannock”, a obok dwie miseczki. W jednej było masło, a w drugiej dżem jagodowy.

– Placek jest jeszcze ciepły – zapewniła pani Reed. – Pan Cardinal piecze go dla mnie za każdym razem, kiedy odwiedza Big Sandy. Właśnie próbuję go nakłonić, by zagrał na skrzypcach w operze. Metysi grają na swój sposób. Bardzo natchniony.

Zanim Sam sięgnął po kawałek placka, spojrzał na matkę. Grace uśmiechnęła się z ulgą. Chciała, żeby pani Reed zobaczyła, jakich dobrych nauczyła go manier, szczególnie po tym, co powiedział kilka minut temu. Kiwnęła więc głową, a wtedy Sam zaczął jeść. Pani Reed zwróciła się do Grace.



– Wiem, że jest pani nauczycielką, droga pani. To dziecko jest doskonałym dowodem pani umiejętności.

To wiele dla Grace znaczyło. Mogłaby zliczyć więcej dni, kiedy życie na równinach było łatwe, niż usłyszanym komplementów za wypełnianie roli matki.

– Bardzo mi miło, że pani tak uważa.

Pani Reed wstała i podeszła do nich obojga. Na sofie było miejsce dla trzech osób. Pani Reed usiadła z drugiej strony Sama. Chyba trochę go złościło, że musi się przesunąć, ale zrobił pani Reed miejsce.

– Chce pani otworzyć szkołę i zacząć uczyć – powiedziała pani Reed. – Ale potrzebuje pani pomocy.

– Z pewnością pociąga to za sobą koszty – odparła Grace. – Ale chodzi też o odpowiednie miejsce. Dzieci chyba nie lubiły przyjeżdżać do naszej szkółki.

Pani Reed siedziała tak blisko, że musiała trzymać prawą rękę tuż przy sobie, inaczej jej łokieć wbijałby się Samowi w policzek. Podniosła więc rękę i położyła ją na oparciu sofy, tuż nad ramieniem Sama.

– Ich rodzice mieli pewne *zastrzeżenia*, czy tak?

Grace milczała chwilę, zanim odpowiedziała:

– Tak.

– A rozumie pani ich... obawy?

Czyli się zaczęło. Jakie miało znaczenie, co odpowie? Grace chciała uczyć i byłaby w tym lepsza niż ktokolwiek inny w mieście, włączając rodziców tych dzieci. Ale to nie wystarczało, prawda? Grace rozumiała, że to, co teraz powie, będzie miało ogromne znaczenie, ponieważ pani Reed właśnie rozważała, czy powinna wraz z Pracowitymi Pszczółkami zaoferować jej wsparcie. Proszę, czego dokonały dla pani Sterling!

– Rozumiem, że mogą się nie zgadzać z niektórymi moimi wyborami – zaczęła Grace.

Dłoń pani Reed spoczęła na ramieniu Sama i poklepywała go delikatnie. Nie był to jednak gest ciepły, przynajmniej nie wyłącznie. Rościł sobie również pewne prawo własności.

– Na przykład – powiedziała pani Reed – gdybym miała zaoferować wsparcie temu dziecku... być może pomóc zmienić to, jak się *prezentuje*...

Pani Reed się uśmiechnęła. Proszę bardzo, oto propozycja, umowa, której warunki Grace musi spełnić, jeśli chce zostać przyjęta, zaakceptowana.

Jakby w odpowiedzi, Grace wyrznęła panią Reed w policzek.

Zrobiła to bolącą ręką. Tą postrzeloną, która co noc pulsowała bólem, a mimo to Grace teraz wcale bólu nie czuła.

Wstała i nachyliła się groźnie nad panią Reed. Być może po raz pierwszy w życiu ta bogaczka poczuła się mała.

– Zabieraj, kurwa, łapska od mojego syna – powiedziała.

To na pewno przykuło uwagę Sama. Już na wymierzony policzek ode-  
rwał się od wycinków, ale przekleństwo w ustach matki wprowadziło go  
w osłupienie.

– Wstawaj, Sam.

Sam się podniósł.

– Wychodzimy.

Pani Reed siedziała w salonie, zbyt oszołomiona, by cokolwiek powie-  
dzieć. Patrzyła, jak Grace i Sam zbierają się do wyjścia. Wyszli z salonu.  
Dopiero, gdy usłyszała, jak otwierają drzwi frontowe, odzyskała nad sobą  
panowanie i pośpieszyła do hallu.

– Zamierzałam dać wam pokój na noc! – krzyknęła pani Reed za Grace.

– Kiedy poprosiła pani o spotkanie, zakładałam, że nareszcie pojęła pani,  
jak się rzeczy mają.

Grace otworzyła drzwi. Stała z Samem w przedpokoju, włożyli już  
płaszczki, nakrycia głowy, owinęli się szalami. Pani Reed poczuła podmuch  
mroźnego powietrza wpadającego do wnętrza, ale postanowiła, że nie  
będzie drżeć z zimna. Jej twarz nadal paliła ją po spoliczkowaniu.

– Zamknęła pani drzwi, które już nigdy się przed panią nie otworzą, pani  
Price.

Grace położyła dłoń na ramieniu Sama.

– Słyszałam, że kiedyś urodziła pani dziecko, ale nie przeżyło.

Pani Reed patrzyła na nią równie wstrząśnięta tymi słowami, jak wcze-  
śniej uderzeniem w policzek. Nie mogła uwierzyć, że krążą o niej podobne  
historie, a ona nie ma na to wpływu. W dodatku to była prawda. Grace  
widziała to na jej twarzy.

– Mówię do pani jako matka – powiedziała Grace. – Mówię jak matka  
matce. Jeśli prosi mnie pani, żebym wybrała między moim dzieckiem  
a pani aprobatą, zawsze wybiorę syna.

I tyle zostało z całego planu. Grace i Sam wyszli, a chłopiec zaczął  
wypytywać mamę, dlaczego napadła na panią Reed. Grace odparła, że mu  
wyjaśni, kiedy będzie starszy. Rozsądnie byłoby po prostu wrócić konno do  
siedliska, ale nie miała na to siły, nie w taki wieczór. Zaproponowała więc,

aby przenocowali w hotelu Gregson Springs. Oznaczało to, że wyda całą sumę, jaką miała przy sobie, czyli wszystkie pieniądze, jakie w ogóle posiadała. Ale i tak zatrzymali się w hotelu. Grace stać było tylko na pokój z jednym łóżkiem. Dobrze i to. Jakoś sobie poradzą.

W innym miejscu Montany Joab prowadził auto, wracając z pozostałymi Dusicielami z gór Bear Paw.

Adelaide Henry jechała konno do domu, a obok śpiesznie szła jej matka. Duch Eleanor zostawił córkę w spokoju dopiero, kiedy po dotarciu do domu Adelaide zaparzyła herbaty i poszła spać.

A po równinach biegły dwa stare, wychudzone konie, posłane z Rocky Point. Nie były wierzchowcami pana Reeda i sprawiały wrażenie, że nie przetrwają drogi do jego stajni. Pan Reed klepnął każdego w zad i zostawił je na pastwę losu. Demon znalazł je na równinach, ale ich nie pożarł. Minął je w locie.

Tej nocy szukał czegoś innego.

## 45

*Góry.*

*Dom na tyle wysoko, by się ukryć,  
może nawet sny tak wysoko nie dotrą?*

*Wspięło się na górę, wyżej niż linia drzew.  
Światło nieopodal. Dom. Mały, ale niepusty.  
W środku zapach ludzi.  
Nie zważaj na nich. Wchodź wyżej. Wyżej.*

*Blisko szczytu, pod okiem księżyca.  
Mrok i cisza. Grota.  
Żadnych woni w środku, ani ludzi, ani zwierząt.  
Tam zamieszkaj. Tak wysoko nikt cię nie znajdzie.*

*Chcesz, żeby ci poczytać, zaśpiewać?  
Nie. Nie chcę.  
Na zewnątrz zaczyna wschodzić słońce.  
Najlepiej leżeć w ciemnościach.*

## 46

Pierwszy duży śnieg spadł trzynastego listopada, pięć dni po urodzinach Adelaide, których nie obchodziła. Spadły dwadzieścia dwa cale, zanim w końcu przestało sypać. Niedługo potem mróz pochłonął pierwszą ofiarę.

Franc Baluca, trzyletni chłopiec, wstał w nocy z łóżka i próbował sam pójść do wychodka. Był zbyt śpiący, żeby zdać sobie sprawę, że warstwa śniegu sięgała mu czubka głowy. Rano ojciec znalazł go w połowie drogi między studnią a domem. Chłopczyk miał na sobie tylko nocną koszulę. Na śniegu była krew, efekt uboczny walki o przetrwanie na mrozie. Tak uważali jego rodzice. Nie będą go mogli pochować aż do wiosennych roztopów.

Dwa dni później „Mountaineer” doniósł, że tego listopadowego dnia, kiedy spadł śnieg, do Big Sandy przyjechała nauczycielka. Woźnica, pan Oskar Olsen, pośpieszył zawieźć ją do jej chaty, pomimo złej pogody. Kobieta za wszelką cenę chciała dotrzeć do swojego siedliska. Gdy pan Olsen zostawił ją w jej nowym domu, zaczęła rozpakowywać rzeczy. Przyjechała sąsiadka, usłyszawszy o nowej mieszkance, ale zastała chatę pustą. Drzwi wejściowe wyglądały, jakby coś je rozerwało na pół.

Potem znaleziono Carla Gundersona, prawie zamarzniętego na śmierć. Koń zrzucił go z grzbietu i Carl niemal umarł na mrozie. Po koniu nie było ani śladu. Nie zostawił nawet odcisków kopyt, które by wskazywały, dokąd pobiegł. Gunderson mówił, że koń odleciał. Dosłownie. Miejscowy lekarz zdiagnozował u niego zatrucie trupim jadem oraz ciężkie upojenie alkoholem.

W listopadzie tego roku podobne historie zdarzały się całkiem często, pisano o nich w gazetach, rozprawiano w kościele i w restauracjach. „Pech”, tak to tutaj nazywano – i owszem, ta ziemia bywa bezwzględna. Ale po piątej, po siódmej ofierze śmiertelnej w ciągu jednego tygodnia pech jakoś już nie wyjaśniał wszystkiego. Na Big Sandy spadło widmo zguby, okrywając wszystko swoim całunem podobnie jak śnieg.

## 47

Fiona Wong nie potrafiła znaleźć grobu ojca.

Szukała bez powodzenia już trzeci rok.

– Gdybym wiedziała, że pani szkapa będzie się tak wlokła, zaproponowałabym, żeby wsiadła pani na konia Bertie – stwierdziła.

Adelaide Henry poczuła się urażona w imieniu konia. Dłonią w rękawiczce poklepała go po grzywie, jakby chciała go tym gestem uspokoić.

– To prawda, Abdiasz się nie śpieszy – przyznała. – Ale twarda z niego sztuka.

To był żart, ale Fiona nie słuchała.

Tysiąc dziewięćdziesiąt trzy dni.

Już tak długo Fiona szukała.

Tym razem w Glendale, w Montanie. Dwa dni drogi od Big Sandy i to wcale nie było najdalej, dokąd się zapuściła na poszukiwania ojca.

– Dlaczego pani Brown z panią nie pojechała? – zapytała Adelaide.

– Jest już zmęczona tymi wyprawami – odparła Fiona. – Towarzyszyła mi na zbyt wielu.

Glendale. W 1875 roku miasto wyrosło wokół czterdziestotonowego pieca hutniczego, nad potokiem Trapper. Kopalnie przyciągnęły mężczyzn. Wszyscy przyjeżdżali do pracy w Połączonej Kompanii Górniczej Hecla. W 1880 roku mieszkało tu około dwóch tysięcy ludzi.

Ale do 1900 roku kopalnie już zamknięto, a miejscowość się skurczyła. Śmierć przemysłu zabiła również miasto. Z hutniczego pieca zostały tylko fundamenty, które już zaczynała przejmować z powrotem sama ziemia. Gdy zniknęły kopalnie, jedyną robotą, jaka jeszcze została w Glendale, była praca przy odzyskiwaniu resztek rudy z olbrzymich hałd żużlu pozostałych po wytopie w wielkim piecu. Ale i to nie utrzymało się długo.

Miasta umierały tu tak samo, jak wszystkie stworzenia. Puste skorupy, zostawione, by niszczały i obróciły się w proch. Adelaide i Fiona jechały zatem do miejsca, które *kiedyś* było Glendale. Adelaide wspominała noc spędzoną w starym hotelu. Pan Olsen powiedział jej wtedy, że dawniej stało tam całe miasto. Ale ziemia zabrała je z powrotem.

– Bertie podsunęła pomysł, żebym się tu wybrała, bo tylko siedziałam i trzęsła mną wściekłość – powiedziała Fiona. – Taka jest prawda. Widziała mnie pani wczoraj przy kolacji. Obawiam się, że nie byłam zbyt towarzyska. Hotel Gregson Springs przysłał mi wczoraj rano wiadomość, że nie będą już zlecać mi prania. Postanowili odtąd korzystać z usług pralni elektrycznej pani Sterling.

Fiona obróciła się przez ramię, by spojrzeć na Adelaide. Była od niej o stopę niższa, ale miały podobną budowę. Szerokie plecy i ramiona.

– Ale teraz musi mi pani powiedzieć, pani Henry, dlaczego chciała pani ze mną jechać.

Adelaide odwróciła wzrok. Nie uszły jej uwagi śmiertelne przypadki z zeszłego tygodnia. Obawiała się, że wypuściła na miasto jakąś piekielną moc. Że to jej przekleństwo, jej potwór porywał ludzi z Big Sandy. Nie miała jednak pewności. Koniec, jaki spotkał większość z tych ofiar, był strasznym, ale względnie częstym rodzajem śmierci, jaka przychodzi na ludzi na tej bezlitosnej ziemi.

– Kiedy jestem sama – odparła Adelaide – za dużo myślę. Dlatego zaproponowałam, że z panią pojedę.

\*\*\*

Pięć mili od Glendale minęli piętnaście pieców na węgiel drzewny. Każdy był postawiony z czerwonej cegły, wysoki na dwadzieścia stóp i podobnie szeroki. Wyglądały jak ule jakichś gigantycznych pszczoł. Piece sprawiały tym bardziej niesamowite wrażenie, że w żadnym już przynajmniej od roku nie płonął ogień.

– Poza tym wolałam, żeby nie musiała pani pokonywać tych równin zupełnie sama – dodała Adelaide.

Glendale w pewnym momencie miało nawet więcej mieszkańców niż Big Sandy, ale było miastem do zatrzymania się na jakiś czas, nie do osiedlenia na stałe. Adelaide dostrzegała, co odróżniało to miejsce od Big Sandy: dużo saloonów, żadnej opery.

Miasto biegło wzdłuż jedynej ulicy, która zakręcała w górę, prowadząc z tej niewielkiej doliny ku otaczającym ją wzgórzom. Z toru wyścigowego już prawie nic nie zostało. Sklepy były pozabijane deskami. Śnieżyca spadła na Glendale z dużo mniejszą mocą niż na Big Sandy, oddalone stąd o dwa dni drogi na północ. Tutaj nie leżała nawet stopa śniegu. Jak na te rejony Montany, ledwo poproszyło.

– Pani ojciec był górnikiem? – zapytała Adelaide. – Dlatego tu przybył?

– Prowadził pralnię w Helenie – odparła cicho Fiona, rozglądając się uważnie na wszystkie strony, jakby miała nadzieję, że gdzieś zauważy ojca. – Kiedy jeszcze mieszkał z nami. Ale kilka kobiet w mieście podniosło protest przeciw chińskim pralniom. Kiedy się urodziłam, w Helenie chińskich pralni działało siedemnaście. A zanim nauczyłam się chodzić, były już tylko trzy.

Adelaide też obserwowała obie strony ulicy, ale nie szukała ojca Fiony. Bała się dzikich psów. Albo równie zdziczałych mężczyzn.

– Moja rodzina nie wybrała doliny Lucerne – powiedziała. – Władze nie miały dla nas innej propozycji na założenie farmy. Murzyńscy farmerzy dostawali najgorszą ziemię i starali się wycisnąć z niej tyle, ile się tylko dało.

– I jak wam szło? – zapytała Fiona, popuszczając cugle i zerkając do wnętrza jednego z saloonów. Ze środka dobiegały ciche głosy.

– Dawaliśmy sobie radę, przez jakiś czas – odparła Adelaide, zaskoczona nowym uczuciem, uciskiem w gardle.

Fiona zsiadła z konia, a Adelaide za nią. Podprowadziły zwierzęta do saloonu i uwiązały je na zewnątrz. Abdiasz parsknął dwa razy i Adelaide bez zastanowienia wyjęła z torby trochę buraków cukrowych. Odkryła, że Abdiasz je uwielbia. Pomogły jej nieco go utuczyć.

– Zabiera pani ze sobą broń? – zapytała Fionę Adelaide.

Fiona się uśmiechnęła.

– Potrzebuję tylko tego.

Fiona pokazała jej czarną parasolkę, schowaną obok juków.

– A po co to? – zapytała Adelaide.

– Odkryłam ten sposób jakiś czas temu – wyjaśniła Fiona. – Niech mi pani wierzy, to lepsze niż broń.

– Może i ma pani rację – odparła Adelaide – ale ja i tak biorę ze sobą rewolwer.

\*\*\*

Bardziej właściwe dla tego miejsca byłoby określenie „melina”. Mówienie o „prowadzeniu tu interesu” byłoby obrażą dla ludzi interesu. Sam bar przestał istnieć ponad dziesięć lat temu. Została z niego tylko długa żelazna rura, na której górnicy dawniej opierali buty, kiedy nachylali się, by głośno zamawiać napoje. Na ścianie za barem wisiało kiedyś lustro, ale pękło i strzaskane leżało na ziemi. Jedynym dowodem na to, że dawniej działał tu saloon, były refleksy na deskach podłogi. Kiedy Adelaide i Fiona weszły do środka, odłamki szkła odbiły światło dnia i przez chwilę wydawało się, że cały saloon lśni blaskiem. Adelaide i Fiona aż musiały zasłonić oczy dłońią.

Kiedy opuściły ręce, zobaczyły pięciu mężczyzn, siedzących za jedynym ocalałym w tym przybytku stołem. Mężczyźni podnieśli na nie wzrok i ujrzeli czarną kobietę, wysoką na niemal sześć stóp, oraz Chinę, która trzymała czarną parasolkę.

– Tego bym się nie spodziewał – powiedział jeden.

Pozostali czterej zgodnie pokiwali głowami, ale się nie odezwali.

– Panowie – zwróciła się do nich Fiona. Nie uśmiechała się, mówiła powoli. – Nazywam się Fiona Wong. I szukam grobu ojca.

Wygląd każdego z poranych zmarszczkami, ogorzałych mężczyzn mówił, że życie go nie oszczędzało.

– Spodziewa się pani deszczu? – zapytał ten, który odezwał się pierwszy. Fiona podniosła czarną parasolkę wyżej.

– Kiedy zdejmę wieko trumny, muszę otworzyć parasolkę.

Zapadło długie milczenie. Nawet Adelaide uniosła jedną brew.

– Czemu? – zapytał w końcu jeden.

– Tak robimy – odparła Fiona. – My, Chińczycy. Potem wyjmę jego kości, owinę je żółtą tkaniną i wyślę go do ojczyzny, do Chin.

Mężczyźni milczeli, nie wiedząc, co zrobić z tą informacją. Adelaide zdała sobie sprawę, że żaden z nich nie miał przed sobą szklanki. Na stole nie stała ani jedna butelka. To zaniepokoiło ją bardziej, niż gdyby wszyscy byli zalani w trupa. Po co pięciu mężczyzn miałoby siedzieć w barze, jeśli nie po to, by pić? Zupełnie jakby tylko czekali, aż ktoś wejdzie. Wiedziała, że tak być nie mogło, ale nie potrafiła uspokoić myśli.

I co zamierzali zrobić przygodnej osobie, która wstąpi do środka?

– Ciepło tutaj – stwierdził jeden, patrząc na obie kobiety.

– I robi się coraz goręcej – dodał inny, przyglądając się własnym dłoniom.

– Na wzgórzu jest cmentarz – powiedział w końcu ten pierwszy. – Nie sposób go przeoczyć. – Po czym odsunął się na krześle i wstał zza stołu. To wystarczyło, by Adelaide wyciągnęła colta. *Colta pani Mudge*. Zastanawiała się, do kogo należał, zanim trafił w ręce tej kobiety.

Na widok broni mężczyzna zamarł.

– Chciałem tylko pokazać paniom drogę – powiedział. Wywarłby jednak lepsze wrażenie, gdyby się przy tym uśmiechnął, pewnie fałszywie, ale przynajmniej pokazałby, że się stara.

Pozostali czterej patrzyli teraz na Adelaide inaczej, chłodnym wzrokiem, jakby czuli się urażeni afromentem wobec ich kompana.



Fiona postukała czubkiem parasolki w podłogowe deski.

– Na pewno go znajdę – powiedziała. – Dziękuję uprzejmie i życzę panom wszystkiego dobrego.

Położyła rękę na dłoni Adelaide, mocno napierając i zmuszając ją tym samym do opuszczenia kolta. Popchnęła towarzyszkę przez saloon z powrotem ku drzwiom, wprost na słońce.

Adelaide poczekała, aż Fiona pierwsza dosiądzie konia, podczas gdy ona, mierząc z rewolweru, stała zwrócona w stronę drzwi do saloonu. Gdy już sama wsiadała na Abdiasza, przekazała rewolwer Fionie.

– Nie należy pani do zbyt ufnych osób – zauważyła Fiona z uśmiechem.

– Przeszkadza to pani? – zapytała Adelaide.

– Och, nie – odparła Fiona. – Teraz jeszcze bardziej się cieszę, że mam panią ze sobą.

\*\*\*

– Przynajmniej nie kłamał – stwierdziła Adelaide, kiedy dotarły na szczyt niskiego pagórka. Wjechały konno na cmentarz. Nie uważały, że im nie wypada, bo teren cmentarza i tak był w ruinie.

Glendale oglądane z góry sprawiało wrażenie szkieletu – objedzonego z mięsa, a potem wypalonego przez słońce. Ze wzgórza widziały teraz, że saloon był jedynym zachowanym w całości budynkiem w całym mieście. Innym domom brakowało dachu albo tylnych ścian. Może właśnie dlatego ci mężczyźni siedzieli w barze. Saloon był jedynym schronieniem. Jedynym miejscem, do którego nie wpadał śnieg.

Groby – te które można było rozpoznać jako groby – były rozmieszczone bez żadnego planu. Nie stały w równych rzędach. Łatwo było na któryś nastąpić w poszukiwaniu innego, szczególnie po śnieżycy. I właśnie by temu zapobiec, wiele mogił było ogrodzonych sztachetami albo balustradką z metalu. Adelaide i Fiona zsiadły z koni i chodziły między nagrobkami, prowadząc zwierzęta za sobą.

– Jak się nazywał pani ojciec? – zapytała Adelaide.

– Hum Tong – odpowiedziała Fiona. – Ale to się na nic nie przyda.

Adelaide uklękła tymczasem przy jednej z tablic, obliczając coś w myślach.

– To grób dziecka.

– Ten też – powiedziała Fiona.

– Czemu nazwisko ojca na nic się nie przyda? – zapytała Adelaide, przechodząc do następnej mogiły.

Kolejne dziecko.

– Ojciec wyjechał z Heleny i znalazł pracę w obozach górniczych. Jeździł za górnikami po całej Montanie. Usiłował dla nich pracować, ale oni bardziej potrzebowali kucharza. Został więc kucharzem. Matka nie mogła uwierzyć, że go zatrudnili – mówiła Fiona z łagodnym uśmiechem. – Twierdziła, że był najgorszym kucharzem, jakiego znała. Ale był tani. Dlatego nadawał się do pracy w górniczym mieście.

Fiona i Adelaide przestały szukać wśród grobów i rozglądały się teraz wokół po cmentarzu. Nie był wcale ogromny, wzięwszy pod uwagę, że w mieście mieszkały kiedyś dwa tysiące ludzi.

– Wie pani, jak nazywali mojego ojca? – zapytała Fiona. – Kiedy go najęli do pracy i zapisali jego nazwisko w rejestrze pracowników?

– Nie Hum Tong?

– John Chińczyk.

– Przykro mi – powiedziała Adelaide. – To największy absurd, jaki w życiu słyszałam.

Fiona wbiła czubek parasolki w ziemię.

– Kiedy przenosił się do innej pracy, w innych miastach, rejestrowali go jako Joego Chińczyka. Jedno górnicze miasto potrafiło mieć trzech Joe Chińczyków i dwóch Johnów Chińczyków.

Adelaide rozejrzała się po cmentarzu.

– Nawet gdyby gdzieś tutaj znalazła pani taki grób, wiedziałaby pani, że to właśnie grób pani ojca?

– Tak – odparła Fiona. – Tak.

Minęły trzy nagrobki, wszystkie przechylone, każdy pod innym kątem, ale ani jeden z nich nie stał na grobie Johna Chińczyka.

– Musiała go pani bardzo kochać – powiedziała w końcu Adelaide.

– Nie znałam go. W ogóle go nie pamiętam. Wyjechał zaraz po tym, jak się urodziłam. Nigdy nie widziałam go na własne oczy, a w każdym razie tego nie pamiętam. Mam tylko jego fotografię.

Fiona zatrzymała się i podeszła do juków. Wyjęła zdjęcie chudego mężczyzny w czarnej jedwabnej koszuli z małym kołnierzykiem. Na głowie miał słomkowy kapelusz i nie patrzył w obiektyw, jakby zamierzał zaraz sobie pójść.

– Jest przystojny.

– Prawda? Zawsze tak uważałam – przyznała Fiona.

Przytrzymała zdjęcie jeszcze przez moment, a potem wsunęła je z powrotem do juku.

– Szukałam już w tylu obozach. Mają tam fotografie górników. Robione poza kopalnią, w mieście. Może fotografowała ich kompania? Może jakiś robotnik miał aparat, nie wiem? Ale na ani jednym zdjęciu nie widziałam Chińczyków, którzy pracowali w tych obozach. Jakby w ogóle nie istnieli. Może łatwiej było zapomnieć, że też tu byli, kiedy nie trzeba było na nich patrzeć? Albo może myślano, że tacy ludzie, jak mój ojciec, nie są warci kosztu fotografii?

Adelaide i Fiona omiotły spojrzeniem cmentarz. Fiona miała wrażenie, że Montana ojca po prostu pochłonęła.

– A mogłaby pani dopuścić myśl, żeby... – Adelaide bała się dokończyć.

– Przestać szukać? – zapytała Fiona, patrząc jej w oczy.

– Tak. Przestać.

– Dorastała pani wśród swojej rodziny? – zapytała Fiona. – Wśród wszystkich bliskich?

– Nigdy się od nich nie oddaliłam – westchnęła Adelaide. – Nawet dzisiaj.

Fiona wsunęła parasolkę z powrotem między troki siodła.

– Może łatwiej jest trwać w oddaniu komuś, kogo się nigdy nie poznało? – powiedziała.

Adelaide pokiwała głową. Upór, z jakim Fiona przemierzała całą Montanę w poszukiwaniu jednego grobu, wzmógł w niej jednak własne wyrzuty sumienia.

– Mieszkała pani tylko z rodzicami? – zapytała Fiona. Pytanie nie miało żadnej ukrytej treści, skąd mogłaby wiedzieć? Było to najzwyczajniejsze pytanie na świecie.

Adelaide odwróciła wzrok. W milczeniu dosiadła Abdiasza. Powiedziała już Samowi część prawdy. Czemu nie wyznać Fionie reszty?

Odwróciła się do dziewczyny, która jeszcze nie wsiadła na konia, i wtedy ich zobaczyła: mężczyzn z saloonu, całą piątką stali na skraju cmentarza.

– Ciepło tutaj – krzyknął jeden w ich stronę, patrząc prosto na Adelaide.

– I robi się coraz goręcej – dodał inny, przyglądając się swoim dłoniom.

– Niech pani wsiada na konia – rzuciła Adelaide Fionie. – Już.

– Chcieliśmy się tylko upewnić, że znajdą panie cmentarz – powiedział ten, który dawał im wskazówki.

Wszystkich pięciu weszło na teren cmentarza, rzędem, jeden za drugim.

– Nie znalazłyśmy grobu, którego szukamy – odkrzyknęła Fiona z siodła. – Ale dziękujemy panom.

Cmentarz nie był ogrodzony, więc obie podjechały kłusem do jego skraja. Mężczyzn to nie zniechęciło.

– Nie padało – powiedział czwarty, wskazując na jej schowaną parasolkę.

Piąty, największy, na razie się nie odezwał.

– Ciepło tutaj – powtórzył któryś.

– I robi się coraz goręcej.

– Proszę przestać tak mówić! – krzyknęła Adelaide.

Sięgnęła do juku i wyciągnęła colta, a rząd mężczyzn zmienił kurs jak rzeka, która zmienia bieg. Szli teraz prosto na nią. I po raz pierwszy spłoszony Abdiasz stanął dęba, a ona o mały włos spadłaby z jego grzbietu. Musiała wybrać – albo mocno chwycić się wodzy, albo trzymać rewolwer.

Colt wypadł jej z ręki prosto na ziemię.

Fiona krzyknęła:

– Niech pani jedzie! Już! Naprzód!

Obie spięły konie, a wtedy Abdiasz miło je zaskoczył. Zwinnie puścił się galopem w dół po zboczu, ku drodze wijącej się przez miasto. Fiona galopowała tuż obok z przerażonym, nieprzytomnym wyrazem twarzy.

Choć jechały dużo szybciej, niż oni biegli, były przekonane, że odkryłyby mężczyzn tuż za sobą, gdyby tylko miały odwagę spojrzeć przez ramię. Nie zwolniły, póki nie wyjechały pięć mil za Glendale i nie minęły olbrzymich pieców na węgiel drzewny.

W końcu poluzowały wodze i nie czuły już mrowienia strachu pełzającego po plecach. Patrzyły na drogę, dysząc równie ciężko jak ich konie. Przyglądały się olbrzymim porzuconym piecom, z których każdy złowieszczo przypominał otwarty grób.

Raptem usłyszały bardzo ciche dźwięki, które dziwnym sposobem, jakby niesione wiatrem, dobiegały z porzuconych pieców i unosiły się nad nimi niczym resztki żaru. Głosy.

„Ciepło tutaj”.

„I robi się coraz goręcej”.

Słyszały to.

Obie to słyszały.

Wpatrywały się w porzucone piece. Wydawało się, że w jednym z nich przemknął jakiś cień, a Adelaide mogła przysiąc, że wewnątrz widziała sylwetki. A dokładnie pięć.

\*\*\*

Adelaide Henry i Fiona Wong uciekały stamtąd najszybciej, jak mogły.

Każda uniosła się w siodle, pochyliła do przodu i ściągnęła wodze szybkim, prostym ruchem nadgarstków. Miały przed sobą dwa dni jazdy do Big Sandy. Pognały konie cwałem i nie zatrzymywały ich, aż Glendale w stanie Montana zniknęło im z oczu i z pamięci.

\*\*\*

Jechały w milczeniu chyba całą drogę powrotną. Dziwna aura Glendale nadal niosła się za nimi jak fetor. Przynajmniej tak to odczuwała Adelaide. Ale im dalej jechały, tym bardziej rozumiała, że nie tylko to miejsce zaburzyło jej spokój. Nie tylko ci mężczyźni.

Minął już miesiąc, odkąd nie dźwigała brzemienia. Trzydzieści dwa dni bez rodzinnej klątwy.

A najgorsze było, że czuła się szczęśliwa jak nigdy.

Miała też przy sobie Fionę, która zjeżdżała cały stan w poszukiwaniu grobu ojca, żeby wykopać jego kości i odesłać je do innego kraju. Raczej nie skakała z tego powodu z radości, ale też nie uchylała się od ciężącego na córce obowiązku. Kto mógłby lepiej zrozumieć jej położenie? Wcześniej Adelaide próbowała wtajemniczyć w swoją historię Grace, ale niestety opowiadała jej o tym zbyt ogólnie. Wyznała Grace i Samowi, że przywiozła ze sobą do Montany demona, jednak tylko Sam jej uwierzył. Ale to dlatego, że nie powiedziała całej prawdy.

– Fiono – odezwała się Adelaide.

Fiona zareagowała w interesujący sposób. Nie zamierzała zadawać pytań, tylko uważnie słuchała. Jechały teraz jedna obok drugiej i Fiona patrzyła na Adelaide wyczekująco, jakby rozumiała, że istnieje jakiś sekret, ale nie wiedziała jaki.

– Nie przybyłam do Montany sama.

Adelaide przyszło na myśl, że może Bertie i Fiona przyjechały wtedy do niej nie tylko po to, by zająć się jej włosami, ale także, by dowiedzieć się, co trzymała w chacie. I nie było w tym nic złego. Przecież próbowały ocenić, czy mogą jej zaufać. Czy podjęłyby inną decyzję, gdyby wyznała im prawdę?

Co właściwie zamierzała powiedzieć? To, co nie zostało wypowiedziane na głos ani razu poza granicami jej rodzinnej farmy, na której dorastała? Tej, którą spaliła?

– Przyjechałam tu – zaczęła, ale następne trzy słowa uwięzły jej w gardle. Odwróciła głowę od Fiony, od jej konia, myśląc, że zaraz zwymiotuje. Ale to tylko strach ją dławił i przyprawiał o mdłości. Strach i wstyd.

– Przyjechałam tu z moją siostrą.

## Rozdział trzeci

### 48

W dniu śmierci ich rodziców wszystko zaczęło się od dużego lunchu. Niezwyčajne było jeść tak dużo, kiedy czekało ich jeszcze pół dnia pracy. Adelaide właśnie tak powiedziała, kiedy przybiegła do domu z pola. Eleanor przemilczała jej słowa. To akurat nie było niezwyčajne, gdy jej matka miała dużo roboty.

W każdym razie uczta, jaka czekała Adelaide i Glenville'a, była na pewno zaskakująca: bulion, smażone stynki w sosie maślanym, paszteciki z kurczakiem, kromki ryżowe, bataty, pudding z młodej kukurydzy i kisiel żurawinowy, placek z dynią, ciasteczka bakaliowe i kawa.

– Mamo, ilu gości się spodziewasz? – zapytała Adelaide.

– Po prostu usiądź – odparła Eleanor.

Wydawało się, że Glenville'a nie dziwi aż tak bogato zastawiony stół. Zwyczajnie wziął talerz i nałożył sobie jedzenia, o wiele za dużo. Eleanor zrobiła to samo.

Adelaide była tak zdumiona, że na swój talerz nie nałożyła sobie prawie nic. Siedziała tylko i patrzyła, jak rodzice jedzą. Przeżuwali jak krowy.

– Znalazłam węża przy studni – powiedziała.

Od razu wiedziała, że nie powiedziała nic interesującego, ale siedzenie w tej ciszy byłoby dużo dziwniejsze. W tej prawie ciszy. Bo Eleanor i Glenville nawet nie zamykali ust przy jedzeniu. A od małego uczyli tego Adelaide. Teraz jakby zupełnie o tym zapomnieli.

– Przyglądałam mu się przez chwilę – ciągnęła. – Polował na sójkę, ale sójka dobrze wiedziała, co się święci, podfrunęła na drzewo i cały czas głośno na niego ćwierkała.

Na to również nie nadeszła żadna odpowiedź i Adelaide miała już wtedy ochotę krzyczeć.

Wtedy Glenville spojrzał na Eleanor i powiedział:

– Nie czuję żadnego smaku.

Eleanor opuściła widelec.

– Ja też nie.

– Adelaide – rzekł ojciec. – Idź, proszę, do swojego pokoju.

Dziewczyna zmarszczyła brwi, a potem się roześmiała.

– Tato, mam trzydzieści jeden lat.

– I zostań tam – dodała Eleanor. – Pracowałeś ciężko cały ranek. Odpocznij chwilę.

Adelaide patrzyła to na ojca, to na matkę. Przyszła jej do głowy dziecinna myśl: „Czy mam dziś urodziny?”. Oczywiście nie miała. Ale z jakiego innego powodu jej rodzice, zazwyczaj rozpaczliwie zwyczajni, nagle zachowywali się jak stuknięta rodzina Bundrenów, która kiedyś pracowała na farmie w sąsiedztwie?

– Już – ponagliła Eleanor Henry. – Idź.

I trzydziestojednoletnia Adelaide wstała od stołu, zniosła swój talerz do kuchni, choć nic nie zjadła, wstawiła go do zlewu, a potem weszła po schodach i zamknęła za sobą drzwi.

Zdjęła książkę z półki, na wypadek, gdyby matka miała zaraz wejść i sprawdzić, co robi. Potem usiadła na brzegu łóżka i czekała.

Nie wiedziała na co.

Niedługo potem usłyszała, że drzwi wejściowe się otwierają, a za chwilę zamykają z trzaskiem.

Podniosła się z łóżka i podkrađła do okna. Trzydziestojednoletnia Adelaide nie miała odwagi odsunąć firanek, więc tylko zerkała przez koronkę.

Glenville Henry, jej ojciec, szedł do obory ze strzelbą w ręku.

Eleanor Henry podążała za nim, przyciskając do piersi Biblię.

Razem kroczyli równie poważni, jak wcześniej przy jedzeniu. Glenville trzymał strzelbę w lewej ręce, lufą do góry. Przy wrotach obory przełamał broń, żeby wsunąć dwa naboje. Adelaide widziała, że w kieszeni kurtki niósł ich więcej.

Eleanor tymczasem położyła rękę na skoblu drzwi. Oboje spojrzeli sobie w oczy. Adelaide znała ich całe życie, ale nigdy nie widziała, żeby tak na siebie patrzyli. Z determinacją i zrezygnowaniem.

I teraz Adelaide pojęła.

Wchodzili do obory, żeby zabić demona.

Nie. To nie było tak. Jej rodzice nie mieliby takich min przy tak prostym zadaniu.

Wchodzili do obory, żeby zabić siostrę Adelaide. A jej siostra miała imię.



Elizabeth.

Zamierzali zabić Elizabeth.

W tamtym momencie – bo wszystko wydawało się dziać dokładnie w tamtym momencie – Eleanor przeniosła spojrzenie z Glenville'a na okno Adelaide. To miał być ostatni raz, kiedy dziewczyna widziała matkę żywą. Jeszcze tego nie wiedziała, ale miała przecucie. Była tego tak pewna, jak tego, że trzyma w ręku książkę. Właściwie po co cały czas ją trzymała? Gdy tylko zadała sobie w myślach to pytanie, książka wypadła jej z rąk. Adelaide nawet nie słyszała, jak upada na podłogę.

Eleonor nie odrywała wzroku od okna Adelaide. Czyżby miała nadzieję, że córka wystawi głowę i ubłaga ją, żeby tego nie robiła? Czy może chciała przez jedną ostatnią chwilę popatrzeć jej w oczy?

Żadne z tych pragnień i tak się nie spełniło. Adelaide cofnęła się od okna. Zostawiła firanki zaciągnięte i z powrotem usiadła na brzegu łóżka.

Odgłos strzału z wnętrza obory zabrzmiał jak kłaśnięcie.

Wrzaski, które dobiegły później, trwały znacznie dłużej.

Najpierw krzyki jej ojca – niskie i przestraszone – a potem jej matki – wyższe, pełne udręki, ciągłe zawrota głowy. Adelaide poderwała się z łóżka i podbiegła do drzwi – by rzucić się im na pomoc.

Ale się zatrzymała.

Ścisnęła dłonią klamkę tak mocno, że rano miała na niej sińce. Eleanor i Glenville krzyczeli w oborze, słyszała warczenie Elizabeth, niosące się jak odgłos burzy. Wszyscy troje byli tam, za drzwiami obory, wszyscy zdzierali gardło, a Adelaide Henry puściła klamkę.

Stała przez chwilę. Wsłuchiwała się w odgłosy dokonującej się rzezi.

Wtedy jeszcze być może istniała szansa, by kogoś uratować, by coś zrobić, *cokolwiek*.

A co zrobiła?

Podniosła z podłogi książkę i usiadła z powrotem na łóżku.

Może przestaniemy w końcu udawać? Może przestaniemy się łudzić?

Adelaide siedziała na łóżku i miała nadzieję – żywiła ją w najpodlejszej głębi serca – że jeśli tylko dostatecznie długo poczeka, wszyscy troje zginą. Eleanor, Glenville i Elizabeth. Nie czuła się z tym dobrze, ale takie właśnie miała marzenie.

Trzydzieści jeden lat na tej farmie – dosłownie całe życie spędziła trzymana z dala od ludzi, od sąsiadów. Uczona przez rodziców, że nie można

nikogo wpuszczać, nikomu się zwierzać, z obawy, że inni dowiedzą się o istnieniu potwornego dziecka, nieludzkiej siostry Adelaide.

No proszę, Adelaide kłamała sama sobie nawet teraz.

Elizabeth była jej siostrą bliźniaczką. Urodziły się razem, najpierw Adelaide, a kilka minut po niej Elizabeth. Położna ułożyła Adelaide na piersi matki, ale kiedy na świat przyszło drugie dziecko, wybiegła z pokoju. Ale nie z pustymi rękoma. Biegła z tym drugim dzieckiem. Co zamierzała zrobić? Wyrzucić je do studni? Rozbić mu głowę o kamień?

Tak. I jedno, i drugie.

To Glenville Henry ją powstrzymał. Siedział w salonie, czekając na radosną nowinę. Kiedy położna przebiegła obok, z twarzą mokrą od potu i łez, instynktownie wstał. Coś było *nie tak*. Dogonił położną na progu domu i odkrył, że coś niesie w ramionach, a kiedy mu to pokazała – wyjaśniła, że to coś jego żona miała w łonie – Glenville pojął prawdę i padł na kolana.

Ale.

Ale gdy powiedziała mu, co chce zrobić – zabić to obrzydlistwo – chwycił ją mocno za ramię i powiedział: „Mówi pani o moim dziecku”.

I odebrał maleństwo z jej ramion, choć przeklęła go i zapowiedziała, że jej noga w tym domu więcej nie postanie, że już nie wróci, by pomóc Eleanor. Jakich uczynków się dopuścili – zapytała – że taki demon mógł przyjść na świat? Glenville podziękował jej za pracę. Poszedł do kuchni i wy dobył ze słoja należne jej pieniądze. Dziecko, któremu mieli dać na imię Elizabeth, trzymał pod pachą. Zapłacił położnej i powiedział: „Zrobimy, co w naszej mocy”. Zamknął za nią drzwi i w pewnym sensie rodzina Henrych już nigdy tych drzwi obcym nie otworzyła.

\*\*\*

Adelaide odkaslnęła. Siedząc ze spuszczoną głową, opowiedziała wszystko – historię rodziny i to, co się wydarzyło już tutaj, w Montanie. Teraz w końcu podniosła wzrok i spojrzała na czwórkę zgromadzonych w kuchni Pod Ślepym Wieprzem.

Na Fionę, Bertie, Grace i Sama.

Siedzieli w milczeniu, a Adelaide zebrała w sobie całą odwagę, żeby nie uciekać spojrzeniem. Chciała płakać, ale uparła się, że nie będzie. Sama,

słyszając własną opowieść, wiedziała, że nie zasługuje na łzy ukojenia. Płonęła ze wstydu, wstydziła się absolutnie każdej z tych rzeczy. Bała się, że za chwilę z tej hańby spłonie jej serce.

Kuchnia Pod Ślepym Wieprzem była na tyle duża, by pomieścić średniej wielkości stół. Zazwyczaj to właśnie tam Bertie przygotowywała posiłki – czasem nawet dla sześciu mężczyzn, którzy przyjeżdżali się napić i zagrać w karty. Dla nich pięciorga miejsca było teraz dosyć. Bertie dla wszystkich zaparzyła kawy, również dla Sama.

Adelaide nie wiedziała, co zrobić z dłońmi i jak rozumieć milczenie przyjaciółek, podniosła więc filiżankę do ust i upiła łyk kawy, chociaż nie umiałyby powiedzieć, jak smakowała.

W końcu Bertie usiadła na swoim krześle, a jej rysy straciły ostrość, jakby walczyła ze łzami. Poklepała się delikatnie po brzuchu, bezwiednym gestem. Odwróciła wzrok od Adelaide, potem znowu na nią popatrzyła.

– Proszę mówić śmiało – powiedziała Adelaide. – Niech pani szczerze powie, co myśli.

Bertie głęboko westchnęła i jeszcze raz poklepała się po brzuchu.

– Pani biedna siostra – wyszeptwała.

Na te słowa Adelaide gwałtownie wyprężyła się na krześle, jakby coś dźgnęło ją w plecy, ale zaraz z powrotem się zgarbiła, bo oczywiście Bertie powiedziała prawdę. Kiedyś Adelaide często wykradała się w nocy do Elizabeth. Proponowała, że jej poczyta albo pośpiewa. Była na tyle młoda, na tyle naiwna, by wierzyć, że ona i jej siostra rozumieją się nawzajem i że potrafi pojąć znaczenie pomruków i powarkowań Elizabeth, jak gdyby mówiły jednym językiem. Może i tak było. Może jeszcze wtedy rzeczywiście łączył ich siostrzany związek, a nie taki jak później, gdy Adelaide stała się po prostu dozorczynią uwięzionej siostry. Ulubioną piosenką Elizabeth – przynajmniej zdaniem Adelaide – była „O Rocks Don’t Fall on Me”.

W końcu jednak potajemne wizyty w oborze wyszły na jaw. Z tego jedy- nego powodu dostała od matki lanie. Próbowała sprytniejszych sposobów na odwiedzinę u Elizabeth, ale Eleanor nie kładła się do późna, czekała na nią i zawsze wszystko odkrywała. Za każdym razem Adelaide dostawała od matki baty. W końcu przestała chodzić do obory.

– I ty też – dodała Fiona, ujmując przez stół dłoń Adelaide. – Przykro mi, że tyle musiałaś przejść.

Któż lepiej niż Fiona zrozumiałaby ciężar odpowiedzialności przykład- nego dziecka? Któż inny miałby więcej współczucia dla córki, która przez

lata robiła wszystko, czego od niej oczekiwano?

– I oni też – zauważyła Grace.

– Moi rodzice? – zapytała Adelaide, zaskoczona falą gniewu, który nagle w niej wezbrał.

Nawet Bertie i Fiona popatrzyły na Grace z dezaprobatą.

– We trzy mogą sobie panie myśleć, co chcą – powiedziała Grace. Spojrzała na Sama, położyła otwartą dłoń na jego plecach i już jej nie oderwała.

– Ale nie wiedzą panie, co znaczą obowiązki rodzica. Potrafią wyssać z człowieka wszystkie soki. – Grace spojrzała śmiało na trójkę przyjaciółek.

– Więc tak, ich też mi szkoda.

Każda teraz milczała. Wszystkie wracały w myślach do wspomnień i swoich osobistych historii.

To Sam odezwał się pierwszy.

– Nie powinniśmy jej odnaleźć?

## 49

Elizabeth Henry.

*Tak się nazywało. Ale już się nie nazywa.  
Na co komu imię, skoro się nie ma nikogo?*

*Drugiej nocy w jaskini coś wyniuchało.  
Zbliźali się ludzie.  
Skoro oni byli ludźmi, to czym było ono?*

Elizabeth Henry? *Nie. To nic nie znaczyło.*

*Podeszli bliżej. Zapachy i ślady na śniegu.  
Chciało odpocząć w samotności. Ale się podniosło.  
Zabijanie też było sposobem.*

*Pojawili się w wejściu do jaskini. Dwa cienie.  
Dwa nowe zapachy.  
Coś zostawili.  
Nasłuchiwało. Cienie zeszły po wzgórzu.*

*Usłyszało skrzypienie drzwi chaty.  
Tej małej chaty w połowie zbocza.  
Dalej czekało, aż noc ponownie ucichnie.*

*Podkradło się do wejścia jaskini.  
W blasku księżyca coś tam leżało na ziemi.  
Trzy pieski preriowe. Złapane i zabite. I zostawione.  
Jak dar.  
Jak ofiara.*

## 50

– Katastrofa.

Pani Jerrine Reed stała pośrodku sceny w operze. Gdy spadły prawdziwe zimowe śniegi, jeszcze więcej osadników wyjechało. Liczba mieszkańców miasta skurczyła się o jedną czwartą od ostatniego zgromadzenia, kiedy pani Reed czytała o triumfach kobiet na całym świecie.

Dlatego na równinach, i tak już pustych, żyło się teraz w poczuciu jeszcze większej samotności. Nawet gdy do opery przybyli wszyscy pozostający w mieście mieszkańcy Big Sandy, tylko co trzecie miejsce na widowni było zajęte. Nadal słyhać było bicie dzwonu na wieży, mimo że pokaz już się rozpoczął. W tak okropną pogodę niektórzy by się zgubili bez uderzeń dzwonu i bez jasnego płomienia, który kierował ich ku miastu.

– Miałam nadzieję, że program dzisiejszego spotkania będzie mógł być podobny do ostatnich – ciągnęła pani Reed. – Poczytalibyśmy inspirujące nowiny, rozdalibyśmy gazety, przywitalibyśmy się nawzajem z sąsiadami. Ale dzisiaj będzie inaczej. Niemniej w imieniu miejscowej kapituły Pracowitych Pszczółek witam wszystkich państwa serdecznie.

Spojrzała ku kulisom, gdzie zebrała się reszta Pracowitych Pszczółek.

– Naszej małej wspólnoty nieobce są trudy – ciągnęła. Choć zapowiedziała, że program dzisiejszego spotkania będzie inny niż zwykle, dwa egzemplarze „Mountaineera” leżały na scenie u jej stóp. – Nikt z nas nie przebył takiego szmatu drogi do wspaniałej Montany po to, by leżeć brzuchem do góry i odpoczywać.

Pani Reed spojrzała w oczy osobom siedzącym w fotelach na parterze.

– Ale nawet dla nas ostatnie tygodnie były czasem próby.

Pani Reed ponownie zerknęła w bok sceny. Przy Pracowitych Pszczółkach stanęli teraz dwaj mężczyźni. Wszystko zgodnie z planem. Pani Reed zwróciła się z powrotem do publiczności.

– Okręg Chouteau nosi swoją nazwę na pamiątkę małżeństwa kupców handlujących futrami – powiedziała. – Augusty i Pierre’a Chouteau, którzy byli właścicielami placówki handlowej w okolicy Fort Benton. Kiedy mój mąż i ja po raz pierwszy przybyliśmy w te strony, zatrzymaliśmy się właśnie w Fort Benton, ale niedługo potem przenieśliśmy się do Big Sandy. Aż trudno uwierzyć, że nie było tu wtedy nawet tylu mieszkańców, by zapełnić scenę, na której stoję. A kiedy wokół nie ma zbyt wielu ludzi, człowiek zawiera przyjaźnie, gdzie tylko może. Tak właśnie poznałam Rocky Boya, wodza Czipewejów. Gościliśmy go nawet w naszym domu. Wyjaśnił nam, że jego plemię musiało przybyć do Montany, bo tak chciała przepowiednia. Szli na zachód od Pensylwanii, aż dotarli na tę ziemię jakieś dwadzieścia pięć lat temu. Po drodze musieli stawić czoło wielu trudom, spotykali się z odrzuceniem zarówno ze strony osadników, jak i czerwono-skórych. Ich jedynymi bratnimi duszami okazali się ludzie z plemienia Kri, którym przewodził wódz Little Bear. W tysiąc dziewięćset drugim roku Rocky Boy poprosił prezydenta Roosevelta, by ustanowił rezerwat dla jego ludu. Spotkał się z odmową. W tysiąc dziewięćset czwartym spróbował ponownie, ale dostał tę samą odpowiedź. W tysiąc dziewięćset dziewiątym Rocky Boya i jego plemię wsadzono do wagonów kolei i przewieziono najtańszą klasą do rezerwatu Blackfeet, ale warunki życia były tam tak podłe, że musieli obmyślić sposób ucieczki, by ujść uzbrojonym strażnikom, którzy strzegli rezerwatu. Mają nadzieję, że prezydent Wilson ostatecznie przyjmie ich petycję. W tym roku tak się nie stało, ale może rok tysiąc dziewięćset szesnasty przyniesie im szczęście. Byłby to wielki dar, gdyby Rocky Boy mógł uczynić to, czego nawet Mojżesz nie zdołał – przeprowadzić swój lud do ziemi obiecanej i żyć tam wśród swoich w szczęściu i spokoju.

Przemawiając i przechadzając się przy tym wzdłuż krawędzi sceny, pani Reed spojrzała na schowane w cieniu rzędy miejsc na balkonie, potem przeniosła wzrok z powrotem na parter. Fotele na balkonie były puste.

– Rocky Boy opowiedział mi legendę o starym Snowbirdzie i o Lady Snowbird, parze wilków, którzy według nich są rodzicami wszystkich wilków na całym kontynencie. Mówił, że to stworzenia pełne majestatu, ale zajadłe. I zawsze głodne. Kiedy podczas wielkiej pielgrzymki na zachód

jakiś Czipewej umierał, lud Rocky Boya wierzył, że to stary Snowbird i Lady Snowbird dopadli go na szlaku i porwali do wiecznej krainy.

Pani Reed uniosła ręce gestem, który uciszał wszelkie niedowierzanie wśród widzów.

– Wiem – powiedziała. – Myślałam tak samo, kiedy Rocky Boy opowiadał mi tę historię. Magiczne wilki. Uwielbiamy, gdy rdzenne ludy snują podobne opowieści, ale rzadko bierzemy je poważnie. Nazywamy to miejscowym kolorytem.

Pani Reed spojrzała za kulisy i dała znak dłonią.

– Ale ostatnio, gdy na nasze miasto padł strach i zajrzało nam w oczy widmo śmierci, odwiedziło mnie dwóch mężczyzn i opowiedziało historię, której chcę, żeby również państwo wysłuchali.

Na scenę wyszedł Finn Kirby.

Matthew Kirby pojawił się tuż za nim.

## 51

– Przyszedłeś.

– Nie mogłem inaczej.

Joab dotknął ramienia brata. Dobrze było widzieć go z powrotem, już nie w szpitalu, a chodzącego o własnych siłach. Miał przed oczami widok Delmusa w wejściu do obory, który macha do nich, a potem pada jak kłoda na ziemię. Tutaj, w kuchennych drzwiach domu państwa Reedów, Joab podszedł do brata i go uścisnął.

– Wejdz – powiedział.

W środku czekał pan Reed. Nie w salonie, ale w kuchni. Brak zwyczajowej gościnności był znakiem, że to spotkanie wielkiej wagi. Do kuchni nie można było wejść przypadkiem. Nikt po prostu tu nie zachodził ot, tak.

– Nareszcie – oznajmił pan Reed na widok Delmusa. – Ależ wy dwaj jesteście do siebie podobni.

– Owszem – potwierdził Joab. – Bracia z krwi i kości.

– Jesteście nawet tego samego wzrostu – zauważył pan Reed. Ludzie niscy najszybciej dostrzegali takie rzeczy, nieustannie szacując, porównując. – I mówisz, że ile masz lat, chłopcze?

– Szesnaście – odparł Delmus, cały czas stojąc w progu, mimo że Joab zamknął za nimi drzwi. – Skończyłem w zeszłym tygodniu.

Joab sięgnął do kieszeni i wręczył mu mały pakunek.

– Pamiętałem – powiedział.

Choć oczywiście zapomniał. Skoro podobno pamiętał, czemu nie odwiedził Delmusa w szpitalu, żeby dać mu prezent? Dawniej Delmus gniewałby się na młodszego brata. Za to, że zapomniał i że teraz kłamał. Dawniej Delmus zawsze był pomijany. Ale teraz jakie miało znaczenie, że Joab zapomniał o jego urodzinach? Delmusa dostrzegła siła znacznie potężniejsza niż ten bogacz, pan Reed. Dostrzegła i oszczędziła.

– Wejź i siadaj – polecił pan Reed, a Delmus posłusznie wykonał polecenie.

Na stole stał talerz z bannockiem, teraz już tylko z jego resztką. Ale nie było do tego żadnego masła ani dżemu. Kawałki placka były czerstwe i zimne. Dawniej Delmus odebrałby to jako obrazę, ale teraz już nic nie miało mocy, by go obrazić.

– Już się lepiej czujesz? – zapytał pan Reed.

– Dużo lepiej niż przedtem – zapewnił Delmus, chociaż prawdę mówiąc, złamany obojczyk zrastał się powoli. Lewą rękę Delmusa podtrzymywał temblak, a lekarz przepisał mu morfinę w zastrzykach podskórnych dwa razy dziennie, aż kość się zrośnie. Dzisiaj Delmus przyjął już drugą dawkę, czuł się więc rozluźniony.

Po słowach Delmusa zapadło długie milczenie. Chłopak spoglądał to na pana Reeda, to na brata. Joab popatrzył na niego wymownie, dając mu dyskretne znaki. Delmus zrozumiał i zwrócił się do swojego dobroczyńcy.

– Dziękuję, że załatwił pan dla mnie szpital – powiedział.

Pan Reed zbył to ruchem ręki, na znak, że nie ma o czym mówić. Ale było o czym. Delmus widział, że pan Reed potrzebuje zarówno usłyszeć podziękowania, jak i je zbyć. Ten spektakl wymagał jednego i drugiego.

– Odwdzięczę się panu ciężką pracą – zapewnił Delmus.

Pan Reed popatrzył na Joaba.

– Brat już spłacił twój dług – powiedział. – I to po trzykroć.

Delmus spojrzał na Joaba, który się zaczerwienił i wyprężył jak dumny syn.

– Nie znaleźmy naszego ojca – powiedział Delmus. – Pańskie słowa ogromnie wiele dla niego znaczą.

– Dla niego – podkreślił pan Reed. Przyjrzał się Delmusowi uważniej. – Ale nie dla ciebie.

– Nie – przyznał Delmus. – Nie dla mnie.



Dlaczego to powiedział? Bo taka była prawda. Ale odkąd to prawda znaczyła coś dla Mudge'a? Cóż, teraz znaczyła. „Powiem całą prawdę!” Tak przyrzekł demonowi, a ten go ocalił. Jedno kłamstwo, a bestia wróci i zawlecze go do piekieł, dokąd, jak się obawiał, zostali strąceni jego matka i bracia.

– Delmus odziedziczył serce po naszej matce – wykrztusił Joab zaskoczony.

Co w ogóle chciał przez to powiedzieć? Poza tym Joab wiedział, że to nieprawda. Wybąkał to usprawiedliwienie, bo nie chciał, żeby pan Reed się obraził.

– Napiję się – stwierdził pan Reed, wstając od stołu. Znalazł butelkę żytniej whiskey Monogram i nalał do trzech szklaneczek. – Musimy porozmawiać o moich koniach.

Delmus podniósł szklanekę do ust i upił łyk whiskey. Pierwszy raz smakował alkohol od napaści w stajni. Ta żytnia była – bez wątpienia – trunkiem najwyższej klasy, jakiego kiedykolwiek próbował.

– Siedem moich koni zniknęło na twojej służbie – zaczął pan Reed. – Mogłem rozmówić się z tobą jeszcze w szpitalu. Ale tam miejsca nie było nawet, żeby pierdnąć, nie wspominając o prywatnej rozmowie.

– Chce pan wiedzieć, co się stało – zgał Delmus.

Pan Reed uniósł ze stołu butelkę i grzmotnął dnem o blat.

– Już ci powiedziałem, co się stało! Zginęło moich siedem koni. A ty, o ile pamiętam, leżałeś pijany, kiedy je kradli.

Delmus spojrzał na brata, ale Joab nie odpowiedział spojrzeniem.

– Nie patrz na brata – powiedział pan Reed. – On już dowiódł, ile jest dla mnie wart. Ty natomiast tylko wpędzasz mnie w koszty.

– Jak tego dowiódł? – zapytał Delmus, dopijając whiskey ze szklaneczki.

– Zawiózł mnie do Rocky Point i znaleźliśmy tam łowców wilków.

Delmus milczał. Słyszał głos we własnej głowie: „Powiem całą prawdę!”.

– Joab powiedział panu, skąd wie o Rocky Point?

Pan Reed niemal się zakrztusił z tłumionej wściekłości. Lekcje geografii nie były celem tej rozmowy. Wychylił whiskey, żeby zapisać smak nagłej furii.

A co zrobił Joab?

Milczał. Ale obszedł stół i stanął przy lewym ramieniu pana Jacka Reeda. Bogacz i chłopak tworzyli razem obraz pana lennego z wasalem.

Delmusowi nie trzeba było nic więcej.

Delmus Mudge powstał z krzesła i chwycił szyjkę butelki żytnej whiskey Monogram. Uniósł ją i zamachnął się jak wielkim młotem, celując prosto w skroń pana Reeda.

Butelka nie pękła, ale sądząc po odgłosie, panu Reedowi mogła pęknąć czaszka. Nie był to trzask, tylko ciche puknięcie. Pan Reed, człowiek niewielkiej postury, spadł z krzesła na podłogę i oszołomiony wywracał oczami. Opadł bezwładnie na deski i z trudem chwycił powietrze, zachował przytomność, ale był w szoku.

Joab krzyknął na brata, ale Delmus nie zwracał na niego uwagi.

– Złożyłem przyrzeczenie! – powiedział głośno. – Będę mówił prawdę! A widzę, że pan, panie Reed, jest wcielonym diabłem, który za wszelką cenę chce mi wykraść brata!

Delmus nachylił się nad skulonym na podłodze panem Reedem i podniósł butelkę, żeby roztrzaskać bogaczowi głowę.

– I nawet nie wie pan, kim on jest, kim we dwóch jesteśmy. To my sialiśmy postrach w siedmiu stanach!

Delmus czuł, że owładnął nim jakiś duch, który nakazywał mu wyznanie prawdy. Był jak w gorączce. Miał wrażenie, że pod skórą bzyczą mu rozdergane roje pszczoł, po jednym roju na każdy zły uczynek, jaki Mudge'owie mieli na sumieniu. Jednym sposobem, aby to nieznośne mrowienie ustało, było wyjawienie wszystkich przestępstw, których się dopuścili.

– Siedź cicho! – krzyknął Joab. – Ani się waż!

Joab jednak wiedział. Wiedział. Wiedział to, odkąd zginęły konie. Odkąd znaleźli Delmusa leżącego twarzą w piachu przed stajnią. Że on, Joab, nigdy nie stanie się nową wersją siebie, dopóki jeszcze istnieje gdzieś ta dawna. Na całym świecie tylko cztery inne osoby znały Joaba Mudge'a i widziały całe zło, które wyrządził. A teraz została z nich tylko jedna.

Joab rzucił się na Delmusa.

On, młodszy z braci, był wściekle żądny nowego życia, tymczasem starszy dotąd zaledwie usiłował przeżyć. Byli podobnej postury, wszyscy tak twierdzili. Gdy szamotali się na ziemi, wyglądali jak jeden człowiek. Joab mógł równie dobrze zabijać teraz dawnego siebie.

Delmus walczył, zaskoczony, usiłując zrzucić Joaba z pleców, oderwać jego ramię zaciśnięte wokół gardła, ale okazało się to trudne z jedną ręką na

temblaku. Do tego pod ciężarem brata miał wrażenie, że jego obojczyk płonie z bólu. Delmus krztusił się, z trudem chwycił powietrze, charczał i chrypiał. A Joab chciał go puścić, ale wiedział, że nie może.

Powtarzał sobie w duchu mantrę: „Teraz jestem Dusicielem. Teraz jestem Dusicielem”.

Tylko tak mógł dalej dusić swojego brata, ostatniego członka rodziny, który mu jeszcze pozostał.

Nie odpuszczał, bo wiedział, że w przeciwnym razie prawda wyszłaby na jaw. Cała prawda. Pan Reed i pozostali pokazaliby, jak się obchodzą ze złodziejami i przestępcami. Gdyby puścił Delmusa i we dwóch uciekliby pod osłoną nocy, ile czasu minęłoby, zanim pan Reed doszedłby do siebie i zwołał resztę? Tych dwóch bogaczy i jeszcze innych? Całe miasto by go ścigało. A on nie miał już nawet dokąd uciekać. Nie miał żadnego schronienia oprócz tego domu i żadnego opiekuna oprócz tego człowieka, pana Reeda.

Kilka miesięcy wcześniej pewien osadnik znalazł na dnie swojej studni piętnaście stóp pod ziemią skamieniałą rybę i muszle. Według gazety sugerowało to, że cała Montana była dawniej przykryta wodą. Dzisiejsze równiny zalewał ocean. Czy nie było to dowodem, że cały świat i całe życie można zupełnie zmienić i nikomu nawet nie przyjdzie do głowy, że kiedyś wyglądały całkiem inaczej? Wielki ocean i suche równiny. Życie Joaba trzy miesiące temu i dzisiaj.

– Joab. Joab, posłuchaj mnie.

Pan Reed doszedł do siebie na tyle, by podnieść się na kolana. Nachylił się tak blisko, że Joab czuł zapach żytniej whiskey w jego oddechu.

Joab spojrzał mu w oczy.

– Puść już – powiedział pan Reed. – Już go puść.

Joab cofnął rękę, ale nie patrzył na brata, który leżał tuż obok.

Pan Reed nie mówił Joabowi, żeby brata oszczędził.

Pan Reed tylko informował go, że jego brat już nie żyje.

– Pomogę ci teraz – powiedział pan Reed.

Ujął dłoń Joaba i pomógł mu wstać. Coś leżało u jego stóp, ale Joab nie mógł się zmusić, by nazwać to po imieniu.

– Ja próbowałem tylko... – zaczął.

– Ochronięś mnie – powiedział pan Reed, wyprowadzając chłopca z kuchni do salonu. Posadził go w fotelu. – Od teraz ja będę chronił ciebie.

*Pieski preriowe ledwie zapełniły brzuch,  
ale akt ofiarowania,  
to zaspokajało.*

*Zeszło z góry. Ciekawe.  
Ale ostrożne.  
Zastało drzwi do chaty otwarte na oścież.  
W środku ciepło z paleniska.*

*Weszło powoli. Grube skóry na podłodze.  
Przed kominkiem.  
Jak łożę z futer, na którym się ułożyło.*

*„Ah, pobrecito”.  
Głos. Kobiety. Bardzo drobnej. Łatwej ofiary.  
Patrzyło na nią. Przemówiła znowu, ale nie rozumiało.*

*„Och, to straszne”, powiedziała w mowie, którą pojmoowało.  
„Nie znasz nawet swojego prawdziwego języka”.  
Za nią drugi cień. Mężczyzny. Równie niskiego.*

*Zbliżali się do niego z pustymi, otwartymi dłońmi.  
Obnażyło zęby, by pokazać, że może być źle.  
Nie uciekli. Mężczyzna usiadł na podłodze,  
szepcząc w tym nieznanym języku.  
Kobieta siadła przy ogniu. Wyżej, na gzymisie,  
coś małego, dziwnego.  
„To ty”, wyszeptła kobieta. „Nie poznajesz  
własnej twarzy?”*

*Podniosło głowę, żeby uważniej przyjrzeć się figurce.  
„Przywieźliśmy ją”, wyszeptał mężczyzna.  
„Z Tepoztlán”.  
Kobieta się uśmiechała, patrząc na nie.  
Kobieta się uśmiechała. Patrząc na nie.  
„Jesteś bardzo daleko od domu, bogini”.*

Gdzieś u podnóży gór Bear Paw Joab Mudge zabił swojego brata, a pan Reed wywlókł ciało z domu i ukrył je w maxwellu.

Przed Ślepym Wieprzem Adelaide, Bertie, Fiona, Grace i Sam wsiadali na konie. Elizabeth jeszcze nie wiedziała, że jadą ją odnaleźć.

Ale nie tylko oni wyruszyli tej nocy na poszukiwania.

\*\*\*

Kiedy Sam jeździł konno z matką, w szczególny sposób okazywał bezradne rozgoryczenie. Wbijał podbródek w prawe ramię Grace i mocno napierał. Na pytanie co robi, odpowiadał, że tak po prostu siedzi. Ale robił tak od czasu do czasu, odkąd tylko był na tyle duży, by siedzieć w siodle za plecami matki, zamiast przed nią.

– O co chodzi? – zapytała go teraz Grace, przekrzykując wiatr.

Sam nie musiał nawet odrywać podbródka, żeby odpowiedzieć. Był już w tym doskonale wyćwiczony.

– Chcę jechać z nimi! – krzyknął. – Chcę na własne oczy zobaczyć siostrę pani Henry!

– Wiem, że chcesz – odparła Grace nieco ciszej. – Ale co ze mnie byłaby za matka, gdybym cię zabrała?

Sam oderwał podbródek.

Mama nie zamierzała dać się przekonać. I tak nie wierzył, że mu się uda. Był już na tyle duży, że wiedział, który plan spali na panewce.

– Posłuchaj mnie teraz, Sam. *Ja* jadę pomóc pani Henry, ale *ty* idziesz spać.

Sam się uspokoił. Czemu wręcz ucieszył się na te słowa? Miało mu brakować tej wyprawy, ale pojedzie na nią jego matka. Co oznacza, że on usłyszy wszystko z pierwszej ręki. To nawet lepsze niż nagłówek w gazecie. Usłyszy świadectwo naocznego świadka. Zgoda, niech będzie, zadowolony się tym. Sam przytulił się do pleców Grace. Nie wbijał już podbródka.

– No to opowiedz mi inną historię – poprosił Sam. – W innym mieście.

Grace się roześmiała.

– Mam cię zostawić samego w chacie, a ty chcesz, żebym ci opowiedziała kolejną taką historię? Będziesz miał koszmary.

- Opowiedz i tak – odparł Sam.
- Dobrze, jak chcesz – ustąpiła Grace. – Gdzie ma być?
- Tym razem gdzieś blisko. W Montanie.

Nocny wiatr był trzecim uczestnikiem tej rozmowy. Gdyby nie to, że od lat krzyczeli do siebie, jadąc wierzchem, teraz ich głosy utonęłyby wśród wycia i gwizdów wiatru, tej wiecznie kręcącej się w Montanie turbiny. Ale kiedy Sam i Grace rozmawiali, wydawało się, że mówią sobie prosto na ucho, siedząc w przytulnych czterech ścianach. W pokoiku matki i dziecka.

- Opowiadałam ci już o Glendale? – zapytała Grace.

Najpierw jechali cwałem, potem zwolnili do galopu, a teraz ich koń biegł kłusem, coraz bardziej zmęczony w miarę, jak zbliżał się do siedliska. Wcześniej, przy szybszym biegu konia, jechali w milczeniu.

– Niegdyś Glendale było miastem górniczym – zaczęła Grace. – Mieszkało tam ponad tysiąc górników, którzy wydobywali srebro i ołów. Ale mniej więcej około roku tysiąc dziewięćsetnego w kopalniach wyczerpano już całą rudę i niemal wszyscy wyjechali stamtąd szukać kolejnych złóż. W tysiąc dziewięćset dziesiątym roku mieszkała tam najwyżej setka mężczyzn, a potem, pewnego dnia, już nikogo w Glendale nie było.

- Wszyscy wyjechali?

– Tak niektórzy myśleli. Ale wtedy któregoś dnia ktoś poszedł do pieców na węgiel drzewny, niecałe pięć mil za Glendale. Otworzono te olbrzymie stare piece i co w nich znaleziono?

Sam nie odpowiadał, ale bliskość jego twarzy i sposób, w jaki przechylił głowę, żeby lepiej słyszeć, nie pozostawiały wątpliwości, że bezgłośnie pytał: „Co takiego? Co znaleziono?”

– Zima tamtego roku była bezlitosna. – ciągnęła Grace. – Srogi mróz. Dwadzieścia, trzydzieści stopni poniżej zera <sup>11</sup>. Większość z tych, którzy jeszcze zostali, miała słusność, trzeba zapomnieć o tym mieście i znaleźć bezpieczne schronienie. Ale pięciu mężczyzn uznało inaczej. Pięciu mężczyzn zostało. Ukryli się we wnętrzu tych pieców, licząc, że znajdą w nich osłonę przed śniegiem i mrozem. I któryś wpadł na głupi pomysł, żeby rozpalić wewnątrz ogień. Musiało tam być bardzo gorąco. I było mnóstwo dymu.

- Spalili się? – zapytał Sam.

– Najpewniej udusili się na śmierć dymem – odparła Grace. – A ogień tylko strawił potem ich ciała. I to jest twoja opowieść o duchach na dzisiaj.

Mogłaby zapytać po raz setny, dlaczego jej syn lubi słuchać takich historii, mimo że jego bogata wyobraźnia nie pozwala mu potem zasnąć. Ale on się upierał. Przymilał się i jęczał. Opowiadała mu więc o tych wszystkich miastach, które zniknęły, i snuła niesamowite historie, jakie o każdym z nich krążyły. O Zortman. O Alder Gulch. A teraz o Glendale. Może podobne opowieści były miłe także jej sercu nauczycielki?

– Och – powiedział cicho Sam.

Grace myślała, że to spóźnione westchnienie po wysłuchanej historii pięciu mężczyzn, którzy spalili się w piecu przy próbie przekonania się, co będzie lepsze, gorąc czy mróz.

Ale Sam nie wzdychał pod wpływem opowieści.

Dojechali do siedliska, ale inni dotarli tam przed nimi. Ośmiu ludzi, każdy w siodle. Grace z początku nie potrafiła ich rozpoznać, ponieważ wszyscy mieli twarze zasłonięte szalami i nakrycia głowy mocno naciągnięte na czoła.

Prawie jak zamaskowani, pomyślała Grace. Ośmiu bandytów w jej domu.

Podjechała do nich, a jeden z nich ściągnął szal z nosa i odsłonił twarz.

– Pani Reed – powiedziała zaskoczona Grace.

Spojrzała na pozostałych jeźdźców – siedem innych kobiet.

Pracowite Pszczółki.

– Miałam nadzieję, że panią zastaniemy – powiedziała pani Reed. – Nasi mężowie pojechali za pańskimi przyjaciółkami.

## 54

Odprowadziły Grace i Sama do koni przed Ślepym Wieprzem i patrzyły, jak odjeżdżają. Potem same w milczeniu dosiadły swoich koni. Adelaide w końcu powiedziała prawdę – wyznała ją całą – i czy świat się zmienił? Czy stanął na głowie, słysząc jej wyznanie?

Nie.

Zarazem jednak bez wątpienia wszystko było inne – Adelaide, Fiona i Bertie odjeżdżały na poszukiwania Elizabeth, Grace zabierała Sama z powrotem do chaty i miała do nich niedługo dołączyć. Adelaide nie tak to sobie wyobrażała, kiedy wyjawiała przyjaciółkom swój rodzinny sekret.

Gdy ktoś dochowuje rodzinnej tajemnicy, i to tak wielkiej, sekretu, który przez dziesięciolecia kształtował życie czterech osób, wręcz nie sposób

pojąć, jak wiele miejsca zajmuje on w myślach takiego człowieka. Sekret ani przez chwilę nie maleje w umyśle. Jego brzmienie nigdy nie cichnie w uchu. Ból, jaki wywołuje w ciele, nigdy całkiem nie ustępuje. Ci, którzy przechowują ten sekret – czyli wszyscy członkowie rodziny – ukrywają go, każdy na swój sposób, ale zawsze go ukrywają. Nie można nawet dopuścić myśli, by kiedykolwiek zaprzestać, podobnie jak nie można dopuścić myśli, że z nieba mogłyby spaść wszystkie gwiazdy. Lepiej już zabrać ten sekret do grobu.

Ale ona zrobiła inaczej. I gwiazdy nie spadły. Teraz była jeszcze głębiej wstrząśnięta, czuła inne objawienie. Może nigdy nie musiała tego sekretu dochowywać?

I właśnie ta myśl obezwładniła ją bez reszty. Właśnie na tę myśl osłabła na grzbiecie Abdiasza, pochyliła się i zsunęła do boku, nie w zemdleniu, ale w otępieniu i zupełnym bezwładzie. Stary koń, Abdiasz, wyczuł zmianę w ułożeniu jej ciała i zwolnił, zarżał. Absurdalny byłby pomysł, że koń chciał ją chwycić, uratować, a zresztą to by nie wystarczyło.

Ale była Bertie.

Chwyciła Adelaide za ramię i pociągnęła, z powrotem prostując ją w siodle.

I była Fiona.

Jechała z drugiej strony Abdiasza i chwyciła za wodze.

Adelaide ocucił siarczysty policzek mrozu. Spojrzała w dół, na ziemię, jakby zdziwiona, że znajduje się tak wysoko. Bertie i Fiona miały wrażenie, że ich towarzyszka jest rozczarowana, że siedzi wyprostowana w siodle. Być może – że nadal żyje.

– Pani Brown? – odezwała się Adelaide. – Pani Wong?

Ze wszystkich kobiet przy stole Bertie najboleśniej odebrała opowieść Adelaide. Innymi słowy, czuła największy gniew – na Adelaide, na Eleanor, na Glenville'a. Jak rodzina mogła wyrządzać tak wielką krzywdę jednej ze swoich? Ale na razie stłumiła te uczucia. Jeszcze miały znaleźć ujście, ale nie tutaj, nie teraz. Na razie Bertie mocno trzymała Adelaide za prawe ramię.

– Pani Henry – powiedziała. – Jesteśmy z panią.

Adelaide domyślała się, co Bertie o niej sądzi. Ale była jej wdzięczna za słowa, jakie powiedziała przy stole – „pani biedna siostra” – i za ton, jakim je wypowiedziała. To było ważne – i dobrze, że Adelaide usłyszała te słowa. Patrzyła teraz Bertie w oczy, choć serce bezwzględnie nakazywało



jej odwrócić wzrok ze wstydu. Ale na co się zdawał wstyd? Wstyd niczego nie rozwiązywał.

– Dziękuję, pani Brown.

– Spójrzcie – powiedziała Fiona, wskazując na zachód.

W ciemności zobaczyły chwiejące się światełko, najpewniej latarnię.

– Ktoś się zbliża – oznajmiła.

## 55

– Podziwiam twoją mamę.

Chłopak milczał. Pani Reed to nie przeszkadzało. Wiedziała, że jej osoba może budzić lęk. Ilu dorosłych mężczyzn przychodziło do niej ze spuszczoną głową? Większość. Lubiła myśleć, że to nie tylko z powodu jej bogactwa opuszczali wzrok. Pracowite Pszczółki często zwracały się do niej w podobny sposób, choć wielokrotnie zachęcała, by traktowały ją jak sobie równą. Była kobietą wpływową, ale czuła, że jej wysoka pozycja wiąże się ze szczególnym rodzajem samotności. Jej mąż nigdy tego nie odczuwał. Miał więcej przyjaciół niż palców u obu rąk i nóg. McNamara i Marlow byli z nim wręcz zrosnięci. Czyżby zapoczątkowała cotygodniowe spotkania w operze tylko dla towarzystwa innych? Ale po co zadreżczać się takimi pytaniami, skoro odpowiedzi tylko przyniosłyby ból?

– No to gdzie ona jest? – zapytał Sam. – Moja mama. Chce jej pani dać medal?

Pani Reed poprowadziła chłopca na piętro swojego domu. Nie mogła się powstrzymać. Czuła do tego dziecka sympatię.

– Nie ukrywasz swoich uczuć, jeśli coś ci się nie podoba, prawda? – zauważyła.

Sam szedł za nią po schodach.

– Mama mówi, że czasem mogę przez to wychodzić na gbura.

Pani Reed dotarła na pierwsze piętro i zaczęła na Sama. W korytarzu były drzwi do sypialni, w której mógł zanocować, na łóżku leżała świeża pościel. Ale pani Price zbyt łatwo by go tam znalazła, dlatego pani Reed zamierzała zabrać go nieco wyżej.

Sam dotarł na piętro, a wtedy pani Reed ruszyła korytarzem.

– Gdzie jest mama? – zapytał znowu.

Pani Reed dała gestem znak, żeby szedł za nią. Dotarli do kolejnych schodów. Pani Reed weszła po nich, ale u ich szczytu nie było korytarza,

tylko pojedyncze drzwi. Pani Reed gestem przywołała Sama i chłopiec wszedł na górę. Dużo niżej, na parterze, otworzyły się i zamknęły drzwi wejściowe. Rozległy się kroki, ktoś wchodził po schodach.

Pani Reed wydobyła klucz z kieszeni wierzchniego okrycia. Klucz był przywiązany starym rzemykiem do małej dziecięcej grzechotki. Przekręciła klucz w zamku i otworzyła drzwi.

– Nie ukrywasz uczuć – powiedziała. – Ale starasz się za to ukryć coś innego.

\*\*\*

Nad całym pierwszym piętrzem był strych. Jedno długie niskie pomieszczenie, nieprzedzielone ścianami. Nawet tam zamontowano lampy gazowe, ale podobnie jak w operze instalacja mogła mieć pewne wady. Od dłuższego czasu nikt na strych nie wchodził, więc przewodów tu nie poprawiono, tak jak to uczyniono na niższych kondygnacjach. Kiedy teraz pani Reed zapaliła tu lampy, zaczął się słabo ulatniać gaz. Na razie był jednak nie do wykrycia, chociaż niedługo miało się to zmienić. Pani Reed śmiało i władczo wkroczyła w dobrze jej znaną mroczną przestrzeń.

Sam został na progu.

Przez chwilę wydawało się, że pani Reed zniknęła. Jedynie stukot jej butów o deski podłogi mówił mu, że jest inaczej. Potem usłyszał grzechot zapalek w otwieranym pudełku i ciche potarcie o draskę, a chwilę później dostrzegł płomyk – i panią Reed. Uniosła mały szklany klosz wiszącego na ścianie kinkietu i zbliżyła zapalną do otworka z gazem.

Światło.

Pani Reed nałożyła klosz z powrotem, aby osłonić płomień. Potem odłożyła pudełko z zapalnikami na stolik pod ścianą i spojrzała na Sama, który stał nieruchomo w progu. Czy naprawdę za sobą na schodach słyszał czyjeś kroki? Ktoś właśnie wszedł już na pierwsze piętro? To nie były kroki jego matki, rozpoznałby je wszędzie. Czyli kto to był? I właśnie to pytanie sprawiło, że szybko przestąpił próg i wszedł do środka. Wolał już panią Reed od nieznanego osoby na schodach.

– Dawno tu nie byłam – powiedziała pani Reed. – Kiedyś przychodziłam tu częściej.

Strych był duży, większy niż chata, w której Sam mieszkał z Grace, ale był niemal pusty. W drugim końcu stały łóżko i skrzynia przystawiona do jego boku. A bliżej jeszcze coś innego. Pani Reed stanęła obok tego trzeciego mebla.

– Łóżeczko dziecięce? – zapytał zdziwiony Sam.

– Z kutego żelaza – potwierdziła pani Reed. – Z mosiężnymi gałkami na rogach.

– Nie wiedziałem, że miała pani dziecko.

– Nie miałam.

Na łóżeczku nie było materaca ani poduszki czy kocyka. Przypominało raczej klatkę niż łóżko. Pani Reed dotknęła jednej z gałek, a potem szybko cofnęła dłoń.

– Mieliśmy przygotowany wiklinowy kosz, ale McNamara i Marlow akurat sprowadzili te łóżeczka do domu towarowego i Jack po prostu musiał kupić pierwsze.

Sam powoli obszedł łóżeczko, bo jeszcze nigdy nie widział takiego mebla. Gdy był zupełnie mały, spał z mamą w jej łóżku, aż dorósł na tyle, by mieć własne.

– Wydałam je na świat w tym domu – powiedziała pani Reed. – W naszej sypialni. Dlatego było łatwiej.

– Co było łatwiej?

– Ukryć je.

Kroki, na piętrze. Jednej osoby. Czy wejdzie po schodach na strych?

– W sypialni były przy porodzie tylko dwie inne kobiety. Moja matka i moja siostra. Obydwie już od dawna nie żyją. Brakuje mi ich.

Sam przyglądał się jej twarzy, ukrytej w cieniu mimo światła lampy gazowej.

– Pokazały je Jackowi, zanim przyniosły je do mnie – ciągnęła pani Reed, patrząc na łóżeczko, jakby spoglądała w przeszłość. I przez chwilę Sam niemal widział dwie kobiety, trzymające zawiniątko w rękach wyciągniętych do ojca, Jacka Reeda.

– To był chłopiec czy dziewczynka? – zapytał, biorąc wyraz twarzy pani Reed za grymas cierpienia.

– Nie wiem – odparła.

Sam nie zrozumiał.

– Jak to pani nie wie?

Pani Reed spojrzała na niego uważnie.

– Mówiłam, że podziwiam twoją matkę, i rzeczywiście tak myślę. Ma takie piękne, zdrowe dziecko. Cieszę się, że los jej sprzyjał.

Ujęła jedną dłoń Sama i stuknęła lekko w każdy palec, odliczając je kolejno.

– Moje nie miało palców – wyszeptwała. – Miało szpony.

Pani Reed puściła rękę Sama, a on starał się pojąć znaczenie tych słów. Wtedy przypomniał sobie kobiety siedzące za stołem i słuchające opowieści pani Henry. Chciał powiedzieć pani Reed: „Nie pani jedna”. Ale wtedy ona powiedziała, co następuje:

– Jack zabrał je od mojej matki i udusił w kącie. Słyszałam, jak umiera.

Sam podszedł do pani Reed i przytulił się do niej całym ciałem, tak jak czasem lubiła Grace. Czułość dziecka.

– Przykro mi – powiedział.

Ale pani Reed odsunęła go od siebie.

– Przykro? – zapytała. – Jack zrobił, co było konieczne.

Sam podparł się dłonią o łóżeczko, żeby zachować równowagę.

– Zrobił, co było trzeba – dodała pani Reed.

Opanowała się już. Poszła teraz w głąb strychu, w stronę łóżka.

– Chcę porozmawiać z tobą, drogie dziecko, o tym, co jest *teraz* konieczne i co trzeba zrobić. Wszyscy w mieście znaliśmy twojego ojca i nikt nie osądzał twojej matki za podjętą decyzję. Był nikczemnym człowiekiem.

Pani Reed nachyliła się nad materacem i podniosła coś, co na nim leżało.

Sam cofnął się trzy kroki od dziecięcego łóżeczka, a raczej zatoczył się w tył.

– Ale innych decyzji nie możemy jej wybaczyć tak łatwo.

Pani Reed w wyciągniętych rękach trzymała sukienkę.

Z granatowego jedwabiu z irlandzką koronką.

– Kazałam to dla ciebie uszyć tego samego dnia, kiedy odwiedziłaś mnie w domu.

– Wtedy, kiedy mama panią spoliczkowała? – zapytał Sam, czując strach i gniew. – Wtedy?

Pani Reed zacisnęła mocniej dłonie na tkaninie sukienki i potrząsnęła nią, ale nic nie powiedziała.

Sam obejrzał się przez ramię na drzwi.

– Gdzie moja mama?

Podszedł do drzwi i chwycił klamkę.

– *Samantho Price* – powiedziała stanowczym tonem pani Reed.

Sam czuł, że jego ciało sztywnieje przy drzwiach. Przez chwilę nie wiedział, co powiedzieć, pani Reed powtórzyła więc:

– *Samantho Price*. *Tak* się nazywasz.

– A pamięta pani, jak nam czytała o księżniczce Wołońskiej, tej Rosjance, która nosiła męski strój, żeby walczyć na wojnie? Powiedziała pani, że była dzielna. Prosiła nas pani o modlitwę za takie kobiety.

Pani Reed zbyła go śmiechem.

– Nie chcesz chyba porównywać kobiety walczącej na wojnie z tym, że cię proszę, byś założyła sukienkę, prawda? Bądź posłuszna, jesteś bystrym dzieckiem.

Zanim Sam zdołał cokolwiek zrobić, ktoś zapukał do drzwi i Sam cofnął rękę z klamki, jakby go oparzyła.

– Proszę wejść – zawołała pani Reed i drzwi otworzyły się cicho.

Do środka zajrzał chłopiec.

– Nie przyszedłem za późno? – zapytał.

– Nie – odparła pani Reed. – W samą w porę.

Chłopak przekroczył próg. Nie był dużo większy od Sama. A Sam nie potrafił wydobyć ani słowa, ponieważ rozpoznał tę twarz.

– *Samantho Price* – powiedziała pani Reed. – Poznaj, proszę, Joaba Reeda.

Chłopak w progu raptownie się napiął, jakby dostał klapsa. Nie zwracał uwagi na Sama.

– Joaba Reeda? – powtórzył z niedowierzaniem. – Naprawdę?

– Owszem – powiedziała pani Reed. – Tak zaproponował pan Reed. A ja na to przystałam.

Pani Reed ruszyła do Sama i Joaba, trzymając sukienkę. Wręczyła ją Samowi, który ją przyjął. Był zbyt osłupiały, by odmówić.

Pani Reed otworzyła drzwi i wyszła za próg, gestem przywołując do siebie Joaba. Wcześniej mówiła, że nie mieli dzieci – żadnych, które przeżyły, kim więc był ten chłopak? Bratankiem jej męża? Czy to bratanek postrzelił jego matkę?

– Zabrałeś mi buty – powiedział Sam.

Pani Reed nie rozumiała znaczenia tych słów, ale chłopak bez wątpienia je pojął. Rzucił Samowi lodowate spojrzenie, zimniejsze, niż gdyby w tej rezydencji zarwał się dach i do środka wpadł mroźny wiatr. Pani Reed nie wiedziała, o co chodzi.

– Ale przecież masz na nogach buty, kochanie – odparła pani Reed.  
Czy miała kiedyś głupszą minę niż w tej chwili? Sam parsknąłby śmiechem, gdyby nie to, że z trudem oddychał.  
– Przebierzesz się teraz w odpowiedni strój – oznajmiła pani Reed, dźgając palcem trzymaną przez Sama sukienkę. – Potem przyślę tu Joaba z powrotem. Dotrzyma ci dzisiaj w nocy towarzystwa.  
Joab przyglądał się Samowi chłodno.  
– Co mam robić? – zapytał panią Reed.  
– Po prostu powitaj Samanthę w rodzinie.  
– Ja już mam rodzinę! – krzyknął Sam.  
Pani Reed zamknęła drzwi. Sam słyszał ich oboje za progiem, czekających, aż założy sukienkę. Pani Reed przycisnęła policzek do drzwi i powiedziała cicho, wręcz ciepło:  
– Teraz masz lepszą.

## 56

Koń ciągnący wóz. Na wozie zawieszona latarnia. Właśnie ją widziała Fiona. Na wozie jeden człowiek. Okutany tak, że widać było tylko oczy. Najbardziej rozpoznawalny był wóz. Słyszały go na długo, zanim się do nich zbliżył. Długi, skrzypiący dźwięk, który Adelaide z początku wzięła za wycie wiatru. Ale to tylko skrzypiały nieoliwione osie kół tego drewnianego wozu, typowego wozu Metysów. Woźnica zwolnił i zatrzymał konia przed kobietami.

Bertie Brown odsunęła szal z twarzy. Adelaide spojrzała na nią. Bertie się uśmiechała.

– Panie Cardinal – powiedziała. – Już myślałam, że tym razem się minęliśmy.

– Znalazła pani jęczmień? – zapytał. Jego głos dochodził stłumiony spod szala na ustach. – Zostawiłem na progu.

– I tam go znalazłam – zapewniła Bertie.

Na chwilę wstrzymała oddech. Kiedy to było? Rok temu? Wczoraj? Jak ma teraz orientować się w czasie? Teraz istnieje czas przed opowieścią Adelaide i po niej. Czy Bertie Brown uwierzyła w tę historię? Dobre pytanie. Odpowiedź brzmiała: tak. Ale tylko w jej główne zarysy. Bertie wierzyła, i to głęboko, że Adelaide ma siostrę, którą podle traktowano, porzuciono, i którą teraz musiały odnaleźć. I tyle Bertie wystarczyło.

– Myślałam, że już pan wrócił do Saskatchewan – powiedziała Fiona.

Clement Cardinal odgarnął szal z ust. Miał gęste wąsy, ale nie nosił brody. Jego chuda twarz była ściągnięta. Zastanawiał się, czy widać po nim, jaki jest wyczerpany. Żałował, że ominęło go gościnne przyjęcie Pod Ślepym Wieprzem, jednym z niewielu miejsc, do których jeździł z towarami, gdzie naprawdę czuł się bezpiecznie.

– Widziałem sześciu białych mężczyzn, jechali wierzchem na zachód – poinformował. – Postanowiłem udać się w przeciwną stronę.

– Jechali na zachód? – upewniła się Adelaide. – Dokąd?

Clement odwrócił się i wskazał za siebie. Znajdowało się tam najpewniej tysiąc różnych miejsc, ale jedno z nich bez wątpienia było Adelaide znane.

– Do mojej chaty – powiedziała.

Clement spojrzał teraz uważniej na tę nową kobietę. Jeszcze mu nieznaną. Była potężniejszej budowy od towarzyszek, większa nawet od niego. Bertie i Fiona wpatrywały się w nią i Clement szybko pojął, kogo ścigali mężczyźni, których minął.

– Nie poznaliśmy się – powiedział.

– To pani Henry – przedstawiła ją Bertie.

– Dobry wieczór, pani Henry. Przykro mi, że przynoszę złe nowiny.

Wszyscy czworo na chwilę zamilkli. Pomruk wiatru mógł być odgłosem wiru ich wspólnych myśli.

– Wóz mam już prawie pusty – powiedział w końcu Clement. – Zostało tylko kilka futer, których nie zdołałem sprzedać.

Spojrzał na Adelaide.

– Mogłaby pani wsiąść na wóz i schować się pod futrami, a przewiozłbym panią przez granicę. Rankiem już byśmy byli po drugiej stronie.

– Zrobiłbym pan to dla mnie? – zapytała zdumiona Adelaide. – Przecież nawet mnie pan nie zna.

Clement dwoma palcami leciutko uchylił kapelusza z szerokim rondem.

– Kobieta w potrzebie zawsze może na mnie liczyć. Niech pani przyjedzie do nas i zamieszka z Metysami, jesteśmy bardziej cywilizowani niż Amerykanie czy Kanadyjczycy.

Bertie pokręciła głową.

– Niech pan przestanie flirtować, panie Cardinal.

– Nie flirtuję! – odkrzyknął.

Flirtował?

W środku nocy na równinach Montany, kiedy oddział pościgowy szukał tej kobiety? Nie. Nie flirtował. Jeszcze nie.

Ale czy by zaczął, kiedy już przewiozłby ją w bezpieczne miejsce? Bez wątpienia.

– Jestem bardzo wdzięczna, panie Cardinal, ale nie mogę przystać na pańską propozycję.

Adelaide nie patrzyła już w stronę swojego domu, tylko przeszukiwała wzrokiem horyzont. Elizabeth nie wróciła do chaty od śmierci Mudge'ów. Adelaide wątpiła, by jej siostra była w obejściu akurat teraz. Ale jeśli nie tam, to gdzie?

Usiłowała siostrę zrozumieć, to znaczy próbowała domyślić się choć trochę, jak Elizabeth może rozumować. Sprawiało jej to ból, ponieważ oznaczało przyznanie, że jej siostra jest istotą myślącą, a każda myśląca istota tak długo trzymana w zamknięciu, byłaby wściekła. Elizabeth już wyładowała tę furię na rodzicach, a Adelaide wątpiła, czy jej samej odpuściłaby przewiny. Rozumiała, co ją czeka przy spotkaniu z siostrą. Zemsta, wściekłość, zapłata za krzywdy. Wszystko zasłużone. Czy zrobiłam wystarczająco dużo? Po co zadawać takie pytania, skoro odpowiedź jest jasna? Zrobiła o wiele za mało.

Kiedy zobaczyła góry, już wiedziała, gdzie szukać. Wyczuwała to. Bo gdzie indziej Elizabeth mogła się udać? Wskazała palcem, żeby inni też spojrzeli.

– Nie muszą państwo ze mną jechać – zaznaczyła.

Bertie i Fiona ściągnęły wodze, żeby zwrócić konie w tamtą stronę.

Clement Cardinal uniósł jedną dłoń.

– Nie wiem, o co tu chodzi, ale nie pojedę w góry w środku nocy.

Adelaide roześmiała się i dobrze się z tym poczuła.

– Nie mam tego panu za złe.

Bertie zwróciła się teraz do Clementa.

– Zawróci pan do Ślepego Wieprza i tam zaczeka? Może pan odpocząć, zjeść, napić się – na co tylko ma pan ochotę.

– Bardzo chciałbym się ogrzać przy kominku – przyznał Clement. – Ale co będzie, jeśli ten oddział przyjedzie do Ślepego Wieprza, kiedy nie zasta nie pani Henry w jej chacie? Muszą wiedzieć, że się panie przyjaźnią.

Fiona popatrzyła na niego.

– Zatem spotkamy się z panem w Saskatchewan.



Jacka Reeda, McNamare, Marlowa, Finna Kirby'ego, Matthew Kirby'ego i syna pani Sterling – to tych sześciu jeźdźców widział Clement Cardinal. Jack Reed z trudem tłumiał wściekłość, że musiał dosiąść cudzego konia, bo wszystkie jego wierzchowce uciekły. Jechał na koniu rasy quarter horse, ze stajni Marlowa. Ale przynajmniej wyprzedzał pozostałe. I przynajmniej miał duże szanse dotrzeć do chaty Murzynki jako pierwszy.

Nikt nie rozmawiał podczas jazdy. Bo i po co? Wiedzieli, dokąd zmierzają, a Finn albo Matthew Kirby przecież zawołałby Jacka Reeda, gdyby zgubił drogę. Mężczyźni jechali w milczeniu, ale wiatr miał wiele do powiedzenia. Jack Reed czuł, jakby wichur wdercał się w jego twarz i znajdował dostęp do najgłębiej ukrytych wspomnień. Szczególnie jedno było schowane tak głęboko, że myślał, że już nigdy go stamtąd nie wydobędzie.

Trzymał w wyciągniętych rękach zawiniątko. Nie mówił o nim „niemowlę”. *Nigdy* nie nazwałby tego dzieckiem. A więc zawiniątko na rękach i słowa jego teściowej: „Jack, zrób, co do ciebie należy”. Dłonie teściowej krwawiły, bo skórę miało tak szorstką w dotyku. „Jack, zrób, co do ciebie należy”.

Zrobił bez sprzeciwu. Coś dziwnego dostało się do jego domu i pogrążyło Jerrine w bólu i rozpacz. A Jerrine znaczyła dla niego więcej niż stracone konie, niż gmach opery, niż całe Big Sandy. Jakżeż ona szlochała, gdy je zobaczyła. Między innymi dlatego zrobił, co do niego należało. Bo słyszał ten rozpaczliwy szloch żony. Wszystko, co krzywdziło Jerrine, stawało się jego wrogiem.

A teraz, tego ranka, Matthew Kirby podzielił się z nimi swoją historią, siedząc w salonie Jacka i Jerrine obok swojego niewzruszonego stryja. A potem, w operze, opowiedział tę historię jeszcze raz. Historię grozy, którą przeżył. Opowieść o demonie trzymanym przez Murzynkę, która właśnie dlatego musi być jakąś wiedźmą. I przeróżne inne absurdy, które bez wątpienia zadziały na innych. Uwierzyli w nie nawet McNamara i Marlow, których miał za ludzi zbyt wykształconych, by dali się nabrać na brednie. Ale teraz rozumiał, że jedynie działali pod wpływem wszystkiego, co dotąd pokazał im świat. Jak coś tak potwornego i dziwnego mogło się pojawić, jeśli nie za sprawą samego diabła? Tymczasem on i Jerrine odebrali inne wykształcenie. Tym, co ich dwoje przerażało najbardziej, była świadomo-

mość, że w takim razie na świat przyszło co najmniej *dwoje* potwornych dzieci. Ta konstatacja nie przyniosła im ulgi.

Znajdowali dotąd pewne pocieszenie w myśli, że tylko oni doświadczyli takiej grozy. Że w dziejach ludzkiej rasy tylko oni przeżyli ten horror. Dlatego nigdy potem nie starali się już o dziecko. Zamiast tego całą energię włożyli w miasto, w jego mieszkańców. Gmach opery, Pracowite Pszczółki – na tej zepsutej ziemi wyrosły dobre rzeczy, którymi zajmowali się ze szczerym oddaniem. A jeśli nawet czuli się winni, jeśli nawet uważali, że są na swój sposób przekłęci, nigdy o tym nie wspominali. Nigdy o tym nie wspominali. Nigdy o tym nie wspominali.

Ponieważ byli przekonani, że postąpili absolutnie słusznie, Jack Reed, słuchając Matthew Kirby'ego, miał w głowie tylko jedno pytanie: „Czy tamci wychowali to coś?”. Ta wizja go zdruzgotała. Oznaczałaby, że inni ludzie zrobili to, na co on i Jerrine się nie zdobyli. Jakaś murzyńska rodzina okazała się od nich twardsza.

– Już ją widać! – krzyknął Finn Kirby.

Jack otrząsnął się z zamyślenia, powrócił do świata. Choć wydawało się, że ziemia wokół jest niemal bezkresna, była niczym w porównaniu z tym, co on – co każdy człowiek – nosi w swoim wnętrzu.

Jack Reed nie zauważyłby tej chaty, gdyby pan Kirby nie krzyknął.

– Wygląda na to, że nie ma jej w domu – stwierdził, gdy pozostali zebrali się wokół niego. Konie parskały, prychały i ciężko dyszały. Zwierzęta jadące na zwierzętach, tym właśnie byli, niczym więcej.

– Wejdziemy? – zapytał jeden z mężczyzn.

Jack Reed zsiadł z konia i oddał wodze w ręce Marlowa. Ruszył w stronę chaty, a z każdym krokiem czuł wzbierającą furię. Nie zapukał do drzwi – wyważył je kopniakiem. Nie stawiały oporu. Rozpadły się tak łatwo, że Jack Reed z impetem wpadł do środka.

Wszystko było bardzo zwyczajne. Łóżko, kuchenka, naczynia i książki. A czego się spodziewał? Nie umiał powiedzieć. Cokolwiek by zastał, czułby wściekłość. Jack Reed wywrócił łóżko i kopnięciem przewrócił kuchenkę. Dostrzegł kufer. Otworzył go, ale skrzynia była pusta. To go rozwścieczyło jeszcze bardziej. Nic nie mogło go zadowolić.

Pozostali mężczyźni stanęli w drzwiach i patrzyli, jak Jacka Reeda ogarnia szal.

– Podłóżcie ogień! – krzyczał do pozostałych. – Spalcie wszystko, co ma!

– To pan stoi tuż przy kuchence – zauważył Finn Kirby.  
„Jack, zrób, co do ciebie należy”.

Wyszli przed chatę, gdy wewnątrz zajęło się ogniem. Gazety, które Adelaide Henry używała do zatykania szpar, okazały się szczególnie użyteczne jako rozpałka. Tuż zanim płomień objęły całą chatę, Matthew zeskoczył z konia i wbiegł do środka. Pozostali patrzyli z niedowierzaniem. Finn Kirby krzyknął za bratankiem. Chwilę potem usłyszeli szorowanie czegoś ciężkiego, wleczonego po podłodze.

W drzwiach pojawił się Matthew Kirby, ciągnąc za sobą kufer. Mógł to teraz robić nawet swoją jedną sprawną ręką. Pusta skrzynia była o niebo lżejsza.

W słabym blasku księżyca mężczyźni patrzyli, co robi Matthew Kirby, i z trudem tłumili irytację. Było późno, wszyscy mocno przemarzli i nawet nie zastali tu tej kobiety. A teraz jeszcze ten idiota zawracał sobie głowę jakąś skrzynią?

Finn zsiadł z konia i z juków wydobył sznur.

– Koń ją pociągnie – powiedział, zapewniając tym samym resztę, że to nie ich zmartwienie.

– Jeśli skrzynia go spowolni, zostawimy obu panów – zapowiedział Jack Reed.

Finn przykucnął i zawiązał węzeł na jednym z uchwytów kufra.

– Duzi z nas chłopcy. Znajdziemy drogę.

– Skoro kobiety nie ma tutaj, to gdzie jest? – zapytał McNamara, wracając do sedna poszukiwań.

– Może Pod Ślepym Wieprzem? – podrzucił Marlow, zerkając na Jacka Reeda, bo był ciekaw, czy tam również Reed zamierza rozpętać piekło.

– Pod Ślepym Wieprzem. Świetnie – zgodził się Jack Reed. – A jeśli tam jej nie będzie, już one nam wyśpiewają, gdzie jest.

Dosiedli koni. Przez krótką chwilę Jack Reed siedział zgarbiony w siodle. Czuł, jak trzęsie nim gniew, i wiedział, że nie wystarczy zadać Bertie Brown paru pytań. Anielica nie miała już pracy w mieście, a Pracowite Pszczółki domagały się wprowadzenia ustawowej prohibicji. Ruch na rzecz prohibicji miał wielu zwolenników w całym stanie. Dlatego Bertie też niedługo miała zostać bezrobotna. On już to wiedział, nawet jeśli ona nie była tego jeszcze świadoma. Pod Ślepym Wieprzem nie przetrwa. Jeśli chata spłonie, nikt jej nie odbuduje. Okręg jest olbrzymi, ale już niedługo takie

kobiety nie znajdą w nim dla siebie miejsca. Jemu samemu będzie ich brakowało, ale nie zamierza o nie walczyć.

– Niech panowie spojrzą – powiedział syn pani Sterling. Jak mu było na imię? A kto by pamiętał...

Wskazywał w stronę gór Bear Paw. Oświetlała je jedynie poświata księżycy w trzeciej kwadrze, ale to wystarczało.

– Co to takiego? – zapytał chłopiec od pani Sterling. Dziwne było nazywać go chłopcem, był w wieku Matthew Kirby’ego.

– Za duże na ptaka – stwierdził McNamara.

– I za późna godzina, by nocne ptaki latały – dodał Marlow.

– Wiedzą panowie, co to – powiedział Finn Kirby. – Mój bratanek już panom wyjaśnił.

Po tych słowach na chwilę zapadło milczenie. Słuchać opowieści o potworze to jedno, a widzieć go – zupełnie co innego.

– Ależ jest ogromny – wyszeptał Marlow. – Nawet z tej odległości.

– Jest na łowach? – zapytał zaleknionym głosem syn pani Sterling. I trudno go winić, że zdjął go strach.

Wszystkich sześciu mężczyzn siedziało w siodłach, ale żaden nie spiął konia. Co prawda widzieli potwora, ale jeszcze nie stanęli z nim twarzą w twarz. To w dalszym ciągu mogła być gra świateł, jakaś ciemna plama na ich oczach, zbiorowe złudzenie. Ale kiedy tylko ruszyli w stronę potwora, nie było już odwrotu. Mieli się teraz dowiedzieć, że świat skrywa więcej tajemnic, niż do tej pory obejmowali umysłem. Większość ludzi nie chce tego wiedzieć. Większość ludzi woli znać tylko historie usłyszane w dzieciństwie, kiedy rodzice próbowali objaśnić im świat.

– Niech panowie spojrzą – powiedział Finn cicho. – Nurkuje.

– Ha! Czyli *jest* na łowach – wyszeptał syn pani Sterling.

– A na co poluje? – zapytał Matthew Kirby, odzywając się po raz pierwszy, odkąd wyruszyli na tę wyprawę.

Jack Reed spiął konia.

– Przekonajmy się.

## 58

– Pani Brown, dlaczego odwraca pani ode mnie wzrok?

Adelaide jechała obok Bertie, a Fiona tuż za nimi.

– Skąd pani wie w środku nocy, gdzie patrzę? – odparła Bertie.

Zbliżały się do gór Bear Paw i do wszystkiego, co się mogło w nich kryć. Dlaczego zdanie Bertie miało dla Adelaide w ogóle jakieś znaczenie? A jednak miało.

– Po prostu wiem – odpowiedziała Adelaide.

Bertie jechała w milczeniu. Adelaide wiedziała, że już niedługo dotrą do podnóży gór. Dalej ku szczytom wiodły szlaki dostępne tylko piechotą. Będą musiały uwiązać konie. Zastanawiała się, czy ten handlarz, pan Cardinal, dobrze wskazał, w którą stronę pojechało konno sześciu białych mężczyzn. Jeśli tak, może już byli w jej chacie.

– Urodziłam się w okręgu Perry – powiedziała Bertie, odrywając Adelaide od jej własnych myśli. – W Missouri. Moja pierwsza praca polegała na tym, że miałam stać w nocy przy łóżku pana Josepha i wachlarzem odpędzać od niego muchy. Dostawałam karę, jeśli zasnęłam i muchy go gryzły. Miałam wtedy chyba sześć lat. To było pięć lat po wojnie domowej. Byliśmy wyzwoleni. Niewolnictwo się skończyło, ale ja nadal tkwiłam w niewoli. Problem polegał na tym, że nie miałam przy sobie żadnej bratniej duszy. Moja matka wychowywała nas na plantacji, ale ojciec mieszkał na innej, niedaleko. A potem umarł, a po nim umarła matka, a później pan Joseph sprzedał co drugie dziecko. Ja się urodziłam ostatnia. Nie pamiętam twarzy matki ani moich sióstr, ani braci. Pan Joseph zatrzymał mnie z poczucia lojalności wobec mojej mamy. Tak mówił. Ale ja myślę, że potrzebował kogoś do pracy w domu. Mimo wszystko to właśnie on nauczył mnie, jak warzyć domowe piwo. Tylko że był zbyt niecierpliwy i nigdy nie pozwalał zacierowi sfermentować dostatecznie długo. Ja jedynie udoskonaliłam jego metodę.

Fiona zrównała się z nimi, a potem je wyprzedziła. Adelaide widziała, jak spogląda na górskie szczyty, a potem, przez krótką chwilę, patrzyła jeszcze wyżej i bardziej na zachód. Co takiego widziała?

– Być może ma pani rację, pani Henry. Tłumiłam w sobie burzę sprzecznych uczuć, odkąd opowiedziała nam pani o swojej rodzinie, o tej pani siostrze. Nie wiem, co takiego znajdziemy, kiedy ją wytropimy. Jeśli mam być całkiem szczerą, nie spodziewam się skrzydlatego stwora ze szponami. Spodziewam się Bożego dziecka, które porzucono i które zaniedbano. Którego rodzina nigdy nie przyjęła do siebie, nie otoczyła ciepłem. A dlaczego? Ponieważ urodziło się takie, że coś wam w nim przeszkadzało. Może pani siostra jest kulawa? A może umysł ma niespokojny i rozbiegany? To dlatego ją ukrywaliście? Dlatego trzymaliście ją pod kluczem?

Musi mi pani wybaczyć, ale z każdym oddechem czuję, jak gniew we mnie narasta. Ale może dlatego tak mnie to boli, że ja nigdy nie poznałam swojego rodzeństwa. Nieważne jacy byli, nieważne kim byli, myślę, że bym ich przyjęła i uznała za swoich. Proszę mi wierzyć, że potrzebowałam mieć kogoś po swojej stronie. Dlatego teraz jestem taka wdzięczna pani Wong. Potrzebowałam kogoś, kto będzie stał za mną murem. I wydaje mi się, że pani siostra też tego potrzebowała.

Wydawało się, że Adelaide chce coś powiedzieć, że już otwiera usta, ale zdusiła cisnące się na nie słowa.

Jadąca przed nimi Fiona odwróciła się teraz w siodle, krzycząc i machając, ale one nie rozumiały.

– O co ci chodzi? – odkrzyknęła Bertie.

I tylko tyle zdążyła powiedzieć, a za chwilę sama poznała odpowiedź, gdy Adelaide Henry poderwała się z konia do lotu.

Dla pełnej jasności: Adelaide Henry poderwała się do lotu. Jej koń natomiast się rozleciał.

Abdiasz rozłamał się i złożył wpół. Nie zdążył nawet zarzęć czy parsknąć. W miejscu jednego konia, starego wałacha imieniem Abdiasz, były teraz dwa kawały mięsa, które niedługo miały zapełnić brzuchy pobliskiej watahy wilków.

Pani Henry leciała.

Wysoko w górze.

Znikała w oddali.

Bertie wpatrywała się w niebo, niczego nie pojmując. Coś się stało, ale było to do tego stopnia sprzeczne z jej pojmowaniem świata, że trudno jej było w to uwierzyć. Ręce i nogi pani Henry widać było dziesięć jardów w górze jakieś dwadzieścia stóp od miejsca, w którym stały Fiona i Bertie.

Pani Henry nie frunęła, tylko była unoszona.

– Fiono! – krzyknęła Bertie. Nie wołała o ratunek, tylko z niepokoju o przyjaciółkę.

– Jestem tutaj – odparła Fiona, która stała bliżej, niż Bertie myślała. – Jestem...

Obie patrzyły, jak wielki kształt wzbija się pod nocne niebo, zmierzając w stronę szczytu najbliższej góry.

– Myślałam, że opowiada bajki – wyszeptła Bertie.

Jakie olbrzymie były te skrzydła! Biły głośniej niż serce w piersi Bertie Brown! Czy obie musiały teraz ruszać Adelaide na ratunek? A miały, do

cholery, jakiś wybór po przemowie, którą Bertie palnęła pani Henry?

Fiona chwyciła towarzyszkę za rękę.

– Wiem – powiedziała Bertie. – Dostaniemy się pod szczyt. Damy radę.

– Nie – odparła Fiona. – Chyba nam się nie uda.

Bo oto pojawiło się sześciu mężczyzn na koniach. Otoczyli Fionę i Bertie.

Bertie opanowała się i skupiła na ich przywódcy.

– Pan Reed – powiedziała, uspokajając głos. – Może mają panowie ochotę na partyjkę w karty i na tyle piwa, ile dusza zapagnie?

Jack Reed wziął głęboki oddech. Dziesięć lat odwiedzin Pod Ślepym Wieprzem – może wręcz przyjaźni – zawarło się w tym jednym wymienionym przez nich spojrzeniu.

– Nie pora na gry, pani Brown.

## 59

Drzewa się kołysały. Nigdy nie oglądała ich od tej strony. Z góry.

Nie była całkiem przytomna, ale odzyskiwała czujność. Wcześniej siedziała w siodle i rozmawiała z Bertie, widziała, jak Fiona wskazuje na niebo... A teraz znajdowała się tutaj. Patrzyła na drzewa. Kołysały się. W uszach miała wyłącznie dzwonięcie. Może ktoś ją postrzelił? I teraz widziała to wszystko, wznosząc się do nieba? Prawda, że byłoby miło? Wyobrażać sobie, że zasługuje na niebo...

„Kobieta to wół roboczy”.

Słyszała wyraźnie matkę. Eleonor mogła być obok niej w powietrzu. Kolejny dowód, że Adelaide opuściła już ziemski padół i zbliżała się do wiecznej krainy.

„Kobieta to wół roboczy”.

Wyginała ciało, wiła się i wierzgała. Coś ją trzymało. Może ręka Boga? Nie miała pojęcia, bo nic nie widziała. Mrużyła oczy, ale nie dostrzegła niczego poza tymi drzewami.

„Kobieta to wół roboczy”.

Słyszała głos matki mówiącej te słowa, dawniej powtarzane przez nią częściej niż „kocham cię” – i całe jestestwo Adelaide odpowiedziało na nie wstrętem i przerażeniem. Jeśli zmierzała do miejsca, gdzie znowu spotka tę kobietę i będzie musiała wysłuchiwać jej mantry, tego wyjaśnienia sensu życia – nie chciała tam lecieć. Jeśli tylko to wieczność miała jej do zaofero-

wania, wolała obrócić się w proch. Kopała więc w powietrzu i wymachiwała rękami, aż w końcu udało jej się wyrwać. Spadła z powrotem na ziemię.

Bolało jak diabli.

Spadała przez drzewa. Gdy leciała ku ziemi przez gałęzie, nie sprawiały już wrażenia takich miękkich i rozkołysanych. Spowolniły lot, ale upadek nie był łagodny. Kiedy wylądowała, była już w pełni przytomna, choć tego żałowała.

Przypomniała sobie, po co jechała w te góry. Na myśl o Elizabeth podniosła się. A właściwie – zaczęła się czołgać. W stronę czegoś widocznego w pobliżu. Światła? A skąd tutaj światło? Czyżby Elizabeth nauczyła się rozpalać ogień? Powłóczyła ciałem po ziemi. Odpychała się dłońmi i kolanami, prawie nie podnosząc przy tym tułowia.

Znalazła się u progu niewielkiej chaty. W drzwiach stali drobny mężczyzna i kobieta. Kobieta mówiła, mężczyzna patrzył. Kobieta przedstawiła ich jako Carlotę i Francisca. Całą noc podtrzymywali ogień w palenisku.

– Pani się z nią minęła.

– Moja siostra. Gdzie ona jest? – zapytała Adelaide.

Na dźwięk tych dwóch słów – „moja siostra” – obydwójce pochylili się niżej i uważniej przyjrżeli się Adelaide. Potem spojrzeli po sobie. Dotąd stali w wejściu, teraz jednak ustąpili na bok. Nie pomogli jej wstać, ale Carlota zaprosiła ją gestem do środka. Adelaide podniosła się, choć nie bez trudu. Jęcząc i stękając weszła w krąg światła.

– Teraz widzę podobieństwo – powiedziała Carlota.

– To żart? Jestem zbyt zmęczona na żarty.

Francisco, który już szedł do kuchni, powiedział:

– Szuka pani w niewłaściwym miejscu.

– Podobieństwo jest tutaj – wyjaśniła Carlota. Poklepała się po piersi na wysokości serca.

Czemu nogi Adelaide zaczęły wtedy drżeć? Kolana ugięły się pod nią i musiały przykucnąć.

Wrócił Francisco z kubkiem kawy dla Adelaide. Objęła kubek dłońmi i starała się chłonać nimi ciepło, żeby rozprowadzać je dalej po całym ciele.

Francisco trzymał mniejszy kubeczek, wielkości naparstka.

– Owcze mleko – powiedział.

Adelaide skinęła głową, a wtedy on przelał biały płyn do jej kubka. Adelaide zaczęła pić, jeszcze zanim opróżnił małe naczynko. Siorbała, głośno



łykała wielkie hausty i w całej chacie słychać było tylko te odgłosy.

Carlota i Francisco przyglądali się, jak pije.

– Gdzie ona jest? – zapytała jeszcze raz.

Nie rozumiała ironii własnego pytania. Przecież była z Elizabeth jeszcze kilka chwil temu. Carlota podeszła do otwartych drzwi chaty i wskazała pod niebo, na szczyt góry.

– Pójdę już – powiedziała cicho Adelaide. Oddała kubek w ręce Franciscusa. – Dziękuję.

Podniosła się nieco za szybko i zakręciło jej się w głowie. Była jednak dość wysoka, by dłonią przytrzymać się stropu. Ciało, oczywiście, nadal bolało ją od upadku, ale stało się też coś innego. Jakaś zmiana zaszła w jej zmyśle wzroku. Barwy świata wydawały się teraz jaskrawsze, krańce pola widzenia niewyraźne. Spojrzała ponownie na dwa kubki w dłoniach Franciscusa.

– To naprawdę było owcze mleko? – zapytała.

– Tak – zapewnił Francisco.

– I nie – dodała Carlota.

– Co zrobiliście? – zapytała Adelaide.

– To, co pani wypila, pomoże tam, na górze – wyjaśniła Carlota.

Adelaide podeszła do drzwi. Na progu Carlota wręczyła jej latarnię, już zapaloną.

– W jaki sposób mi to pomoże? – zapytała Adelaide.

– Pomoże widzieć wyraźniej – powiedziała Carlota. – Zobaczyć, jak trzeba postąpić.

\*\*\*

Adelaide z trudem brnęła ścieżką prowadzącą od chaty, usiłując obmyślić, jak dostać się na szczyt. Bez latarni nie dałaby rady, zgubiłaby się w tym lesie już na zawsze. Ale w końcu znalazła miejsce, gdzie na śniegu widać było ślady jeszcze nieprzysypane świeżymi puchem. Z początku wzięła je za tropy niedźwiedzia albo łosia. Jakiegoś zwierzęcia o czterech łapach, wielkiego i dzikiego. Ale mogły należeć też do Elizabeth.

Kiedy zaczęła iść ich śladem, zwróciła uwagę na drzewa.

Już się nie kołysały, tylko falowały. Jak zasłony. Wiedziała, że to niemożliwe, ale wtedy przypomniała sobie Carlotę, Franciscusa i ten napój.

Zatrzymała się i wpatrywała w drzewa. Gdyby były zasłonami, niedługo by się rozsunęły. I co takiego by się ukazało?

Gdy wyteżyła wzrok, w dali za drzewami dojrzała farmę.

Ich farmę. Tę w dolinie Lucerne.

Słońce. Bez wątpienia widziała promienie słońca. Podeszła dwa kroki w stronę drzew, myśląc, że poczuje ciepło słońca, ale wtedy drzewa przesunęły się dalej. Kolejne dwa kroki – i stanęła. A co, jeśli będzie szła za tą wizją, aż całkiem zgubi drogę? Łatwo było pogonić za przeszłością i stracić z oczu to, co wydarza się teraz.

Odwróciła się, poświeciła latarnią na ziemię, wróciła na ścieżkę i jeszcze tylko raz obejrzała się przez ramię. Dolina Lucerne nadal widniała w dali – słoneczny dzień, farma – na wyciągnięcie ręki, ale zawsze poza zasięgiem.

Linia drzew załamała się i wizja zniknęła, a Adelaide odczuła jej stratę jako ból w przełyku. Było za zimno, by płakać. Widziała już teraz szczyt. Za nim, w tle, rozwierała się gardziel nieba. Adelaide wspinała się dalej po zboczu.

Dotarła do wejścia do jaskini.

Poczuła na twarzy falę ciepła. Dochodziło z wnętrza groty. Czy miała halucynacje? Nie.

Ciepło, które czuła, było ciepłem oddechu Elizabeth.

\*\*\*

Elizabeth urosła.

Adelaide musiała odchylić się w tył, żeby ogarnąć ją całą wzrokiem. Miała nad sobą ogromną głowę siostry, która wpatrywała się w nią wielkimi srebrnymi oczami. Adelaide nie rozumiała, jakim cudem sama cokolwiek widzi w tych ciemnościach. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że trzyma zapaloną latarnię. Płomień nie był mocny, ale wystarczał, by mogła się zorientować, że jaskinia jest przepastna, a ziejąca wokół czeluść wydaje się większa niż sama góra.

Adelaide wiedziała, że to nie może być prawda, ale podobnie jak wizja rodzinnej farmy, nie było to również nieprawdą.

Srebrne oczy poruszyły się teraz, z wdziękiem bliźniaczych rekinów. Zniżyły się, a Adelaide śledziła je wzrokiem. Trzy kroki, a byłaby z powrotem na zewnątrz, ale teraz było to zbyt daleko. Czekwała więc, aż jej siostra

się zbliży. Pod tymi oczami była jakaś paszcza, zęby. O ile Elizabeth urosła, Adelaide czuła, że się kurczy.

– Wiedziałam, co się działo w oborze – krzyknęła Adelaide. – Wiedziałam i trzymałam się z boku.

Oczy się zbliżyły. Widziała zarys niewiarygodnie wielkiej głowy Elizabeth.

– Chciałam, żeby cię zabili – powiedziała Adelaide. – I chciałam, żebyś ty zabiła ich.

Padła na kolana, poczuła w kościach przeraźliwy chłód kamienia.

– Chciałam, żebyście wszyscy umarli – wymamrotała. – Miałam nadzieję, że się pozabijacie. I że w końcu uwolnię się od rodziny.

Stało się zatem.

Należało wyznać całą prawdę.

– Odkąd pamiętam – ciągnęła – to ciebie stawialiśmy ponad wszystko. To ty nad nami panowałaś. Nie było ani jednego dnia, by moje życie nie było podporządkowane tobie. Ty przeżyłaś swoje zamknięta w oborze. Ja całe życie byłam służącą.

Elizabeth podpełzła na tyle blisko, że Adelaide czuła jej oddech, ciepły i cuchnący.

– Ale nigdy o tobie nie myślałam – wyszeptała Adelaide. Westchnęła głęboko. – To znaczy, nie myślałam o tobie w oddzieleniu ode mnie. Moje cierpienie pomagało mi zapomnieć o twoim.

Elizabeth przysiadła tak blisko, że mogła teraz bez wysiłku rozerwać szyję Adelaide.

– Potrzebowałaś siostry – ciągnęła Adelaide. – Ale dostałaś mnie.

Adelaide uniosła podbródek i odsłoniła szyję.

– Jeśli teraz mnie zabijesz, nie będę cię za to winiła.

Jeszcze bliżej. Aż niemożliwe, że został między nimi jakikolwiek dystans.

– Chcę, żebyś wiedziała, Elizabeth, że jest mi bardzo przykro. Nie wiem, czy to coś warte. Ale przepraszam cię, że nie byłam dla ciebie lepsza. Przepraszam.

Oddech Elizabeth rozlał się po szyi Adelaide, po jej twarzy. Miała wrażenie, że siostra nauczyła się ziać ogniem.

A może to ona płonęła od środka? Z wielkiego wstydu, tak łatwopalnego.

Adelaide łkała, gdy pochłaniały ją płomienie Elizabeth.

– Historia jest prosta – powiedziała pani Reed. – Przeszłość jest skomplikowana.

Opera. Oczywiście dziś wieczorem wszyscy tutaj się zgromadzili. Trzydzieścioro czworo mieszkańców Big Sandy. Najtwardszych i nieprzejednanych. Tych, którzy okopali się tu przed zimą. Dwadzieścioro z nich zajęło miejsca tuż przed sceną. To do nich zwracała się pani Reed.

– Kiedy spoglądamy wstecz na ten eksperyment, przez który rozumiem nasze miasto, choć mogłabym również mówić o całym naszym kraju – co możemy powiedzieć o jego ambicjach? Wszyscy przybyliśmy do Montany i zawarliśmy pewną umowę. Być może takie myślenie było naiwne z mojej strony, ale nawet jeśli, nie przeszkadza mi to. Niechaj będę naiwna. Niechaj będę optymistką.

Pani Reed spojrzała w bok i wywołała kogoś zza kulis. Jedna z Pracowitych Pszczółek – pani Mitchell – wyszła na scenę, niosąc worek. W środku było coś nieporęcznego, ale niezbyt ciężkiego. Podała worek pani Reed, a potem wróciła za kulisy.

– Takie miasto jak nasze jest wspólnym marzeniem. Być może przemawia przeze mnie próżność, ale czasem wyobrażam sobie, że dziennikarze i historycy będą o nas pisać. Będą chcieli zrozumieć, jak zdołaliśmy przetrwać, podczas gdy tak wiele innych miast w całym stanie po prostu zniknęło pożartych przez tę nienasyconą krainę. Bardzo trudno jest przetrwać w takim miejscu, należy wręcz zakładać, że większość miast, większość ludzi nie przetrwa. I to kolejny powód, dla którego, kiedy was tutaj widzę, dziękuję Bogu, że mój małżonek i ja osiedliliśmy się w Big Sandy.

Pani Reed upuściła worek na deski sceny. Wśród publiczności panowała taka cisza, że wszyscy usłyszeli głuchy odgłos, z jakim upadł. Był zawiązany sznurem. Pani Reed rozwiązała go, powoli, ponieważ ręce miała nadal zdrętwiałe od mrozu po wyprawie do siedliska Grace Price. W końcu zdołała rozsypać sznur i sięgnęła do worka. Spojrzała na widzów. Wszyscy wyciągali szyje, chcąc się przekonać, co jest w środku.

Pani Reed przykucnęła, nadal z ręką schowaną w worku.

– Kiedy pani Sterling zwróciła się do Pracowitych Pszczółek i przedstawiła plan na prowadzenie swojego interesu, z miejsca chciałyśmy jej pomóc. Oczywiście oznaczało to pewne zmiany w dotychczasowej organizacji spraw w Big Sandy. Mam nadzieję, że rozumieją państwo, iż – choć z pew-

nym smutkiem w sercu – musiałyśmy wesprzeć naszą współrodaczkę. Pani Wong i jej *droga przyjaciółka*, pani Brown, świadczyły usługi, których w naszym mieście już nie potrzebowaliśmy ani nie chcieliśmy, ale to nie znaczy, że mieliśmy do obu pań wrogie nastawienie. Można jednak wiele powiedzieć o człowieku na podstawie tego, z kim przestaje. Lubię myśleć, że w tym mieście Pracowite Pszczółki spotykają się z życzliwym przyjęciem. Znam każdego z państwa z imienia i nazwiska. Ciepło witam każdą nowo przybyłą osobę. Nawet dzisiaj zadaję sobie pytanie, czy powitałam tę kobietę, panią Henry, kiedy przyjechała do Big Sandy. Czy obdarzyłam gościnnością kogoś, kto sprowadził zło do naszego miasta. Widziałam miny niektórych z państwa, kiedy młodszy pan Kirby opowiadał swoją historię i wyjaśniał, co musiał przeżyć. Trudno mi winić wątpiących. Mogę tylko dodać, że kiedy pan Kirby przedstawiał nam swoją opowieść, wiedziałam, że mówi prawdę. Znałam tę prawdę z własnego doświadczenia. Na pewno nie ja jedna w naszym gronie rozumiem, że na świecie istnieje zarówno to, co prawe, jak i to, co przekłete. I to my sami mamy zdecydować, co pomoże nam w zbawieniu. Ja wiem, po której stoję stronie. Wiem, po której stronie stoją państwo. Uważam natomiast, że pani Henry szła ścieżką przeciwną. Wydaje się, że również pani Wong i pani Brown wybrały potępienie.

Jerrine Reed spojrzała w bok, ku kulisom, i pani Mitchell ponownie wyszła na scenę, ale teraz wiodła za sobą trzy inne kobiety – Bertie Brown, Fionę Wong i Grace Price. A za nimi kroczyli Finn i Matthew Kirby, McNamara oraz Marlow. Syn pani Sterling siedział koło matki na widowni w pierwszym rzędzie.

Fiona patrzyła prosto na panią Reed.

– Urodziłam się w Butte, suko.

Bertie i Grace roześmiałyby się, gdyby mogły, ale przeszkadzała im ogromna suchość w gardle.

– Mówię to bez radości – zapewniła pani Reed zebranych, podnosząc głos, jakby chciała zagłuszyć Fionę. – Ale uważam, że w naszym mieście mamy źródło trucizny. I zbyt długo nie zwracaliśmy na nie uwagi. Uprzejmie odwracaliśmy wzrok, ale już dość. Tyle śmiertelnych ofiar, ogrom straszliwego lęku, w jakim żyjemy. Poprosiłam te kobiety, by wyjawily, gdzie można znaleźć panią Henry, prosiłam, by pomogły nam w wielkiej potrzebie. Ale wszystkie odmówily. Każdy co innego uznaje za słusne.

Pani Reed podniosła się znad worka i teraz wszyscy widzieli, co trzyma: sznur. Wolną ręką wskazała stojące na scenie kobiety.

– Żadna z nich nie kroczy jednak słuszną ścieżką.

Ponownie sięgnęła do worka.

– Głęboko wierzę, że rodzina, czy też miasto, może załatwić pewne sprawy jawnie, za to inne muszą być trzymane w sekrecie. Mój drogi mąż i jego współtowarzysze dochowywali tajemnicy. Niektórzy z państwa nawet nie wiedzieli, z jakim oddaniem działali na rzecz Big Sandy. Ale dziś wieczorem musimy działać razem, nie możemy dłużej trzymać spraw w tajemnicy, musimy pozbyć się wstydu. Dziś wieczorem, i może tylko dziś wieczorem, jesteśmy wszyscy...

Pani Reed urwała i swobodną dłoń przyłożyła do piersi.

– Ciężko mi oddychać. Muszę przyznać, że jestem zdenerwowana, nawet kiedy się do państwa zwracam.

Pani Reed spojrzała za kulisy. Ostatnia stojąca tam osoba wyszła teraz na scenę i pokazała się wszystkim. Był to Jack Reed. Szedł ku żonie z łagodnym uśmiechem, wyrażającym zrozumienie. Pani Reed wydawała mu się tak piękna jak w dniu, w którym się poznali, jak w dniu ślubu. Tyle razem przeszli, a łącząca ich więź nigdy nie osłabła.

– Jeśli mogę, droga pani – odezwał się Jack Reed.

Pani Reed odegrała na scenie teatrum, niemal dygając przed mężem. Wyglądało to tym dziwniej, że musiała przy tym przytrzymać pod pachą cztery końcówki szubienicznych sznurów. Ich drugie końce na razie leżały schowane w worku. Pracowite Pszczółki już wcześniej zawiązały na nich pętle.

– Dla dobra naszego miasta... – zaczął pan Reed. Zatoczył gestem szeroki krąg, obejmując nim widzów na parterze. – Teraz wszyscy jesteśmy Dusicielami.

## 61

– Wydajesz się jakiś spięty – zauważył z uśmiechem Joab, wracając do pomieszczenia na strychu, ale Sam nie odpowiedział uśmiechem. Ubrany w sukienkę stał sztywno, jakby myślał, że ubiór jest wężem, który ugryzie go przy najmniejszym ruchu.

– Gdzie pani Reed? – zapytał.

– Po sąsiedzku – odparł Joab. – W operze.

– Moja mama też tam jest?

– Nie wiem – powiedział Joab.

Sam spojrział na niego, odrywając wzrok od znieawidzonej sukienki.

– Kłamiesz.

– Twoja mama też tam jest – przyznał Joab. – To prawda.

– Kiedy będę mógł się z nią zobaczyć? – zapytał Sam.

Joab odwrócił wzrok, a potem spojrział z powrotem na Sama.

– Tego naprawdę nie wiem.

Na strychu nie było zbyt wielu sprzętów. Stare łóżeczko dziecięce, zapadnięte większe łóżko.

– Dlaczego twoja mama pozwala ci się ubierać jak chłopak? – zapytał Joab.

– Bo dobrze się tak czuję – odparł Sam.

Joab zmarszczył brwi.

– A co to ma do rzeczy?

– A twoja mama nie chce, żebyś się dobrze czuł?

– Moja mama nie żyje. Zabito ją.

– Mój tata też.

– Nie żyje?

– Zabito go.

– Wiesz, kto go zabił?

Na strychu zapadło milczenie. W końcu Sam westchnął.

– Tak. Wiem. Zabiła go moja mama.

Joab głośno wypuścił powietrze.

– Takiej odpowiedzi się nie spodziewałem. Myślałem, że jesteś jakąś małą księżniczką.

– Nie – odparł Sam. – Nie jestem żadną księżniczką.

– Już dobrze, już dobrze, nie obrażaj się. Głupio się czuję, kiedy muszę tak stać w pustym pokoju.

– To stąd wyjdźmy.

– Nie, przykro mi, pani Reed zapowiedziała, że mamy tu czekać do jej powrotu. Ale przynajmniej usiądźmy.

Sam przebiegł wzrokiem po strychu. Tylko łóżko zapewniałoby względną wygodę przy siedzeniu. Ale Sam nie chciał siedzieć na łóżku z tym chłopakiem. Usiadł więc po turecku na podłodze.

Joab również usiadł tak samo.

– Może być – ocenił. – Nie takie niewygody się znosiło.

– Nosisz przy sobie rewolwer – zauważył Sam.

– Tak, noszę.

- Wcześniej go nie miałeś.
- To prawda – zgodził się Joab. – Dała mi go pani Reed.
- Na mnie? – zapytał Sam, nie mogąc się zmusić, by na niego spojrzeć.
- Na każdego, na kogo będzie trzeba – odparł Joab.

Sam kiwnął głową, nadal wbijając spojrzenie w podłogę. Zaczerwienił się. Joab zdał sobie sprawę, że Sam usiłuje powstrzymać łzy. Jeden z braci Joaba dałby mu z miejsca w twarz na widok takich rumieńców. Mudge'owie nie płaczą.

Ale on już nie był Mudge'em, prawda? Był Reedem. Tak powiedziała pani Reed.

A co zrobiłby Reed na widok dziewięcioletniego dziecka, które powstrzymuje łzy? Joab nie wiedział. Przyglądał się Samowi, usiłując odkryć, jak ma zareagować. To go nieoczekiwanie rozproszyło. Odbiegł daleko myślami.

Bracia by go spoliczkowali. Matka zrobiłaby mu wykład. Powiedziałyby, że nie powinien płakać, bo świat odbierze to jako słabość i potem to wykorzysta. Uważała, że światem rządzi tylko jedna zasada: świat żeruje na słabych i nierozgarniętych. I w pewnym sensie miała rację. Tyle tylko, że to oni żerowali na słabych, prawda? Ilu ludzi przygarnęło ich do siebie z prostego współczucia dla matki z czterema niewidomymi synami? A ilu z nich obudziło się z poduszką na twarzy, mocno przytrzymywaną przez braci Mudge? Wszyscy.

Do tego Delmus.

Który umarł w kuchni dwa piętra niżej.

Nie, nie umarł. Został zabity.

Zamordowany. Przez Joaba.

I wyrzucony gdzieś przez kogoś, kto nawet nie należał do rodziny. Czy pan Reed nie powinien był go powstrzymać przed uduszeniem Delmusa? Joaba nie uczono moralności według tego samego kompasu, co większości dzieci, ale czuł głęboko, że odpowiedź brzmi „tak”. Pan Reed, nawet jeśli oszołomiony leżał na podłodze, powinien nakazać Joabowi, żeby przestał. Ale czy on by go posłuchał? Nie wiadomo. Ale pan Reed tylko ukrył ciało i to wszystko, co zrobił.

Joab musiał trwać w zamyśleniu ponad minutę, bo kiedy wreszcie wyrwał się z zadumy, Sam zdążył już wyjąć swoje wycinki z gazet. Było ich w sumie kilkanaście. Rozłożył je na ziemi w równych rzędach i kolum-



nach, jakby zszywał narzutę ze skrawków tkanin. Były tam tytuły i fotografie. Joab nachylił się bliżej.

– „Marynarz, robotnik budowlany i akrobata w jednej osobie” – przeczytał na głos.

„Zwycięstwo Rosji nad Austrią w Karpatach”.

„Pan Johannes Leafeldt. Założyciel i największy udziałowiec kopalni Mackton”.

„Objazdowa wystawa skarbów Montany zaciekawia mieszkańców Wirginii”.

„Członek stowarzyszenia Tammany spotyka prawdziwych Indian. Burmistrz Nowego Jorku Gaynor na rozmowach z Indianami Siksika z Montany”.

„Krok Tango zwany «Trzy w jednym»”.

„Madonna Sykstyńska”.

– Co to wszystko jest? – zapytał szeptem Joab.

– To jest świat – odparł Sam.

Joab przebiegał wzrokiem po kolejnych nagłówkach i fotografiach.

– Tyle tego!

Sam się uśmiechnął, po raz pierwszy, odkąd pojawił się Joab. Przerzucał następne wycinki, odsłaniał ich więcej.

– Po co mi to wszystko pokazujesz? – zapytał Joab.

– Wcale nie tobie – odparł Sam. – Sam oglądam. Jeśli mnie zastrzelisz, chcę patrzeć na coś, co bardzo lubię.

Joab poczuł, że coś dławi go w gardle. Rewolwer u jego boku wgniatał mu się w ciało. Joab nie był świadomy, że płacze, ale tak było. Czy chciał zastrzelić tę dziewczynę, która lubiła ubierać się jak chłopak? To dziecko, dla którego jego matka chciała po prostu szczęścia?

Wyobraź to sobie. *Tylko sobie wyobraź!*

– Ale możemy też tu posiedzieć – dodał Sam. – I mógłbym ci pokazać więcej takich zdjęć.

Joab nie podniósł wzroku. Nie potrafił.

– Chcesz je ze mną obejrzeć? – zapytał Sam.

Joab wziął głęboki oddech i opanował emocje.

– Tak, proszę – powiedział.

Wieszaniu miała towarzyszyć muzyka.

Ponieważ znajdowały się na scenie, opuszczono metalową szynę nadsce-  
nia, aby można było przerzucić przez nią sznury. Przyniosło to również  
dziwny efekt – razem z szyną opuściła się malowana scenografia z poprzed-  
nio wystawianej sztuki, przeboju z Anglii sprowadzonego dzięki ambicji  
i dobremu gustowi samej pani Jerrine Reed. Spektakl nosił tytuł *Pigmalion*.

Ale pętle były teraz zbyt wysoko. Nawet przy obniżonej szynie kobiety  
nie sięgały do sznurów. Pani Reed sprawiała wrażenie zdenerwowanej.  
Wtedy wszyscy usłyszeli głośny odgłos tarcia czegoś ciężkiego o podłogę.  
Na scenie pojawił się z powrotem Matthew Kirby, ciągnąc kufer Adelaide.  
Skrzynia przetrwała podróż z jej chaty. Stryj Matthew, Finn, podszedł do  
kufra i uniósł jego tylną krawędź, aby nie rysował desek. Ani on, ani Mat-  
thew nie chcieli zniszczyć sceny.

Obaj dźwignęli skrzynię i postawili ją dokładnie przed Grace, Fioną  
i Bertie, które stały z rękami związanymi z tyłu. Następnie postawili każdą  
kobietę na wieku. Grace przeklinała Finna bez skrępowania. Teraz wszyst-  
kie trzy dosięgały już do pętli. Jedna z Pracowitych Pszczółek również  
wspięła się na kufer, choć od ich połączonych ciężaru skrzynia aż zaskrzy-  
piała. Szybko założyła pętle na szyję wszystkim trzem kobietom, a potem  
zeskoczyła na scenę z pomocą Finna Kirby'ego, który podał jej rękę.

W operze zapanowało milczenie i nastrój stał się zbyt ponury. Pani Reed  
zerknęła na jedną z Pracowitych Pszczółek.

– Pani Thomas – zwróciła się do niej – może zagra nam coś pani na  
organach? Coś skocznego?

Pani Thomas podeszła do organów i zagrała, jak również zaśpiewała do  
akompaniamentu muzyki.

– *By the sea, by the sea, by the beautiful sea. You and I, you and I, oh,  
how happy we'll be!* <sup>12</sup>Bertie, Fiona i Grace z trudem utrzymywały równo-  
wagę, stojąc z pętlami na szyjach. Za nimi wisiała scenografia laboratorium  
profesora Henry'ego Higginsa.

– *When each wave comes a-rolling in* – śpiewała pani Thomas – *we will  
duck or swim and we'll float and fool around the water.*

Pani Reed posłała resztę Pracowitych Pszczółek za kulisy. Miały teraz  
tylko jedno zadanie: podniesienie szyny z powrotem. Wtedy trzy skazane  
miały się unieść nad wieko kufra, a pętle miały się zacisnąć, dusząc je na  
śmierć.

Zanim jednak pani Reed zdążyła pomocnicom dać znak ruchem głowy lub gestem, otworzyły się drzwi do opery. Wszyscy bardziej to usłyszeli, niż zobaczyli. Wejście nie było widoczne z sali teatralnej. Po otwarciu się drzwi swoją obecność szybko zaanonsował wiatr, a potem równie szybko ucichł, gdy drzwi z powrotem się zamknęły.

Pani Reed spojrzała ku wejściu, by zobaczyć, kto przyszedł. Serce zabiło jej w nadziei, że to Joab i Samantha, jej dwoje dzieci, które przyszły zobaczyć dzieło ich matki. Wpatrywała się z takim napięciem, że wszyscy obecni również odwrócili głowy ku wejściu. Wszyscy oprócz Bertie, Fiony i Grace. A to dlatego, że Pracowite Pszczółki zbyt gorliwie wykonały zadanie. Myślały, że pani Reed dała sygnał do opuszczenia worków z piaskiem. Opuściły je zatem.

Scenografia zaczęła się podnosić.

Trzy skazane kobiety również.

– *Over and under, and then up for the air* – śpiewała pani Thomas, teraz jeszcze głośniejsze, patrząc na wiszące na stryczku kobiety. – *Pa is rich, Ma is rich, so now what do we care?*

Nagle otworzyły się drzwi na widownię i stanęła w nich kobieca postać.

– Pani Henry! – wykrzyknęła pani Reed.

Pani Thomas w jednej chwili przestała grać, odwróciła się na taborecie i wstała od klawiatury, jakby osobiście zamierzała rzucić się na panią Henry i zawlec ją na prowizoryczną szubienicę. Ale nagle się zawahała. Pani Reed również wyglądała na zbitą z tropu. A to dlatego, że słaniająca się na nogach postać prawie nie przypominała człowieka.

Adelaide miała ubranie całe we krwi i wybrudzone ziemią, na głowie w kilku miejscach brakowało jej wyrwanych włosów. Spojrzenie dziko łypiących oczu widać było nawet ze sceny. Nie przypominała ani kobiety, ani mężczyzny. Raczej coś wykopanego z grobu i ożywionego. Upiorną istotę. Stwora.

– Tak – wychrypiała Adelaide. – To ja. Przyszłam w sprawie drugiej szansy.

Wszystkie trzy kobiety za plecami pani Reed wisiły już nad skrzynią, naprężyły obute stopy, walcząc o każdy oddech. Słysząc było jęk sznurów pod ich ciężarem, a one same cicho charczały, gdy z trudem chwyciły powietrze.

– W sprawie drugiej szansy? – zdziwiła się pani Reed. – Nic podobnego już się pani nie należy.

Powłócząc nogami, Adelaide szła naprzód. Była chyba ranna w nogę. Mieszkańcy Big Sandy powstali z miejsc i ścisnęli się przy scenie, jakby szukali schronienia u pani Reed.

– Nie dla mnie – poprawiła ją Adelaide. – Dla pani. Niech pani natychmiast opuści te kobiety na ziemię. Jeszcze może pani prosić o przebaczenie. Ale skrucha musi być szczera. Jeszcze nie jest za późno.

Adelaide pochyliła się i splunęła krwią na podłogę. Konwulsyjnie chwyciła oddech.

Pani Reed spojrzała w tył i z zaskoczeniem odkryła, że trzy skazane wiszą już stopę nad kufrem. Czyżby wydała takie polecenie? Zresztą nie miało to większego znaczenia.

– Mam szczerą nadzieję – oznajmiła – że pozbycie się was uratuje nas przed waszym zepsuciem.

Matthew Kirby postąpił krok naprzód.

– Jak pani widzi, ocaliłem pani kufer – powiedział. – Pogrzebiemy w nim panią.

– A potem odnajdziemy pani demona – wykrzyknął Jack Reed. – Osobiście skręcę mu kark.

Adelaide stanęła wyprostowana. Patrzyła na tych wszystkich ludzi. Większość z nich była wyraźnie przerażona. Ci, którzy dotąd siedzieli na widowni, najczęściej okazywali jej życzliwość, kiedy się tu sprowadziła. To ludzie na scenie – Reedowie, Matthew i Finn Kirby, Pracowite Pszczółki i Dusiecie – to oni wyrządzili całą tę krzywdę. Tych dwadzieścioro mieszkańców Big Sandy z miejsc przed sceną przybyło do Montany, żeby po prostu próbować tu przeżyć. Owszem, powinni byli głośno protestować na widok trzech wieszanych kobiet, ale Adelaide nie uważała, by zasługiwali na taką samą karę jak osoby zebrane na scenie. Mieli zostać oszczędzeni.

Adelaide przeniosła teraz wzrok wyżej. Z balkonu widowni dobiegały trzaski i jęki drewna, pękającego jakby pod wielkim ciężarem.

– To nie był demon – oznajmiła Adelaide.

Pani Reed spojrzała tam, gdzie patrzyła Adelaide, która przechyliła głowę i nasłuchiwała, wpatrując się w górne rzędy. Matthew i Finn Kirby również usiłowali coś dojrzeć zmrużonymi oczami. Balkon opery pozostał skryty w ciemności, ale teraz mrok był jakby inny. Cienie się poruszały. Wydawało się wręcz, że ożyły.

– To moja siostra.

Po tych słowach zgromadzonym objawiła się Elizabeth Henry.

Drzwi do rezydencji Reedów nie były zamknięte na klucz. Bo i po co?

Grace otworzyła je z takim impetem, że niemal wyrwała je z zawiasów. Usiłowała wołać swoje dziecko, ale nie mogła. Miała zbyt obolałe gardło. Nawet oddychanie przez usta przychodziło jej z trudem. Chwiejnym krokiem przestąpiła próg.

Bertie i Fiona weszły tuż za nią.

Zataczając się, szły przez salon i kuchnię. Grace poruszała się jak golem, ciężko, ale niepowstrzymanie. Przewróciła krzesła, stół również. Nie sądziła, by Sam się pod nimi chował, nie mogła jednak opanować lęku i wściekłego gniewu. Nawet nie była świadoma, że wywraca te sprzęty. Miała wrażenie, że same się jej boją i uskakują jej z drogi.

Weszła po schodach na piętro. Za nią, trzymając się za ręce, szły Bertie i Fiona. One też najpewniej drżały z obawy, patrząc na rozwścieczoną Grace.

Tymczasem ona kopniakami otwierała drzwi do kolejnych pokoi. Odzyskała głos na tyle, że mogła już wyć i jęczeć. Czy to imię Sama wołała? Ryczała raczej jak niedźwiedzica. I poruszała się równie ciężko i groźnie.

Bertie i Fiona chciały ją powstrzymać, pomóc jej, ale nie śmiały stanąć jej na drodze. Po tym, jak odcięto je ze sznura, obie zaraz zdjęły pętle z szyi, ale Grace nie chciała tracić na to czasu. Kiedy tylko je uwolniono, rzuciła się do wyjścia i wybiegła na mróz. Dogoniły ją, kiedy wyłamywała drzwi do rezydencji Reedów. Teraz przyglądały się, jak z pętlą na szyi i sznurem ciągnącym się za nią jak tren idzie korytarzem ku kolejnym schodom, prowadzącym na strych. Jeszcze raz ryknęła i ruszyła w górę po stopniach. Schody kończyły się przed pojedynczymi drzwiami. Gdy Grace wspinała się, stąpając ciężko, tak że każdy krok dudnił echem w całym domu, zza drzwi dobiegł krzyk. Jęk śmiertelnego przestachu. Grace przyspieszyła. Rozpoznawała ten głos nieomylnie, jak każda samica, która słyszy swoje kwilące młode.

Zanim jednak sięgnęła drzwi, Bertie i Fiona dogoniły ją w połowie schodów. Wtedy na nie zwróciła swoją furię. Objawiła im oblicze matki, której wzbrania się dostępu do dziecka. Na widok jej wykrzywionej wściekłością twarzy zdjęło je przerażenie. Ale kochały ją i dlatego nie pozwoliły jej iść dalej.

– Nie w ten sposób – szeptała Fiona. – Nie w ten sposób.

Fiona musiała to powtórzyć sześć czy siedem razy, zanim Grace zdołała rozpoznać język, zrozumieć znaczenie tych słów. Przyjrzała się sobie, stojącej na schodach, zobaczyła pętlę na własnej szyi.

– Niech Sam pani takiej nie widzi – powiedziała Bertie tak łagodnie, jak tylko umiała.

Grace patrzyła to na Bertie, to na Fionę. Były jej przyjaciółkami. Nie próbowały jej powstrzymać. Chciały pomóc. Musiała to sobie powtarzać, żeby nie wydrapać im oczu za to, że ją spowalniają. Po chwili pokiwała głową, a Fiona zdjęła pętlę z jej szyi. Rzuciła go w dół, na korytarz na piętrze, żeby nie zobaczył go Sam. Zupełnie jakby się spodziewała, że sznur tam ożyje i odpełźnie.

Obie puściły już Grace, a ona starała się uładzić potargane włosy, żeby bardziej przypominać tę matkę, którą była zaledwie przed godziną. Stała przed wejściem.

Wtedy rozległo się sześć strzałów z rewolweru.

Sześć pocisków podziurawiło drzwi.

Grace spojrzała na Fionę i na Bertie, które patrzyły równie oszołomione. Gdyby nie powstrzymały jej w połowie schodów, w jej ciele też byłoby sześć dziur.

Drzwi otworzyły się powoli i stanął w nich chłopiec – ten, który jakiś czas temu postrzelił ją w dłoń.

– Co tu robisz z moim dzieckiem? – krzyknęła Grace.

Popędziła w górę po ostatnich stopniach schodów, szybciej niż te sześć kul wystrzelonych z broni Joaba. Pchnęła go ciałem, o mały włos by go stratowała. Joab upadł na plecy, a Grace pochyliła się nad nim, groźnie warcząc i dysząc. Skoro strzelił do niej, to co zrobił Samowi?

– Mamo?

Grace odwróciła głowę i zobaczyła Sama, skulonego za czymś, co wyglądało na stare, solidne dziecięce łóżeczko z kutego żelaza. Grace nie traciła czasu, by podnieść się na nogi, tylko na czworakach jak najszybciej przeszła do swojego jedyne dziecko.

– Sam! – zamruczała, tuląc go do siebie.

Bertie i Fiona weszły na strych i stanęły między Joabem a Grace i Samem.

Grace trzymała Sama w objęciach, nie dopuszczając myśli, że mogłaby go wypuścić, choć on trochę wyrywał się z jej uścisku. W końcu uwolniła

go z ramion i uświadomiła sobie, że coś się zmieniło w wyglądzie jej dziecka.

– Dlaczego masz na sobie sukienkę? – zapytała. – I dlaczego jest taka wybrudzona?

Ale Sam milczał.

– Odpowiedz! – Grace dotknęła fałd sukienki. – Czy to krew? Dlaczego masz krew na sukience?

Sam tylko wpatrywał się w Grace, wodząc wzrokiem po całej jej postaci. Patrzył na jej twarz, na jej włosy, jej dłonie, jej ubranie.

– Nie było na niej krwi, dopóki mnie nie przytuliłaś – powiedział w końcu. Delikatnie dotknął twarzy matki. – Ktoś cię pocałował?

Grace zmarszczyła czoło, nie rozumiejąc. Obejrzała się przez ramię na Bertie i Fionę. Narobiły tyle zamieszania w związku ze sznurem na szyi, a przecież wszystkie trzy były całe we krwi. Dlaczego wcześniej nie dostrzegą – ani nie pojmowała – jak wyglądają?

Wszystko z powodu wielkich nerwów i z oszołomienia, dlatego. Do Grace nadal to nie docierało, ale była w szoku już od dłuższego czasu. W końcu przyjrzała się sobie. Trudno było określić kolor jej ubrania. Dłonie miała czerwone, jakby pokryte zaschniętą gliną. Dotknęła włosów, które też były od tej gliny ciężkie.

– Nic mi nie jest, kochanie – powiedziała. – To nie moja krew.

– W takim razie czyja?

## 64

Zabrały Joabowi rewolwer i wyprowadziły go na ulicę. Nie dały mu nawet włożyć okrycia. Poprowadziły go do gmachu opery, ale nie weszły, tylko czekały na zewnątrz. Dlaczego nie wprowadzają go do środka, dopytywał Sam.

Niedługo potem, jakby na zawołanie, drzwi opery otworzyły się i wyszła z nich Murzynka, pani Henry, która miała swój udział w zabójstwie jego matki. Instynktownie sięgnął do boku po broń. Mądrze zrobiły, że mu ją zabrały. Nawet bez nabojów w komorze podbiegły do niej i starały się rozłupać jej głowę. Choć wyglądało na to, że ktoś już to zrobił za niego.

– Chcę zobaczyć państwa Reedów – powiedział w końcu.

Przez bardzo długą chwilę wszyscy stali w milczeniu.

– Nie, nie chcesz – odparła w końcu pani Henry.

Joab podszedł krok ku niej, był od niej dwa razy drobniejszej postury, ale się nie bał.

– Widziałem oderwaną rękę mojej matki, krew tryskała mi prosto w twarz. Pani też tam była. Pamięta pani?

Pani Brown i pani Wong spojrzały na panią Henry, ale ona już ruszyła ku wejściu do opery. Wiedziała, że nie potrafi się sensownie wytłumaczyć.

– Puśćcie go, niech wejdzie – powiedziała.

Pociągnęła za drzwi i przytrzymała je otwarte. Gestem przywołała jego, panią Wong i panią Brown. Pani Price nie ruszyła się z miejsca, objęła tylko Sama.

– Sam nie pójdzie – powiedziała.

Pani Henry kiwnęła głową.

– Sam nie.

– Nie rzucę go na pożarcie – dodała pani Price, prowadząc swoje dziecko na drugą stronę ulicy, do Grill Cafe.

Pan Shibata zamknął lokal na zimę, ale może miał tam w zgromadzonych zapasach coś do jedzenia?

Sam przeszedł za matką dwa kroki, ale się odwrócił, wyrwał się jej i pobiegł do pani Henry, która się pochyliła i wyciągnęła ramiona, myśląc, że Sam biegnie, żeby się do niej przytulić. Ale Sam wyszeptał jej tylko coś na ucho i wrócił do matki.

Kobiety wprowadziły Joaba do środka.

\*\*\*

Nie poznał wnętrza opery.

Ściany nadal stały, ale wszystkie fotele zniknęły. Nie, nie zniknęły, zmieniły miejsce. Ale przecież były przyśrubowane, był tego pewien. Teraz leżały jedne na drugich, przewracane jak chaty i wozy, które wichry Montany rozrzucają czasem po równinach jak zabawki.

Ale nie była to jedyna różnica.

– Idź ostrożnie – poleciała pani Henry. – Nie poślizgnij się.

Podłoga była ciemna, gładka i lśniąca. Nie wiedział dokładnie dlaczego, bo lampy gazowe nie oświetlały jej dość dobrze. Pani Brown i pani Wong już go nie trzymały, wyprzedził je więc i szedł teraz krok, a może trzy kroki



przed nimi. Musiał iść powoli, bo pani Henry miała rację, podłoga była śliska i łatwo się było przewrócić.

Gdy już powoli przywykał do widoku powyrywanych siedzeń, do śliskich desek podłogi, gdy w końcu mógł spróbować ogarnąć to wszystko umysłem, poczuł zapach, słodki, i od razu go rozpoznał. Ujrzał swoją matkę – stała przed nim na podłodze opery, krew tryskała z rany po wyrwanym ramieniu. Nawet wtedy, w chacie, wiedział, że to zapach końca. Wilgotny i obezwładniający. Ale jeśli wtedy to był zapach śmierci, w operze czuć go było dużo, dużo bardziej.

Coś się poruszyło za kurtyną. Przeniósł wtedy wzrok na scenę, na obalone organy. Leżały na deskach, a jeden ich koniec unosił się pod dziwnym kątem.

Nie czuł lęku, ponieważ, prawdę mówiąc, nie czuł nic. Podciągnął się na rękach na scenę, obserwując poruszającą się kurtynę. Obejrzał się za siebie, ale żadna z kobiet za nim nie szła. Nie zwracały na niego uwagi. One też rozglądały się po tym pandemonium i usiłowały to wszystko pojąć, choć przecież były przy tym, co się tu wydarzyło, zanim poszły po niego i Sama.

Z wysokości sceny Joab mógł zobaczyć więcej. Teraz lepiej widział miejsca na parterze. Dostrzegł dwóch mężczyzn. Ale oni go nie widzieli. Nie widzieli już nic. Byli w tej chwili tylko fragmentami ludzkiego ciała rozrzuconymi po sali tak samo bezładnie jak fotele. Matthew i Finn Kirby.

Joab i jego bracia wiele razy przytrzymywali ofiary swoich zbrodni, żeby matka mogła je sprawniej dusić. Widział śmierć niejedną raz. Ale jeszcze nigdy nie widział rzezi. Teraz wyglądało to tak, jakby ktoś uwolnił z butelki furie i wypuścił na miasto.

– Całe życie marzyłam, żeby zrobić coś takiego – powiedziała pani Brown, stając pod sceną. – Ale nigdy nie było mi wolno.

Joab odwrócił się od niej, gdy to powiedziała. Na scenie krew była wyraźniej widoczna. Deski były od niej śliskie jak w dole, na widowni. Krew była wszędzie.

Podszedł bliżej do organów, żeby się przekonać, dlaczego unoszą się pod dziwnym kątem. Przykucnął i zobaczył, że pod nimi leżą ludzie. Czy to był pan Reed? Pani Reed? Pracowite Pszczółki?

Tak.

Ich części.

Wtedy kurtyna jeszcze raz się poruszyła i zza niej wyłoniło się cielsko.

– Demon – powiedział cicho Joab.

Był teraz większy. A może skurczył się w jego wspomnieniach tak, żeby mógł go schować w zakamarku pamięci? Żadne słowa nie potrafiłyby go w pełni oddać. W tamtej chwili wydawał się taki wielki, jakby sięgał czwartego piętra, a szeroki był na osiem. Dlaczego Joab się nie bał? Może się tego spodziewał? Czegoś podobnego. Może nawet tego wyczekiwał?

– W porządku – powiedział.

Stwór podkradł się bliżej. Kiedy nadepnął na organy, ostatecznie pękły na pół. Jeszcze dwa kroki i był przy nim. Jego paszcza była taka wielka, że mógł go połknąć w całości.

– W porządku – powtórzył Joab. Być może było to dla niego coś w rodzaju ostatniej modlitwy.

Nagle ktoś jeszcze wyrósł na scenie. Obok Joaba stanęła pani Henry.

– Elizabeth – powiedziała. – Proszę, oszczędź tego chłopca.

„Elizabeth”? Jaki demon ma na imię Elizabeth?

Stwór patrzył to na Joaba, to na panią Henry.

Teraz, gdy demon i pani Henry stali blisko siebie, Joab dostrzegł coś dziwnego. Nie potrafił tego wyjaśnić, ale czyżby widział... podobieństwo?

– Proszę – powtórzyła.

Chwila. Prośba. Decyzja.

Elizabeth parsknęła, odwróciła się, ciężko poczłapała do krawędzi sceny i zeskoczyła. Pani Brown i pani Wong stały obok siebie, ale nie uciekały. Elizabeth zbliżyła się do nich, a one, ku jego zdumieniu, wyciągnęły dłonie i dotknęły jej twarzy. Twarzy *Elizabeth*. Dotknęły jej czule. Joab spojrział na panią Henry.

– Dlaczego? – zapytał. Domagał się odpowiedzi ze złością, nie z wdzięcznością. Nie chciał od tej kobiety żadnej litości ani nawet współczucia.

Pani Henry przyglądała mu się dłuższą chwilę.

– Sam powiedział, że ty też zasługujesz na drugą szansę.

## 65

*To, czym jest, nie jest tym, czym była.*

*Może nigdy nie była tym, czym ją nazywano.*

*Za każdym razem, gdy jej siostra wymawiała jej imię,  
stawało się coraz bardziej jej własne.*

*Elizabeth. Elizabeth. Elizabeth. To byłam ja.*

*Jej nowe imię należało tylko do niej.  
Tajemny dźwięk,  
szeptany wyłącznie przez wiatr,  
kiedy Elizabeth wzbija się w powietrze.  
Nieznany innym, jej sekretna дума.*

*Ocaliła siostrę. Uratowała siostrę.  
Te inne kobiety też. I to dziecko.  
Tak postanowiła. Dzięki jej decyzji ocaleli.  
A ona? Tak, ona też.  
Elizabeth też ocalała.*

## 66

Clement Cardinal mógł zabrać je do Kanady. Gdy wjechał wierzchem do miasta, zastał je przy śniadaniu w rezydencji niegdyś należącej do Reedów. Przyjechał, ponieważ ogień płonący na wieży gmachu opery nagle zgasł. Clement Cardinal po raz pierwszy widział coś takiego. Rozumiał, że to oznacza jakieś bardzo poważne wydarzenie. Poczował wielką ulgę, kiedy się okazało, że jego znajome przeżyły tę noc. Czy zapytał, co się stało? Nie, nie zapytał. Na co się zdadzą pytania, skoro odpowiedzi tylko wciągną człowieka w sam środek cudzych kłopotów?

Jadły śniadanie w kuchni i poczęstowały go filiżanką herbaty. Sam spał na kanapie w salonie. Grace nie chciała spuszczać go z oczu.

Zapytała pana Cardinala, czy w Kanadzie znajdą kraj znacznie różniący się od tego, który zostawiały. Jakies miejsce, które dla nich byłoby lepsze.

Pan Cardinal zacytował z pamięci ministra spraw wewnętrznych Kanady, Franka Olivera. „Wolną ziemię w ręce osadników oddaje się dlatego, że ziemia może wydawać plony, a oddawanie siedlisk w ręce niezamężnych kobiet stanowiłoby działanie sprzeczne z tym założeniem”.

Jeśli kobieta chce mieć siedlisko na północnym zachodzie, lepiej niech weźmie ze sobą mężczyznę. Taka była Kanada.

– Nie wspominając już o tym – dodał pan Cardinal – czyją ziemię dostalibyście panie za darmo. Jak panie sądzą?

Dopił kawę, życzył im wszystkim powodzenia, wyszedł i dosiadł konia. Jego metyski wóz stał pusty. Ktoś zwędził te ostatnie futra, których nie zdołał sprzedać. To nic takiego, pomyślał Clement Cardinal. Dziwniejsze rzeczy wydarzały się na tych równinach. Dużo dziwniejsze.

Tymczasem w kuchni Samotne Kobiety omawiały przyszłość. Jeśli nie do Kanady, to dokąd? Na zachód, do Waszyngtonu czy Oregonu? Do Kalifornii? Rozwagały kilkanaście kierunków, ale każdy miał jakieś wady.

– No to zostaniemy – zaproponowała Adelaide.

– Tutaj? – zapytała Grace. – Pozwoliła pani jakimś dwudziestu osobom wyjść z opery, zanim Elizabeth zabrała się do dzieła. Owszem, uważam, że tak należało postąpić, ale oni przecież wrócą ze stróżami prawa. Jak im wyjaśnimy... to wszystko?

– Montana jest duża – zauważyła Bertie. – Wyjdziemy stąd, ale zostaniemy w tym stanie. Tylko gdzie?

Fiona nachyliła się, wsparta łokciami o stół. Uśmiechała się.

– Prawda, jak to się wspaniale składa, że jedna z nas spędziła ostatnie kilka lat, jeżdżąc po opuszczonych miastach w całej Montanie?

## 67

To Joab ukradł te futra, to chyba oczywiste.

Ale dlaczego to zrobił?

Ponieważ poszedł odnaleźć maxwella, bo chciał wyjechać byle dalej od miasta, od tego życia, w jakieś zupełnie nowe strony. Panu Reedowi samochód już przecież nie był potrzebny. Ale kiedy znalazł auto – co było dość łatwe, ponieważ stało zaparkowane na tyłach rezydencji – odkrył, gdzie pan Reed wyrzucił jego brata, Delmusa. Na tylne siedzenie.

Na widok jego ciała pierwszą myślą Joaba – wiedział, że całkiem irracjonalną – było, że Delmusowi musi być zimno. Chciał włamać się do domu towarowego McNamary i Marlowa, bo im też wszystkie towary nie były już potrzebne, ale zobaczył przed wejściem metyski wóz, a na nim futra Clementa Cardinala. Ukradł je i przykrył nimi brata, przysięgając sobie, że kradzież tych futer będzie ostatnim przestępstwem, jakie popełni.

Pojechał na zachód z bratem na tylnym siedzeniu. Pochowałby go, ale ziemia była zbyt zmarznięta, żeby w niej kopać. Trup dotrzymywał mu więc towarzystwa. Być może brzmi to makabrycznie, ale Joab wcale nie miał takiego wrażenia. Pan Reed zdążył zatankować auto poprzedniego wieczoru, a chłopak wziął ze sobą wszystkie zarobione u niego pieniądze. Mudge'owie nie wierzą bankom. A takie właśnie nosił nazwisko, na dobre i na złe – Joab Mudge. Miał o tym już nigdy nie zapomnieć.

Wyruszył do Great Falls, przyjechał tam o zachodzie słońca i zaparkował maxwella w stylowej i drogiej dzielnicy Lower North Side. Tam, pośród rezydencji bogaczy, podpalił samochód i przyglądał się z daleka, jak mieszkańcy wybiegają z domów do pożaru. Żałowali auta. Joab czuł, że to najlepszy pogrzeb dla brata, skoro nie mógł go pochować w ziemi.

Podczas gdy mężczyźni, kobiety i dzieci wylali się na ulicę – a służący donosili wiadrami wodę – Joabowi przyszło do głowy, by wejść do każdego z domów i zabrać tyle cennych rzeczy, ile tylko znajdzie. Może to był instynkt, może wyuczone działanie. Powstrzymał się dopiero w drzwiach kuchennych wyjątkowo okazałej rezydencji w stylu królowej Anny. Przypomniawszy sobie, że już nie zajmuje się przestępstwami, i odszedł.

Następnego dnia rano zaciągnął się do marynarki wojennej, w wieku zaledwie trzynastu lat.

W Anglii pewien chłopiec nazwiskiem Sidney Lewis zaciągnął się już wcześniej, w sierpniu, do regimentu East Surrey. Gdy Sidney wstępował w szeregi brytyjskiej armii, miał lat dwanaście, a w wieku lat trzynastu walczył już nad Sommą.

I tak Joab został majtkiem. W 1917 roku Stany Zjednoczone przystąpiły do wojny. Joab brał udział w blokadzie morskiej Niemiec, zobaczył Hiszpanię i Irlandię. Żałował wtedy, że nie może napisać do Sama, żeby opowiedzieć mu, jak żywy i barwny, jak ogromny okazał się świat. Było mu przykro, że Samowi nie podziękował.

## 68

Dokąd pojechały?

Samotne Kobiety były mądre, nie musiały jechać daleko, a po prostu dość daleko.

Miasto wciśnięte było między wysokie wzgórza – nie dało się nazwać ich górami – które osłaniały tę ziemię niczym opiekuńcze dłonie. Dzięki temu niemal trzydzieści budynków w mieście nadal stało, choć większość wymagała pewnych napraw. Sąd okręgowy, kościół metodystów i – ku wielkiej radości Grace – szkoła.

Dlaczego mieszkańcy opuścili to miasto? Bo spadły na nie jednocześnie trzy zarazy: szkarlatyna, koklusz i dyfteryt. Ci, którzy przeżyli, uznali, że miasto jest przeklęte. Ale minęło już dziewięć lat od czasu, kiedy ostatnia osoba się stamtąd wyniosła, dziewięć lat uśpienia. Zarazy minęły, została

jednak ponura legenda. Miasto uznawano za takie upiorne miejsce, że jego położenie wymazano z map i pamięci. Czy mogło być lepsze miejsce dla trójki samotnych kobiet?

Za starym saloonem znalazły szubienicę. I była to jedyna budowla, którą rozebrały.

Spędziły zimę, podróżując między Big Sandy a ich nowym domem. Z hotelu Gregson wyniosły wszystkie łóżka i stoły, oraz całą pościel. Zabrały wszystko z dobrze zaopatrzonego domu towarowego McNamary i Marlowa. Nie chciały brać niczego z rezydencji Reedów, ale Bertie powiedziała, że głupio będzie wyjść z pustymi rękoma z domu kapiącego bogactwem, zeszyły się więc z rozumem. Zabrały wszystko.

Ostatnią rzeczą było odkręcenie wadliwej instalacji gazowej w operze i zostawienie jej tak, by gaz wydostawał się cały dzień. Adelaide wrzuciła do hallu wejściowego słój pełen benzyny – sama stanęła jednak po drugiej stronie ulicy. Opera rozjarzyła się jak w dniu premiery. Gaz na strychu rezydencji Reedów wyciekał już wtedy od wielu dni i dom stanął w płomieniach równie szybko.

Ulica była tak ciasno zabudowana, że każdy budynek również zajął się ogniem. Pralnia elektryczna, Bear Paw Cafe i wszystkie kolejne. I nawet jeśli ktoś by nazwał te kobiety złodziejkami i podpalaczkami, to przynajmniej nie były, do cholery, linczującą tłuszcza.

W tym nowym mieście, w ich nowym domu, Elizabeth zajęła stary gmach sądu okręgowego, a Adelaide zamieszkała w chacie, która stała tuż za sądem. Bertie i Fiona przejęły saloon. Szkoła miała drugie piętro – dawniej mieściła się na nim loża masonska – i właśnie tam ulokowali się Grace i Sam. Wszyscy myśleli, że będzie ich tylko szóstka, ale okazało się inaczej.

Przybywały kolejne kobiety. Ich pojawienie się było tak zaskakujące, że z początku Adelaide się na nie krzywiła, a Elizabeth powarkiwała. Czy istnieje coś bardziej przerażającego niż siostry Henry, które zwierają przeciw komuś szyki? Próżno by szukać większej grozy.

Adelaide i Elizabeth były zatem zdumione, gdy pierwsza nowo przybyła kobieta nie uciekła przed nimi ze strachu. Oznajmiła tylko:

– Szukałam tego miasta.

Następna powiedziała to samo. I kolejne, które zjawily się po niej, zjeżdżając z całego stanu, z całego kontynentu, jakby kierowane wewnętrznym kompasem. Niektóre być może przyjechały prosto tutaj, inne natomiast

sprawiły wrażenie, jakby przez pół życia wędrowały po równinach Montany. Niemniej właśnie tu postanowiły osiąść na stałe.

„Szukałam tego miasta” – tak mówiła każda.

Miasteczko z sześcioma mieszkankami wkrótce miało ich szesnaście. Trzydzieści. Sześćdziesiąt pięć. Niektóre przybywały samotnie, inne z dziećmi. Adelaide witała kobiety. Elizabeth witała dzieci. Maluchy ją uwielbiały – każde dziecko marzy, żeby smoki były prawdziwe – a ona każdego dnia pławiła się w ich miłości. Wcześniej nie potrafiła sobie wyobrazić przebywania poza tamtą przeklętą oborą, a tu się okazało, że inne życie istnieje.

Żyły więc i trwały, choć z każdym rokiem czasy stawały się cięższe. W 1916 roku w całym stanie wprowadzono prohibicję, a niedługo potem na równiny Montany przyszła wielka susza lat trzydziestych. Trudne czasy dla każdego, nie tylko dla nich. Ale one zostały, wytrzymały. I były też lata, gdy powodziło im się świetnie. Adelaide i Elizabeth, siostry Henry, okazały się doskonałymi przywódczyniami wspólnoty i miasto nazwano właśnie na ich cześć. Two Sisters w stanie Montana.

Możecie szukać go na mapie stanu, jeśli chcecie, ale nawet dzisiaj sporą część tych terenów można po prostu przeoczyć. Kiedy już człowiek myśli, że przeczesał wszystko, okazuje się, że jest tego więcej. Takiego miasteczka łatwo nie zauważyć. Szczególnie jeśli nie chce być odnalezione. Można wiele czytać o tym okresie i o tym miejscu i nigdy nie natrafić na wzmiankę o Samotnych Kobietach, na ani jedno świadectwo, że takie osoby w ogóle tutaj żyły. Ale to dlatego, że historia jest prosta.

A przeszłość?

Przeszłość jest skomplikowana.

# Podziękowania

Czasem dostaję zaproszenia na spotkania z czytelnikami w różnych miejscach kraju, a kiedy jadę i wiem, że pewnie już tam nie wrócę, kupuję książkę o dziejach tego miejsca, żebym mógł lepiej zrozumieć miasto, które właśnie odwiedziłem. W 2012 roku zaproszono mnie na Uniwersytet Stanowy Montany w Missoula. Pojechałem tam, przeczytałem publicznie fragmenty książki i spotkałem się ze studentami, było bardzo miło. Potem wstąpiłem do księgarni uniwersyteckiej i przejrzałem książki o Montanie. Szczególnie jedna przykuła moją uwagę: *Montana Women Homesteaders: A Field of One's Own* pod redakcją doktor Sarah Carter.

Czy wiedziałem, że istniały samotne osadniczki? Kobiety, które nie potrzebowały podpisu mężczyzny, aby dostać ziemię? Czy wiedziałem, że prawo to było zastrzeżone wyłącznie dla białych kobiet?

Nie, nie i nie. A to był dopiero początek wszystkiego, czego nie wiedziałem.

Książka doktor Carter była niczym brama do tego okresu w dziejach, który z każdym dniem zaskakiwał mnie coraz bardziej. Skontaktowałem się z osobami, które poznałem przy okazji wizyty w Montanie. Zapytałem, czy te wszystkie fakty są im znane. Większość zapytanych – urodzonych i wychowanych w Montanie – *absolutnie nie miała o tym pojęcia*. Jeśli nawet im nie opowiadano o takich kobietach, gdy dorastali, pomyślałem, że może znalazłem temat wart rozwinięcia, historię, która zasługuje na znacznie szersze grono słuchaczy.

Kiedy już przeczytałem książkę doktor Carter, pochłonałem dużo więcej lektur: *African Americans on the Western Frontier* pod redakcją i ze wstępem Monroe'a Lee Billingtona i Rogera D. Hardawaya; *Vigilante Woman* Virginii Rowe Towle; *The Montana Frontier: One Woman's West* Joyce Litz; *African American Women Confront the West 1600–2000* pod redakcją Quintarda Taylora i Shirley Ann Wilson Moore; oraz *Letters of a Woman Homesteader* Elinore Pruitt Stewart. Jeśli ta historia wydaje się wam ciekawa, polecam każdy z powyższych tytułów. Gorąco.



Muszę też wyjaśnić, że wybrałem Big Sandy w Montanie, miasto istniejące naprawdę, ze względu na jego położenie i dzieje. Ale chcę jednocześnie podkreślić, że dodałem wiele elementów fikcyjnych, których nigdy w nim nie było, jak na przykład gmach opery. Serdeczni i uczciwi mieszkańcy Big Sandy to nie ci sami ludzie, którzy usiłowali zabić Bertie, Fionę, Grace i Adelaide. To urocze miasto. Jeśli kiedyś będziecie w tamtych stronach, naprawdę warto je odwiedzić.

*Samotne kobiety* w początkowym kształcie powstały jako opowiadanie, które napisałem do zachwycającej antologii *Long Hidden: Speculative Fiction from the Margins of History* pod redakcją Rose Fox i Daniela José Oldera (warto po nią sięgnąć, jest w niej masa świetnej literatury). Kiedy skończyłem opowiadanie, zdałem sobie sprawę, że napisałem tylko część historii Adelaide i Elizabeth. A jest to opowieść godna osobnej książki. Jestem wdzięczny Danielowi i Rose za to, że mnie zaprosili do nadesłania opowiadania oraz za jego redakcję.

Jak zawsze jestem również niezwykle wdzięczny moim agentkom, Glorii Loomis i Julii Masnik, oraz mojemu wydawcy Chrisowi Jacksonowi. Dziękuję też całemu zespołowi One World/Random House: Sun Robinson-Smith, Carli Bruce-Eddings, Andrei Pura, Barbarze Fillon, Tiffani Ren, Lulu Martinez i Avidesh Bashirrad. Jestem wdzięczny wam wszystkim za ciężką pracę, jaką włożyliście w to, by czytelnicy mogli ujrzeć tę książkę.

I wreszcie dziękuję mojej żonie, Emily Raboteau, za pomoc w wymyśleniu, jak *Samotne kobiety* mają się zakończyć. Przed pójściem spać dyskutowałem z nią nad wszelkimi możliwymi zakończeniami. Zwykle tak sobie nawzajem pomagamy w procesie pisania. Czy któreś z Samotnych Kobiet mają umrzeć? – rozmyślałem. A jeśli tak, to ile z nich? I które? Czy Samotne Kobiety powinny uciec do Kanady? Emilia powiedziała: „Nie, nie, nie. Kobiety dzisiaj wystarczająco często przegrywają. Chcę, żeby Samotne Kobiety wygrały”.

Byłby to happy end, ale ciężko, bardzo ciężko przez nie wywalczony. Wydawało mi się to słuszne. Wznieśmy toast za ciężko wywalczone happy endy. Ich i wasze.

Victor Lavalle  
Bronx, Nowy Jork  
24 października 2022

## O autorze

Victor LaValle jest autorem ośmiu dzieł literackich: pięciu powieści, dwóch nowel oraz zbioru opowiadań. Stworzył także dwie serie komiksów. Jego powieści trafiły na listy najlepszych literackich dzieł roku między innymi w „New York Times Book Review”, „Los Angeles Times”, „The Washington Post”, „Chicago Tribune”, „The Nation” i „Publishers Weekly”. Jest laureatem między innymi stypendium Guggenheima, American Book Award, Shirley Jackson Award, World Fantasy Award oraz nagrody Klucz do Southeast Queens. Mieszka na Brooklynie z żoną, pisarką Emily Raboteau, oraz ich dziećmi. Wykłada pisarstwo na Uniwersytecie Columbii.

# Przypisy

1. Flp 2,11 – ten i kolejne cytaty z Pisma Świętego za Biblią Tysiąclecia (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)
2. Antylopy widłorogie (dzisiaj nazywane widłorogami) – gatunek występujący w Ameryce Północnej (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)
3. Czyli o 11–12 stopni Celsjusza (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)
4. Autobiografia Bookera T. Washingtona (1856–1915), który urodził się w niewoli, a po wyzwoleniu został pisarzem, doradcą polityków i jednym z przywódców społeczności Afroamerykanów (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)
5. Helen Keller (1880–1968) – od dziecka głucha i niewidoma, obrończyni praw osób niepełnosprawnych, aktywistka polityczna i pisarka (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)
6. Iola Leroy (1892) – powieść Frances E. W. Harper, jedna z pierwszych powieści wydanych przez Afroamerykankę, poruszała tematy społeczne, problem abolicji, edukacji kobiet i odpowiedzialności społecznej (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)
7. Około 84 kg (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)
8. Pod koniec XIX i na początku XX w. na północy USA łowcami wilków (ang. wolfers) zostawali w większości ludzie, którym nie powiodły się inne plany zdobycia fortuny. Byli to często kłusownicy, otruwający wilki strychniną dla nagrody, jaką wyznaczały władze stanowe, wilki stanowiły bowiem duże zagrożenie dla rozwijającej się hodowli bydła (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)
9. Prz 10,4 (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)
10. Inaczej niż mieszkańcy Europy, którzy śpią pod kołdrami powleczonymi w poszewki, Amerykanie najczęściej śpią przykryci prześcieradłem, na które narzucają koce i pikowane patchworkowe kołdry bez poszewek (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)
11. Ok. 29–34 stopni poniżej zera w skali Celsjusza (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)
12. Ten i kolejne fragmenty tekstu śpiewanego utworu: „Nad morzem, nad morzem, nad pięknym morzem. Ty i ja, ty i ja, och, jacy bylibyśmy szczęśliwi. Z każdą nadpływającą falą będziemy nurkować lub pływać, unosić się i zabawiać w wodzie. Nura pod wodę, a potem w górę, zaczerpnąć powietrza. Tata jest bogaty, mama jest bogata, nie mamy więc żadnych trosk” – słowa popularnej piosenki „By the Beautiful Sea” (1914), muz.: H. Carroll, sł.: H.R. Atteridge (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)